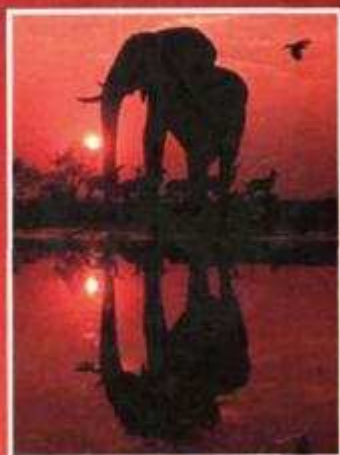




SERIA PODROŻNICZA
OBIEŻYŚWIAT

ALEXANDER LAKE



ZABÓJCY
W AFRYCE



Przełożył I S-ka

Ta gawędzarska książka bardzo plastycznie przybli-
ża nam czasy, kiedy Afryka
była rajem dla myśliwych.
Otwiera przed nami skar-
bnię wiadomości o oby-
czajach dzikich afrykańskich
zwierząt i sposobach na
udane safari. Przekonuje,
że polowanie na lwa, sło-
nia, a nawet pawiana jest
rozgrywką, w której sam
sztućer nie zapewni czło-
wiekowi przewagi. Fascy-
nująca i pouczająca lektura
- także dla tych, którzy zde-
cydowanie wolą zwierzęta
żywe niż martwe.

Cena 17,20 zł

Informacje o naszych książkach
można znaleźć na stronie
<http://www.proszynski.com.pl>



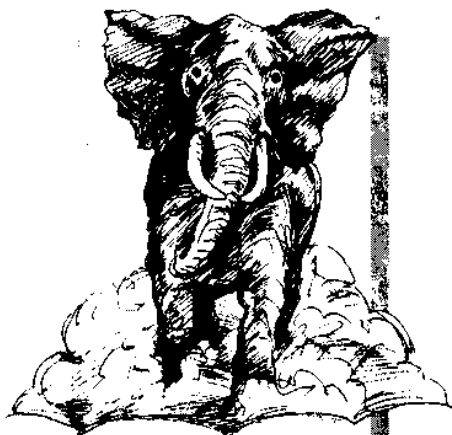


ALEXANDER LAKE

ZABÓJCY W AFRYCE

Prawda o czatujących dzikich zwierzętach
i myśliwych piszących o nich niestworzone historie

Przełożył Paweł Czapak



Prószyński i S-ka

Copyright © 1951, 1952, 1953 by Alexander Lake

Copyright © 1995 by Storm Lake

Introduction copyright © 1995 by Mike Resnick

Copyright 1998 for the Polish edition by Prószyński i S-ka,

by arrangement with Spectrum Literary Agency and HELFA Agency

Tytuł oryginału

Killers in Africa: The Truth About Animals Lying in Wait and Hunters Lying in Print

Okładkę i strony tytułowe według projektu *Pawła Pasternaka*

opracował *Zbigniew Karaszewski*

Fotografie na okładce

mała: © Flash Press *Media/Frans Lanting/Minden* Pictures

duża: © Flash Press *Media/Daniel J. Cox/Tony Stone Images*

Konsultacja z dziedziny łowiectwa strefy afrykańskiej

Stanisław Malec

Redaktor serii

Monika Machlejd-Ziemkiewicz

Redaktor techniczny

Elżbieta Urbańska

Wydanie pierwsze Warszawa 1998

ISBN 83-7180-322-2

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Łamanie

Elżbieta Rosińska

Druk i oprawa:

Opolskie Zakłady Graficzne SA Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Wprowadzenie

Było pięciu wspaniałych autorów amerykańskich, którzy pisali o Afryce. Dwaj z nich, Ernest Hemingway i Robert Ruark, są bardziej znani z beletrystyki i ich utwory stale wydaje się na całym świecie. Trzeci, były prezydent Stanów Zjednoczonych, Theodore Roosevelt, napisał o Afryce tylko jedną książkę, zaliczaną już do klasyki, *African Game Trails [Afrykańskie szlaki dzikiej zwierzyny]*. Pozycja ta jest wciąż wznawiana od siedemdziesięciu pięciu lat nie tylko dlatego, że jest doskonałą książką, ale również ze względu na osobę jej autora. Czwarty, niedawno zmarły Peter Hathaway Capstick, ostatni Amerykanin, który został licencjonowanym białym myśliwym w Afryce, tworzący później niż pozostali, napisał wiele wspaniałych pamiętników i gawęd o afrykańskich polowaniach.

Piątym - i być może najlepszym z nich, przynajmniej biorąc pod uwagę pisarstwo poświęcone Afryce - był Alexander Lake. Tak się dziwnie składa, że żadnej z jego książek nie ma w tej chwili na rynku wydawniczym. Ta sytuacja ulegnie zmianie, kiedy pojawi się niniejsza edycja *Zabójców w Afryce*.

Lake polował głównie na zwierzynę grubą, był przy tym myśliwym innym niż pozostali. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych, w czasach gdy inni łowcy sprzedawali nabrzmiałe od fałszywej brawury opowieści godne prawdziwych mężczyzn, Lake zaczął obalać panujące mity. Kiedy książka *Zabójcy w Afryce* została opracowana i wydana, jako reklamujący ją slogan przyjęto zdanie:

Prawda o czatujących dzikich zwierzętach i myśliwych piszących o nich niestworzone historie!

To hasło nie odbiegało zbyt od rzeczywistości. Najbardziej znanymi lwami były prawdopodobnie słynne ludojady z Tsavo. Podpułkownik J. H. Patterson zrobił pisarską karierę, relacjonując swoje przygody z tymi bestiami. Lake'owi wystarczyło pół pierwszego rozdziału niniejszej książki, żeby wytknąć po kolei każdy błąd w postępowaniu Pattersona i wskazać, co podpułkownik powinien był uczynić, gdyby choć trochę znał zachowanie afrykańskich lwów.

Sam Lake doskonale znał Afrykę. Polował na tyle dawno, że nie był skazany na jeden zaledwie kraj, ale poruszał się po całym kontynencie, a jego klientela była barwniejsza i bardziej zapadająca w pamięć niż którekolwiek z upolowanych przez niego zwierząt - między innymi dlatego książki Lake'a, gdy wydano je czterdzieści lat temu, były tak popularne. Zdawał sobie sprawę, że ludzie są ciekawszy od zwierząt, choćby ludojadów.

Jako jeden z pierwszych stwierdził, że nie ma czynu bardziej poniżającego człowieka niż zabicie goryla. Był pierwszym, który zwrócił uwagę na fakt, że nie trzeba strzelać do szarżującego nosorożca, że równie łatwo można uskoczyć w bok, gdyż kiedy nosorożec chyli głowę, praktycznie nic nie widzi. Wciąż pozostaje jedynym myśliwym, który uważa, że polowanie na antylopy jest trudniejsze i daje więcej satysfakcji niż polowanie na „wielką piątkę” - lwa, lamparta, słonia, bawołu i nosorożca.

W porównaniu z dwoma najsłynniejszymi myśliwymi, F. C. Selousem i W. D. M. „Karamojo” Bellem, czy innymi łowieckimi sławami, niewiele wiadomo o życiu Lake'a. Wiemy, że urodził się w Chicago 29 lipca 1893 jako najstarszy syn kapłana metodystycznego i że w 1908 roku wyjechał wraz z rodziną do Południowej Afryki, gdzie jego ojciec był nie tylko misjonarzem, ale również wykonywał niezwykle niebezpieczne zadanie na zlecenie parlamentu brytyjskiego, dotyczące niewolniczych warunków pracy w Kongu Belgijskim.

Lake uczęszczał do Marist Brothers College w Johannesburgu, gdzie był kapitanem drużyny strzeleckiej, która reprezentowała Transwal w Pucharze Imperium Brytyjskiego im. Shumakera.

Ustanowił rekord dziesięciu strzałów w środek tarczy w jedenaście sekund, co zwróciło na niego uwagę Nicobara Jonesa, jednego z pierwszych licencjonowanych przewodników w Afryce i jednego z najzdolniejszych myśliwych Czarnego Łądu. W 1911, gdy Lake skończył osiemnaście lat, Jones zatrudnił go jako myśliwego odpowiedzialnego za zaopatrzenie w mięso. Do obowiązków Lake'a należało dostarczanie ubitej zwierzyny do karawan transportowych, które dowoziły je do kopalń oraz budowniczym linii kolejowych w Portugalskiej Afryce Wschodniej, Rodezji Północnej, Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, Tanganice, Kenii i Ugandzie. Wkrótce stał się wybornym tropicielem i łowcą wszystkich rodzajów zwierzyny, szczególnie antylop.

Lake terminował u Jonesa - który odsłonił przed nim wszelkie tajniki zawodu - aż w końcu został niezależnym myśliwym, korzystającym z asysty niezrównanego zuluskiego tropiciela, Ubusuku. Nie utożsamiał się z żadną z grup zawodowych myśliwych, które zaczęły organizować się w Kenii i w Tanganice. Był zaciętym przeciwnikiem „safari w bujanych fotelach”, które polegały na dowożeniu turystów do zwierzyny, zbliżaniu się do zwierząt ciężarówkami i pozwalały tym pseudomyśliwym strzelać bez ponoszenia jakiegokolwiek ryzyka. I choć bez większych sukcesów, Lake czynił również, co w jego mocy, żeby położyć kres kłusownictwu słoni w Tanganice.

Zafascynowany zwierzęcymi zwyczajami i charakterami, badał je jako myśliwy i jako naturalista. Jego liczne artykuły ukazywały się w gazetach *Rand Daily Mail* i *London Daily Mail*. Pisał również wiele na temat napotkanych przez siebie plemion, a prace te jego ojciec wykorzystywał w raportach dla Brytyjczyków.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, Lake wyjechał z Afryki i dołączył do sił amerykańskich w Europie jako pilot, biorąc udział w licznych walkach powietrznych. Następnie wrócił do Afryki i prowadził wyprawy łowieckie dla klientów z całego świata.

W latach dwudziestych wrócił do Stanów Zjednoczonych i wykorzystał swoje doświadczenie pisarskie, współpracując jako reporter, a później jako redaktor z *Spokane Chronicle*, *Seattle Star*, *Vancouver*

World i z *San Francisco Examiner*.

Wciąż zakochany w Afryce, Lake wrócił do niej w drugiej połowie lat trzydziestych, po czym ponownie przyjechał do Stanów, przeniósł się na pustynię Mojave i tam pisał. Jego afrykańskie reminiscencje nigdy nie pojawiały się w czasopismach dla „twardych mężczyzn”, lubujących się w statystykach zabitych zwierząt i w opowieściach, jak to myśliwy o mały włos nie przypłacił swej przygody życiem - ale raczej w *Field and Stream* i w *Argosy*, dwóch najbardziej szanowanych pismach sportowych, które z pomocą Lake'a wprowadzały polowania na grubego zwierza w drugą połowę dwudziestego wieku. W miarę zyskiwania sławy zaczął również sprzedawać swoje teksty takim czasopismom o wielomilionowych nakładach jak *Look*, *Colliers* i *Reader's Digest*.

Niniejsza książka, jak widać złożona z kilkunastu artykułów pisanych przez Lake'a dla czasopism, przedstawia po kolei różne gatunki zwierząt, na jakie polował. Każdy rozdział ma atmosferę wspomnień opowiadanych przy ognisku, gdy po ciężkim dniu mozolnego tropienia zwierząt, które były zbyt nieuchwytne, zbyt małe lub zbyt piękne, żeby je zastrzelić, przepłukuje się gardło kilkoma łykami brandy. I niezależnie od tego, co sądzicie o polowaniach na grubego zwierza (pamiętajcie jednakże, że to wszystko było pisane czterdzieści lat temu, kiedy ludzie mieli inne poglądy - a nawet już wtedy ulubionymi klientami Lake'a byli ci, którzy „wiedzą, jakie chcą zdobyć trofea, zadowolają się nimi, a jeżeli zabijają coś jeszcze, to wyłącznie po to, by zdobyć pożywienie”), jestem niemal pewien, że polubicie samego Lake'a i będziecie żałować, że nie dane Wam było go spotkać i posłuchać, jak opowiada swe ulubione historie.

Książka *Zabójcy w Afryce* ukazała się w 1953 roku i natychmiast trafiła na listę bestsellerów. Rok później Lake przygotował nową książkę, również składającą się z artykułów. W wersji amerykańskiej nosi ona tytuł *Hunter's Choice [Wybór myśliwego]*, natomiast w wersji brytyjskiej *African Adventure [Afrykańska przygoda]* i jest wspaniałym zbiorem opowieści o różnych wydarzeniach, od rozwikłania zabójstwa w Kongu Belgijskim, poprzez upicie stada małą, by

można je było potem łatwo schwytać, aż po długi fascynujący rozdział o tym, jak gotować w buszu - jak się piecze steki z impali, przyrządza omlety ze strusich jaj i jak wędzi się hipopotamie szynki - a wszystko, podobnie jak w tej książce, autor przekazuje przyjacielskim, swobodnym stylem, jakim opowiada się anegdoty przy ognisku.

Dzięki swoim kompetencjom Lake pracował nawet jako współscenarzysta i konsultant dla Sola Lesserà, producenta filmów o Tarzanie. Później nadal tworzył, mieszkając w domu nad brzegiem oceanu - ostatnie lata życia poświęcił szczegółowym studiom nad działalnością misjonarską swojego ojca, co zaowocowało dwoma kolejnymi bestsellerami: *Your Prayers Are Always Answered [Modlitwy zawsze są wysłuchane]* i *You Need Never Walk Alone [Nigdy nie musisz kroczyć sam]*. Zmarł w dzień Bożego Narodzenia 1961, kiedy pracował nad książką *The Axe and the Cross [Topór i krzyż]*, biografią ojca, doktora Johna G. Lake'a.

Nie wiem, na ilu czytelników Lake miał wpływ, ale z pewnością to właśnie on, gdy byłem jeszcze chłopcem, zainteresował mnie Afryką. Od tamtej pory systematycznie odwiedzam ten kontynent (do tej pory sześć bezkrwawych safari), który mnie utrzymuje (13 książek i 19 opowiadań - a jeśli Wam się wydaje, że łatwo jest stworzyć tyle fantastyki naukowej na tematy afrykańskie, to sami tego kiedyś spróbujcie).

Przez całe życie napisałem trzy wyrażające mój podziw listy do pisarzy, których twórczość niezwykle cenię. Jeden z nich, autor science fiction Barry Malzberg, stał się moim najbliższym przyjacielem i niekiedy bywa współpracownikiem. Drugi, beletrysta i humorysta Ross Spencer, również został moim dobrym przyjacielem. Trzecim był Alexander Lake, który zmarł miesiąc przed otrzymaniem mojego listu. Uważam Lake'a za swojego bliskiego przyjaciela, którego po prostu nigdy nie miałem szczęścia spotkać ani z nim korespondować, i mam nadzieję, że byłby zadowolony jeżeli nie z powieści i opowiadań, jakie zainspirował, to przynajmniej z faktu, że książka *Zabójcy w Afryce* ponownie została wydana i że może się nią cieszyć nowe pokolenie.

Mike Resnick

Prawda o afrykańskich łowach

John P. Whorter, górnik z Kolorado, przyjechał do Afryki, żeby zapolować na grubego zwierza. Pewnego wrześniowego poranka 1937 roku stanął oko w oko z samcem lwa. Whorter, doskonały strzelec o stalowych nerwach, przyłożył sztucer do ramienia. Wycelował dobrze. Jednak popełnił jeden „drobny” błąd. Dwie sekundy później był martwy, gdyż lwie kły przebiły mu czaszkę.

Błąd Whortera polegał na niewiedzy. Myśliwy celował w środek grzywy na łbie lwa. I tamtędy dokładnie przeszedł pocisk - przez sam środek wspaniałej czupryny. Whorter nie wiedział, że lew w zasadzie nie ma czoła, że ta czupryna to same włosy.

W 1925 Peter (Bud) Jones, ranczer z Tanganiki, mając dość rozbojów samotnego słonia, który szerzył spustoszenie wśród upraw fasoli w *shambie**, wziął sztucer .303 i ruszył za słoniem. Stanęli oko w oko. Słoń z otwartą paszczą, z uniesioną trąbą zaatakował jak podrasowany buldożer. Pocisk Jonesa przebił tył podniebienia. Śmiertelny strzał, nawet z .303. Jednak Jones popełnił jeden „drobny” błąd. Dziesięć sekund później już nie żył.

* *shamba* - (suahili) gospodarstwo rolne (przypisy nie podpisane inaczej pochodzą od tłumacza).

Błąd Jonesa polegał na niedbalstwie. Gdy myśliwy wziął sztucer, był przekonany, że broń jest załadowana amunicją półpłaszczową. Nie sprawdził. Wycelował dobrze, ale pełnopłaszczowy

stalowy pocisk przebił bliskie okolice mózgu słonia nie czyniąc bezpośrednich zniszczeń. Gdyby to był pocisk półpłaszczowy, narzmiąłby przy uderzeniu w głowę i natychmiast roztrzaskałby ją wraz z mózgiem.

Włoski łowca trofeów o nazwisku Galli pewnego ranka nie mógł sobie odmówić strzału do nosorożca. Strzelił pociskiem półpłaszczowym, który rozbił się o bok nosorożca, nie przebijając jednak skóry. Nosorożec wpadł w szal, zaatakował głową drzewo cierniowe, ruszył na swój cień, a następnie zaczął wściekle orać rogiem ziemię. W końcu oszalałe z bólu zwierzę zniknęło w gęstych zaroślach rosnących wzdłuż strumienia. Galli ruszył za nim w gęstwinę. Po kilku minutach z Gallego pozostał stratowany trup. On też popełnił jeden „drobny” błąd.

Błędem Gallego była głupota. Zraniony nosorożec atakuje na oślep. Bestia jest szybka, wściekła, ale kiepsko widzi, więc na otwartym terenie każdy może uchylić się od szarży, uskakując w bok. W krzakach czy wśród trzciny nie ma miejsca na unik i gdy nosorożec - który w przeciwieństwie do kiepskiego wzroku ma wyśmienity węch - zwęszą swą ofiarę, już jest po niej.

Setki profesjonalnych myśliwych znajdowało się w sytuacjach identycznych jak te, które okazały się zabójcze dla Whortera, Jonesa i Gallego, ale nigdy nie słyszałem, żeby któryś w nich zginął. W zasadzie nigdy nie słyszałem, żeby doświadczony, profesjonalny myśliwy został zabity przez jakiegokolwiek dzikie zwierzę afrykańskie z przyczyny innej niż nieostrożność.

W Afryce nie ma prawdziwie niebezpiecznych zwierząt dla myśliwego, który zna ich zwyczaje. Z pewnością nie zaliczyłbym do nich lwów, nosorożców ani goryli; również nie wymienilibym gnu, hipopotamów ani lampartów. Mógłbym się zawahać myśląc o bawołach, chociaż niedługo. Gdyby którekolwiek z afrykańskich zwierząt miało zostać wskazane jako niebezpieczne, to powinien być to bawół, ponieważ kiedy się go zrani, jest mściwy i zawzięty. Jeśli nadarzy mu się sposobność, zabije.

Okolo roku 1910, gdy zaczynałem polować, bawół wziął na rogi, a następnie stratował zawodowego myśliwego o nazwisku Spring, który ranił zwierzę pięć dni wcześniej. Bawół, gdy został trafiony,

zatoczył szerokie koło i zaskoczył Springa dalej na szlaku. Zwierzę wybrało do ataku miejsce, gdzie szlak zwał się między ścianami kolczastych krzewów. Spring oczywiście wiedział, że bawoły mają czasami w zwyczaju zasadać się na swoją ofiarę, ale nie docenił pamięci zwierzęcia. Nieostrożność.

W pewnych okolicznościach mógłbym się także zawahać, jeśli chodzi o słońce.

Każdego roku Afryka przeżywa najazd hord amatorów grubej zwierzyny. Niektórzy z nich to prawdziwi myśliwi, ale niektórzy bez opamiętania rwą się do sztucera. Strzelają do wszystkiego, co zobaczą - do pawianów, antylop, zebra, żyraf, lwów, strusi - zostawiając za sobą krwawe szlaki poranionych i zabitych zwierząt.

Ich zdolność do robienia rzeczy idiotycznych często jest przyczyną tego, że sami odnoszą obrażenia albo giną. Pociągają za nogę ranne kudu, które ostrymi kopytami otwiera im trzewia. Podchodzą blisko do rannego gnu, które udaje, że leży bez życia, i wywracają kozła, gdy zwierzę, zerwawszy się w okamgnieniu na nogi, wyskakuje jak z procy.

Kilka razy strzelają niecelnie do lwa, straszą go jeszcze bardziej krzykami i wrzaskami, a potem - zamiast pozostać na miejscu i dostrzelić go - gdy zwierzę rusza do ataku, rzucają się do ucieczki. Podchodzą do stada niezrównoważonych emocjonalnie pawianów siedzących na wąskiej krawędzi urwiska, strzelają do jednego z nich i giną rozerwani na strzępy, gdy reszta stada nagle wpada w furję. Brodzą w rzekach, nie uderzając uprzednio w wodę kijem, żeby przepłoszyć krokodyle, i dopada ich któraś z tych cuchnących bestii. Ranią krótkowzrocznego nosorożca i stoją do niego z wiatrem, tak że zwierzę bez wysiłku lokalizuje ich węchem. Stają pomiędzy hipopotamem i wodą, nie wiedząc, że hipopotam odcięty od wody czasami wpada ze strachu w szal.

Myśliwi ci gubią się i giną śmiercią głodową w świecie pełnym jadalnych mrówek, jaszczurek, małp, węży, szarańczy, ślimaków i wewnętrznej powłoki kory wielu drzew.

Taki łowca grubego zwierza praktycznie popełnia więc samobójstwo. Ale wini się zwierzęta, które niemal we wszystkich przypadkach chciały jedynie uciec.

Niektórzy zawodowcy, będący przewodnikami tych myśliwych-turystów, po prostu nie są w stanie tego znieść. Nie wytrzymują i na kilka dni „gubią” swoich pracodawców w buszu. Nie ma nic bardziej nieszczęsnego, bezradnego i beznadziejnego niż „myśliwy”, któremu się wydaje, że się zgubił.

Dla kontrastu - nic nie sprawia profesjonalnemu przewodnikowi więcej przyjemności niż praca dla grupy prawdziwych myśliwych. Równie przyjemna jest praca z myśliwymi „bezkrwawymi” i „fotograficznymi”. Ci ludzie znają zwierzęta i często ponoszą ryzyko, które zamieniłoby przeciętnego sadystycznego rzeźnika w strzępek nerwów.

Przyjemnie jest pracować z osobami, które wiedzą, jakie chcą zdobyć trofea, zadowolają się nimi, a jeżeli zabijają coś jeszcze, to wyłącznie po to, by zdobyć pożywienie. Uważnie, często mistrzowsko podchodzą swój cel i starają się, żeby strzał nie skończył się jedynie zranieniem zwierzyny. Zazwyczaj dają zwierzętom więcej niż równe szanse i najbardziej się cieszą, gdy zdobywają trofea w sytuacjach, kiedy zwierzęta miały przewagę.

Przypuszczam, że większość z tych, którzy polowali w Afryce na grubego zwierza po powrocie do domu pisze książki lub artykuły o swoich afrykańskich przygodach. Historie prawdziwych myśliwych opierają się na faktach, a pisane przez tych pozostałych to mieszanka fantazji, bajek i wymysłów.

O ile wiem, Stany Zjednoczone są na razie jedynym krajem, gdzie w czasopiśmie publikuje się stare, obalone mity o afrykańskich zwierzętach. Nie mówię tutaj o specjalistycznych pismach dla myśliwych i wędkarzy, które nie udają, że publikują ciekawostki przyrodnicze, ale o magazynach, które rzekomo zamieszczają jedynie historie prawdziwe. Pewien wydawca jednego z takich pism sprawdza autentyczność swoich artykułów o zwierzętach afrykańskich w brytyjskich i belgijskich biurach propagandy i reklamy, których zadaniem jest podsycanie mitów o zwierzętach, żeby przyciągać turystów. Jednym z czasopism amerykańskich, które wydało walkę wyssanym z palca historyjkom o afrykańskich zwierzętach, jest *Argosy*. Inne to *Field and Stream*. Oczywiście jest ich więcej, ale te dwa są wspaniałe.

Przez lata niektóre amerykańskie czasopisma miały słabość do opowiadań o lwach ludojadach.

Ludojady!

Zdarza się, że wynędzniały, obleziony przez kleszcze, leniwy i zazwyczaj łagodny lew, podobnie jak wygłodniały wilk czy wygłodniały człowiek, zabija i zjada ludzi.

Wystarczy nakarmić takiego wygłodniałego lwa i przestaje być ludojadem. Na tym polega nieszczęście lwów, które parę razy z głodu zjadły człowieka. Można było je powstrzymać od dalszych napadów, karmiąc od czasu do czasu owcą, kozłem, świnia lub antylopą, aż nadarzyłaby się okazja, żeby je zastrzelić.

Większość ludojadów to stare lwy, które straciły zęby i werwę niezbędne, by powalić zebłą czy inną zdobycz. Jednakże na terenach, gdzie muchy tse-tse lub poważna susza zabiły bądź wypędziły ich normalne źródło pożywienia, czasami nawet młode lwy stawały się ludojadami. Samice, gdy ich młode głodują, również czasami atakują ludzi. Ale prawdziwe historie o ludojadach należą do rzadkości.

Zawodowy myśliwy, któremu zlecono odstrzål ludojada, na ogół potrafi go wykonać w ciągu kilku dni. Dla nowicjusza takie samo zadanie może być piekielnie trudne.

W 1900 roku podpułkownik J. H. Patterson, inżynier pracujący przy budowanej wówczas kolei ugandyjskiej, zabił dwie lwice - ludojady. Zarządzał ekipą kilku tysięcy hinduskich kulisów. Zanim udało mu się dopaść tę dwójkę zwierząt, pożarły one dwudziestu dziewięciu kulisów i były przyczyną przerażenia i hysterii, jakie panowały przez dziewięć długich miesięcy.

O kampanii Pattersona przeciwko lwom można powiedzieć tylko jedną dobrą rzecz: wykazał on bardzo dużo odwagi. Poza tym niemal każdy podjęty przez niego krok był albo zły, albo nieudany.

Oczywiście działo się to, jeszcze zanim nadeszły moje czasy, ale znam tę historię tak dobrze, jakbym tam był. Opowiedział mi ją Nicobar Jones, Amerykanin, który niemal przez pięćdziesiąt lat należał do najwyższej klasy myśliwych w Afryce. To właśnie Jones nauczył mnie większości tego, co wiem o polowaniu. Pochodził z Ohio i często przy blasku migoczących ognisk obozowych opowiadał o tamtejszej dziewczynie, która nosiła różową siermiężną sukienkę i której

jasne włosy lśniły w słońcu. Jones zawsze twierdził, że w przyszłym roku wraca do domu. Nie wrócił. Afryka trzymała go tak mocno, że nie potrafił się wyrwać.

Wszędzie wokół dostrzegał piękno. Widziałem, jak obserwował skaczące płynnym ruchem szpringboki lub impale, mrucząc: „Cudne! Cudne!”, aż zniknęło ostatnie zwierzę ze stada, po czym mozolnym krokiem wracał do obozu bez mięsa i głodny. Dla Jonesa wszystko w Afryce było „cudne” - niebo, busz, las, poranek i wieczór, polujące zwierzęta i zachód słońca, deszcz i wiatr, biegnący susami lew, galopująca żyrafa - wszystko.

Oto, jak Jones opowiedział mi historię pułkownika Pattersona i ludojadów. Pewnego wieczoru siedzieliśmy przy ognisku i obserwowaliśmy ciemny zarys lwa czatującego tuż za kręgiem światła. Od czasu do czasu jego oczy lśniły w ciemnościach zielono-czerwonym blaskiem. Jego zapach, pomruki, warkot i pokasywanie tak zdenerwowały woły, że te aż jęczały. Zaniepokojeni Kafrowie* siedzieli czujnie przy sąsiednim ognisku. Jones powiedział:

* Kafrowie - nazwa nadana południowym i wschodnim ludom Bantu przez Arabów (arab, *kafir* - niewierny).

- To nienormalne, żeby lew stał z wiatrem, i nienormalne, żeby robił aż tyle hałasu, kiedy podchodzi zwierzynę. Usiłuje przestraszyć woły, albo może psy, żeby ruszyły pod wiatr, a tam pewnie czai się z pięciu czy sześciu jego towarzyszy. Lwy z reguły nie są zbyt zmyślne, ale gdy doskwiera im głód, potrafią być dość sprytnie.

Pewnej nocy w Tsavo, niedaleko Mombasy, lwica weszła do obozu kulisów pracujących przy kolei i wyciągnęła jednego z nich z postąnia. Zamiast pożreć go nieopodal miejsca, gdzie go dopadła, jak to lwy zwykle czynią, zaciągnęła go w krzaki. Mniej więcej w tym samym czasie inna lwica pojawiła się w drugim końcu obozu i porwała innego kulisa w podobny sposób.

Ci kulisi. Brak im odwagi. Było ich w tym obozie około trzech tysięcy, tak z grubsza, i pozwolili, żeby te dwie lwice żyły ich kosztem niemal przez rok.

W każdym razie gdy opowiedzieli pułkownikowi Pattersonowi, że dwóch ludzi zostało porwanych, nie uwierzył. Sądził, że porzucili

pracę. Ale gdy trzeci kulis został wywleczony z namiotu, a resztki jego ciała znaleziono w pobliżu obozu, pułkownik zabrał się energicznie do działania. Kłopot w tym, że był nowicjuszem w Afryce.

Osobiście zbudował na lwice pułapkę. Z drewna i żelaza skonstruował wielką skrzynię i zainstalował w niej drzwi w taki sposób, żeby zamykały się szybko, gdy zwierzę nadejrze na sprężynę umieszczoną w podłodze. Jedną stroną skrzyni Patterson oddzielił żelaznymi prętami, wyznaczając w ten sposób małą przestrzeń, gdzie umieścił dwóch kulisów na przynętę. Nic się jednak nie wydarzyło i po jakimś czasie skrzynię zostawiono pustą.

Kilka miesięcy później jeden z ludojadów natknął się na pułapkę i wszedł do środka, żeby w niej powęszyć. Drzwi się zamknęły i ludojad Numer Jeden znalazł się w zapomnianej klatce. Ryki lwicy szybko ściągnęły Pattersona i grupę uzbrojonych kulisów. Zaczęli strzelać jeden przez drugiego, nie trafili lwicy, ale przestrelili żelazny pręt w drzwiach. Lwica uciekła, mimo że pociski świstały jej nad uszami.

Przez jakiś czas Patterson spędzał całe dni przedzierając się na czworakach przez gąszcz ciernistych krzewów. Kilka razy tak się zaplątał, że kulisi musieli go uwalniać. Pewnie mu się wydawało, że podchodzi lwice, ale cóż - był nowy w tym kraju.

Lwice nadal co jakiś dzień porywały kulisa. Niejednokrotnie widziano je i strzelano do nich. Marnowanie pocisków. Sam Patterson spudłował do nich kilka razy na mniej niż pięćdziesiąt jardów*. Raz, gdy polował z dubeltówką, podszedł jedną z lwic na pięćnaście jardów, pociągnął za spust, a broń nie wypaliła. Tak się zderwował, że zapomniał o drugiej lufie...

* W przekładzie zachowano jednostki miar angielskich i amerykańskich: 1 mila to około 1,6 km; 1 jard - 0,9 m; 1 stopa - 30,5 cm; 1 cal - 2,5 cm; 1 funt - 0,45 kg; 1 uncja - 28 g; 1 gran = 0,0648 g; 1 galon ameryk. - 3,8 l; 1 półkwarta ameryk. - 0,5 l.

- Zaraz - powiedziałem. - Dlaczego nie wystawił jakichś zwierząt na przynętę?

- Wystawił. Raz przywiązał trzy kozy do ciężkiej szyny kolejowej. Lwica porwała wszystkie trzy. Patterson strzelił do niej, lecz

spudłował. Nawet próbował podłożyć martwą świnie nafaszerowaną strychniną, ale okazało się, że lwy nie ruszają zatrutej przynęty. - Jones przerwał i nasłuchiwał. Nasz lew odszedł. Woły uspokoiły się. Jones splunął na kamień.

- Proszę mówić dalej - zachęciłem go. - Co przez cały ten czas robili kulisi Pattersona?

- Och, kilka razy wpadli w panikę. Raz gdy nadjeżdżał z Mombasy pociąg wiozący materiały na budowę, kilku z nich położyło się na torach i pociąg musiał się zatrzymać, żeby ich nie zabić. Natychmiast około tysiąca kulisów wraz z całym dobytkiem wskoczyło na wagony. Było nawet tak, że na trzy tygodnie praca ustała, ponieważ kulisi odmówili wychodzenia z namiotów. Kopali w podłogach jamy. Wczołgivali się do nich w nocy i zakrywali od góry belkami. Jednak wkrótce lwice znalazły pożywienie gdzie indziej i przestały nękać obóz. Wtedy kulisi opuścili swoje jamy i ponownie zaczęły sypiać bez zabezpieczenia. Ludojady wróciły, żeby przez jakiś czas znów posilać się mięsem kulisów.

Kilkakrotnie Patterson sprowadzał „pomoc”, która polowała na lwice. Przyjeżdżali wyżsi rangą pracownicy kolei, policjanci, a nawet żołnierze, żeby wytropić zabójczynię. Część z nich spędzała całe noce kimając na rusztowaniach w koronach drzew, z bronią gotową do strzału. Wielokroć strzelali, ale nigdy niczego nie trafili. Jeden facet nazwiskiem Whiteside wysiadł z pociągu na stacji Tsavo wraz z miejscowym sierżantem o imieniu Abdullah. Jedna z lwic powitała ich skacząc Whiteside'owi na plecy i żłobiąc w nich paskudne pręgi. Następnie zostawiła Whiteside'a, przewróciła Abdullaha i zeżarła go.

Patterson też spędził wiele czasu w czatowniach na drzewach. Lwice, wyczuwając zapach człowieka, godzinami krążyły wokół drzewa, węsząc, chrząkając i sapiąc. Lwy zawsze sapią, gdy są głodne. Patterson strzelał, a lwice rzucały się do ucieczki wzdłuż torów kolejowych, by zaraz potem wyciągnąć z namiotu kolejnego kulisa na śniadanie.

Minęło osiem miesięcy, zanim Pattersonowi udało się dopaść pierwszego ludojada. Pewnej nocy zastrzelił lwicę z półki na drzewie. Drugi ludojad jeszcze przez miesiąc pożywiał się kulisami. Ale gdy bestia zeżarła resztki dwudziestego dziewiątego kulisa, pewnej nocy

popęłniła błąd, zatrzymując się pod drzewem Pattersona, żeby się podrapać. Jego pocisk położył ją trupem.

- Wiesz - ciągnął Jones - kulisi tak się cieszyli, że lwy nie żyją, że całowali Pattersonowi dłonie i stopy i nazywali swoim zbawcą. Historia ta dotarła do angielskich gazet i uczyniono z Pattersona bohatera.

- Z tego widać... - zacząłem.

- Właśnie - wtrącił szybko Jones. - Jako budowniczy linii kolejowej Patterson prawdopodobnie był odpowiednim człowiekiem. Ale nie ulega wątpliwości, że gdyby posiadał choć trochę wiedzy o lwach, ustrzegłby przed śmiercią przynajmniej dwudziestu siedmiu kulisów.

Mój tropiciel, Ubusuku, postawny, inteligentny, czarny jak węgiel Zulus, szybko by się uporał z tymi ludojadami. Być może metody Ubusuku nie były zbyt szlachetne, ale efektywne. Pewnego razu, tuż po pierwszej wojnie światowej, przerwano nam pracę, podczas której wykorzystywaliśmy granaty ręczne, aby oczyścić z krokodyli rozlewisko na rzece Kasai w Kongu, i kazano nam pojechać do kraalu niedaleko Kalongi, przy południowo-wschodniej granicy, żeby odstrzelić ludojada, który porwał z chaty kobietę Kafrów. Doniesiono nam, że co noc lew wraca do tej samej chaty i węszy. Kafrowie oszaleli z przerażenia.

Gdy dotarliśmy tam w końcu pewnego popołudnia, byłem wykończony, więc natychmiast zwałem się na posłanie w najczystszej chacie, jaką miejscowy wódz zdołał znaleźć. Ale nie Ubusuku. Miał dopaść lwa, więc nie tracił czasu.

Około trzeciej nad ranem kraalem wstrząsnął wybuch. Wybiegłem z chaty i znalazłem się pośród harmideru zawodzących, śmiertelnie wystraszonych Kafrów. Kilka minut później Ubusuku przepchnął się przez nich i, uśmiechając się do mnie, oświadczył:

- *Moonya, mabele, simba pelele* [raz, dwa i po lwie]. - Następnie przyjął uroczystą pozę i przemówił do krajowców, którzy stali z wybałuszonymi oczami: - Lew, o Przerażeni, udał się w długą podróż do Krainy Tłustych Zebr.

Tłum, oszalały z radości, poniósł go ze sobą i zaczęła się orgia picia piwa.

Ubusuku, który wbrew zakazowi przyniósł ze sobą dwa granaty, przywiązał młodą świnię w chacie, z której została porwana kobieta. Czekał w ciemności po stronie zawietrznej, aż rozpaczliwy kwik świni dał mu znać, że lew jest w środku, następnie zakradł się i wrzucił granat przez otwór.

Od czasu do czasu słyszy się, że ludojad dopadł białego człowieka. Po zbadaniu sprawy niezmiennie okazuje się, iż ofiara była tak nieostrożna, że aż trudno uwierzyć. Przecież nawet zdesperowany z głodu lew nie otworzy sobie drzwi ani nie wejdzie do środka przez komin. Nie podejździe do palącego się ognia. Nie zaatakuje z wiatrem i często da najpierw znać o sobie potężnymi rykami. Gdy zaczyna podchodzić, milknie, słychać jedynie jego głodowe sapanie. W krainie lwów, szczególnie gdy jest niewiele zwierzyny, tylko głupiec wystawia się na atak. Można tego uniknąć.

Ludzie często pytają mnie, które z wielkich zwierząt afrykańskich jest najmniej niebezpieczne. Goryle. Jeśli chcecie rozwścieczyć starego, zawodowego myśliwego, spytajcie go, czy kiedykolwiek zabił goryla. Większość uważa, że człowiek, który zabił goryla, to gnida.

Nigdy nie zdarzyło się, żeby goryl rzucił się na człowieka, chyba że biedne stworzenie było dręczone lub przestraszone ponad granice wytrzymałości. Goryle prowadzą życie rodzinne niezwykle podobne do ludzkiego. To prawda, że ryk goryla działa na nerwy i że jego zwyczaj bicia się w pierś, robienia min i straszenia intruza jest przerażający. A kiedy wyrywa z korzeniami małe drzewo i rusza ku wam, jedną ręką waląc się w pierś i strasząc was drzewem trzymanym w drugiej, niewiele jest osób, które nie dadzą się nabrać na ten blef.

Bo to *jest* blef. O ile goryla nie drażniłeś i jeśli będziesz stał bez ruchu, zwolni, zatrzyma się, zębami porozrywa drzewo na kawałki, następnie odwróci się, mrużąc i gderając na ciebie przez ramię. Jednak jeśli go zranisz albo również zaczniesz go straszyć, rozgniecie cię na miazgę o własny tors.

Obecnie władze chronią goryle przed myśliwymi, ale dawniej co roku mordowano setki tych gigantycznych, pokojowo usposobionych vegetarian. Odkąd lepiej zrozumiano zwyczaje goryli, nawet dyrektorzy muzeów wstydzą się nieco wystawiać ich wypchane ciała.

Zbyttnio przywodzi to na myśl eksponowanie wypchanego dziadka.

Pewnego ranka w 1922 roku obserwowałem rodzinę goryli ukrytą na skraju polany na górze Karisimbi, w samym sercu Afryki. Oczywiście stałem po zawietrznej stronie i łatwo było mi się schować w płataninie lian, traw, krzaków i gałęzi. Obok mnie kucał cicho Bob Schlick, amerykański fotograf. Dwa duże czarnowłose samce o srebrzystych piersiach wrywały korzenie i bulwy i wpychały je sobie do ust. Inny samiec zjadał młode pędy bambusa. Dwie samice spały w słońcu, na siedząco, opierając się o siebie plecami, z wyciągniętymi nogami i z wielkimi brzuchami wspartymi na udach. Czterech czy pięciu młodzików robiło fikołki, baraszkowało, skakało i figlowało po całej polanie.

Po chwili największy z samców podszedł do jednej z samic i spojrzął na nią. W dłoni trzymał bulwę. Wyciągnął rękę i delikatnie popchnął samicę. Otworzyła usta, wciąż mając zamknięte oczy. Wepchnął jej bulwę do pyska, po czym wrócił do swych towarzyszy. Samica, z dłońmi splecionymi na brzuchu, nadal nie otwierając oczu, z zadowoleniem żuła sennie.

Obserwowałem je przez długi czas. W pewnym momencie duży goryl ponownie zbliżył się do swojej żony i popatrzył na nią. Następnie kołyszącym krokiem podszedł do drzewa, usiadł, opierając się o nie plecami, pomruczał coś do innych samców, po czym złożył ręce, zamknął oczy i zasnął.

W tymże samym roku w Kamerunach* obserwowaliśmy ze Schlickiem inną rodzinę goryli: dwa samce, dwie samice, na wpół dorosłego samca i pięciu czy sześciu młodzików różnej wielkości. Tamtejsze goryle są mniejsze i mają krótszą sierść niż te, które oglądaliśmy w Kongu. Może zabrzmiało to dziwnie, ale wydają się mniej szczęśliwe.

* Istniał wówczas Kamerun Brytyjski i Francuski.

W każdym razie słońce chyliło się nad horyzontem i cienie pomiędzy drzewami stawały się głębsze. Dwa samce patrzyły na słońce, przenosiły wzrok na dzieci, z dzieci na samice i ponownie na słońce. Młode biegały wkoło, bawiąc się w pewien rodzaj berka. Jeden z samców zawarczał coś w ich stronę i natychmiast przestały, jak

porażone. Drugi samiec stanął za nimi i zdawał się zaganiać je w stronę drzewa.

Nagle młode rozpierchły się we wszystkie strony, rzucając samcom szybkie spojrzenia. Przysiągłbym, że się śmiały. Najwyraźniej jednak nie była to odpowiednia chwila do śmiechu, ponieważ jeden z samców zawył tak, że aż zatrzęsł się las. Obie samice zerwały się na nogi, a młode w okamgnieniu wdrapały się na drzewo. Gdy na wpół wyrosnięty samiec wspinał się na pień, jedna z samic dała mu potężnego klapsa w zad.

Młode usadowiły się u nasady konarów. Samice wdrapały się na drzewa stojące po obydwu stronach grupy młodzików. Również usadowiły się wygodnie, podczas gdy samce się przyglądały. Następnie samce odwróciły się i długo patrzyły na słońce, bijąc się lekko w pierś, ale nie czyniąc hałasu. W końcu zebrały trawę, gałązki i liście, nogami uformowały z nich coś na kształt łóżka i położyły się obok siebie.

Mam nadzieję, że spały spokojnie, ponieważ przyglądanie się im napawało mnie dziwnym smutkiem.

Lwy

Podobnie jak jest wiele rodzajów ludzi, tak jest wiele rodzajów myśliwych i wiele rodzajów polowań. Tereny, na których występują lwy, niezależnie od tego, w jakiej części Afryki się znajdują, są właściwie takie same: równiny poznaczone kępami krzaków, piaszczyste i skaliste obszary z chaszczami i płataniną szuwarów rosnących wzdłuż rzek. Posługiwanie się sztucерem w krainie lwów jest szczególną sztuką.

Na równinach z kępami krzaków lew stojący w odległości siedemdziesięciu pięciu jardów i kołyszący ogonem zdaje się być niemal dwieście jardów od sztucera. Trzeba długiej praktyki, żeby potrafić dokładnie oceniać dystans, szczególnie gdy krzaki rosną po obu stronach linii strzału, jakby się patrzyło w głąb ulicy. Doświadczeni dzielą tę pozorną odległość na pół i mierzą na jeszcze trochę mniej.

W ciepłe dni, gdy falujące nad ziemią rozgrzane powietrze przesłania cel, pocisk wymierzony na dwieście jardów bezpośrednio w zwierzę czasami jest niecelny aż o stopę. Trzeba się nauczyć brać poprawkę na rozedrgane powietrze, celując w prawo albo w lewo, zależnie od tego, w którą stronę faluje.

To, co dotyczy rozedrganego powietrza, dotyczy również wiatru. Widziałem już poprzeczne wiatry, które znosiły pocisk o piętnaście stóp od celu, przy strzale na pięćset jardów. Przy strzale na dwieście jardów na ogół jednak wystarczy nadłożyć dwa cale.

Nowicjusze niemal zawsze górują, strzelając w dół wzgórze, a dołują, strzelając pod górę. Gdy świeci słońce, a w momencie naciskania

spustu zniknie ono za chmurą, strzał z broni kalibru .303 na dwieście jardów, który powinien trafić w sam środek, będzie za wysoki.

Sztucer, który przy suchej pogodzie strzela dokładnie, w czasie deszczu będzie strzelał za wysoko. Praktycznie każdy strzał okaże się niecelny, jeśli za spust będzie się pociągać, zamiast go naciskać.

Gdy lew jest ranny lub przestraszony, na pewno zaatakuje. Właśnie o to chodzi i tego oczekuje profesjonalny myśliwy. W takiej sytuacji obowiązuje tylko jedna zasada - nie trać głowy i strzelaj celnie. Mierz tuż poniżej koniuszka nosa. Jeśli lew nie jest mocno ranny, nie marnuj czasu na uniki - strzelaj jeszcze raz.

Ludzie, którzy w innych okolicznościach są odważni, często wpadają w panikę, gdy widzą zbliżającego się lwa. Nie do wiary, co tacy ludzie wyprawiają. Kiedyś w obozie pojawiło się dwóch Anglików i wynajęli mnie, żebym im pomógł wytropić lwy. Chcieli zdobyć parę łbów, by je powiesić w klubie, który budowali.

Wyglądali porządnie. Starszy, o długich postrzępionych wąsach, nazywał się Simmons. Nazwisko młodszego brzmiało Smythe. Wraz z Ubusuku zabraliśmy ich na lwie tereny, na południe od Okavarony w prowincji Damara*. Obydwaj mężczyźni nieźle dawali sobie radę na sawannie i łatwo się z nimi podróżowało przez pustynię. Dobrze strzelali i *en route* położyli wiele samców antylop.

* Damara - w obecnej Namibii.

Gdy dostrzeżliśmy pierwszego lwa, byli zwarci i gotowi. Zbliżał się wieczór. Gdzieniedzie rosły cierniste krzaki. Niemal wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się wolne przestrzenie szerokości pięćdziesięciu albo i więcej stóp. Zastanawialiśmy się właśnie nad rozbiściem obozowiska, gdy Ubusuku chrząknął i wskazał na niewysoki krzew około stu jardów prosto przed nami. Z całą pewnością widać było tam coś, co wyglądało jak gęstwa liści na czubku krzewu. Powiedziałem:

- Macie swojego lwa. Spogląda znad tamtego krzaka.
- Gdzie?

Pokazałem ręką i zacząłem mówić, że obejdziemy go z dwóch stron pod kątem, żeby spróbować się do niego zbliżyć, ale Simmons niespodziewanie zaczął wrzeszczeć: - Widzę go! - i zamachał sztuczerem nad głową.

- Co, u diabła? - powiedziałem i złapałem go za ramię.

Wyrwał się i wciąż wrzeszcząc, puścił się biegiem w stronę lwa. Strzeliłem szybko i łeb zniknął za krzakiem. Simmons zatrzymał się oszołomiony i zawstydzony.

- Przepraszam - powiedział. - Poniosło mnie.

Ubusuku łukiem obszedł ów krzak i przywołał nas ruchem ręki. Zobaczyliśmy, że lew leży na grzbiecie, macha wszystkimi czterema łapami, warczy, szczyrzy kły i pluje. Chciałem, żeby Smythe'owi przypadł honor zabicia go, więc dłonią dałem mu znak, żeby dokończył dzieła. W momencie gdy podniósł broń, lew zerwał się z rykiem i rzucił się ku niemu. Smythe strzelił z biodra, spudłował i chwilę później leżał powalony, a lew tarł mu ramię. Usiłowałem złożyć się do dobijającego strzału, ale Simmons wyskoczył przede mną i zaczął walić lwa w grzbiet kolbą sztucera. Obszedłem go, wetknąłem lufę sztucera lwu do ucha i nacisnąłem spust. Lew jęknął i zwałił się na Smythe'a.

Simmons, obraz rozpaczy, stał i mrucał w kółko: - Zapomniałem strzelić. Zapomniałem strzelić.

Smythe miał mocno pokiereszowaną rękę, ramię i pierś. Zabraliśmy go na kolej do Otavi, gdzie opatrzono mu rany. Wrócił do zdrowia i jak na taką przygodę, miał się wcale nieźle.

Rok później w krainie Buganda* dwaj Francuzi stali obok siebie, gdy zaatakował ich ranny lew. Jeden z nich, sparaliżowany strachem, próbował uciekać dopiero w ostatniej chwili. Drapieżnik, lwim zwyczajem, rzucił się za tym mężczyzną, który biegł, machnięciem łapy przerzucił go o dziesięć stóp, następnie skoczył na niego i zatopił zęby w udzie.

* Buganda - na terenie obecnej Ugandy.

Towarzysz nieszczęśnika, zamiast zrobić użytek ze sztucera, odrzucił broń na bok i zaczął lwa spychać i ciągnąć gołymi rękoma. Obydwaj mężczyźni zginęli. Ich nosiciel broni, z ludu Suahili, podniósł porzucony sztuczer, wytropił lwa i dobił go. Łeb zwierzęcia wisi teraz na ścianie jednego z barów w Dżibuti.

Najbardziej rozgoryczonym człowiekiem, jakiego znalazłem, był pewien bogaty Szwed, Hans Skaar. Skaar napisał do mnie ze Szwecji i umówiliśmy się na spotkanie w Nairobi. Oświadczył, że może spędzić w Afryce zaledwie kilka dni. Przez całe życie marzył o strzeleniu lwa, ale nigdy nie mógł wygospodarować czasu na polowanie; tym razem miał przyjechać do Nairobi w interesach i chciał sobie przy okazji wziąć kilka dni wolnych. Czy nie mógłbym mu pomóc strzelić jego lwa?

Skaar był świetnym gościem. Raz cały wieczór przesiedzieliśmy w pubie w Nairobi, popijając whisky z wodą sodową. Nie potrafił mówić o niczym poza lwem, którego miał nadzieję strzelić. Był jak dziecko: zadawał setki pytań i chciwie wysłuchiwał moich opowieści o polowaniach na lwy, aż dostałem chrypy. Następnego ranka zakończył interesy, które sprowadziły go do Kenii, i wyruszyliśmy starym, zdezelowanym fordem, wraz z Ubusuku i z karłowatym, pomarszczonym chłopakiem z plemienia Kamba, o imieniu Tiete.

Zostawiliśmy grata i spędziliśmy cały dzień pośród gęstych cierni, nie widząc ani śladu lwa. Nazajutrz natknęliśmy się na padła gazelę tomi, z wyżartym przodem. Wokół widniało dużo tropów lwa.

- Wydaje mi się, że dostanie pan swojego lwa - odezwałem się do Skaara. - W dodatku to samiec.

Skaar był niezwykle zadowolony. - Chciałbym strzelić samca - powiedział. - Skąd pan wie, że to samiec?

- Samce wyżerają przód łupu - odparłem. - Samice jedzą tylne części.

- A więc - powiedział Skaar tęsknym głosem - musi to nastąpić dzisiaj. O zmierzchu muszę wracać do Nairobi.

Dwie godziny później miał swojego lwa. Cała nasza czwórka zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu i przyjrzeć się zebrom Burchella pasącym się w oddali. Już dawno zgubiliśmy trop lwa i niewielkie były szanse, że Skaar zrealizuje swoje marzenie. Gdy wpatrywałem się w dal, kącikiem oka dostrzegłem jakieś drgnienie. Odwróciłem się w tamtą stronę, dając znak pozostałym, żeby się nie ruszali. Nic jednak nie dojrzałem.

Przeczesałem równinę wzrokiem, stopa po stopie. W odległości stu jardów nie było żadnego krzaka ani drzewa - jedynie kępy

wyschniętej trawy i od czasu do czasu jakiś kamień. Nie przestawałem się rozglądać. Nagle znów zobaczyłem ruch i, jakby pięćdziesiąt jardów przed nami ktoś rzucił obraz na ekran, dostrzegłem lwa śpiącego na boku. Zdradził go ruch koniuszka ogona. Ubusuku i Tiete zauważyli lwa w tym samym momencie co ja, lecz Skaar, mimo że wskazałem mu kępę trawy, która rosła przy łopatce zwierzęcia, i czerwony kamień blisko jego zadu, ciągle niczego nie widział.

Nic w tym dziwnego, że niewprawne oko czasami nie jest w stanie zobaczyć tak wielkiego zwierza. Bywało, że przez pół godziny wpatrywałem się w miejsce, gdzie Ubusuku dostrzegł zebry, i dopiero strzygnięcie uchem lub machnięcie ogonem nagle pozwalało mi ujrzeć zwierzę. Światła i cienie, kontrast ciemnych krzaków i żółtej trawy tak doskonale mieszają się z ciemnymi i jasnymi pasami na skórze zebry, że oko nie rozróżnia jej zarysów, dopóki nie zdradzi ich ruch.

Nie ma też nic dziwnego w tym, że lew śpi samotnie na otwartym terenie. Lew nie obawia się żadnych zwierząt i jeśli z pełnym brzuchem chce uciąć sobie drzemkę, zrobi to gdzie popadnie.

W każdym razie Skaar nie widział lwa. Ponownie wskazałem kępę trawy i szepnąłem:

- Niech pan strzela w tę trawę. Niech pan wsadzi kulę w sam środek. Nasz koleś leży w taki sposób, że powinien go pan trafić w grzbiet, dokładnie między łopatkami. Po takim strzale niewiele będzie w stanie zrobić i bez problemu go pan dostrzeli.

Skaar wymierzył dokładnie i strzelił. Z tego, co widziałem, lew ani drgnął. Skaar strzelił ponownie i tym razem pocisk bez wątplenia trafił do celu. Jednak lew wciąż się nie ruszał.

Zbliżyliśmy się ostrożnie, z bronią gotową do strzału. Lew był martwy. Pierwszy strzał Skaara, zamiast uderzyć w grzbiet, uderzył w tył głowy, zabijając zwierzę na miejscu.

Podczas gdy Ubusuku i Tiete oprawiali tego kolosa - od nasady nosa do końca ogona mierzył dziewięć stóp i sześć cali, a przy tym miał trzydzieści cztery cale wysokości w kłębie - Skaar siedział przygnębiony i przyglądał się. Nie odezwał się aż do chwili, gdy chłopcy zrolowali skórę i ruszyliśmy w drogę powrotną. - Cholera! - rzucił.

Gdy żegnaliśmy się w Nairobi, Skaar roześmiał się nagle. - Wie pan co? - powiedział. - Nigdy nie widziałem żywego lwa. - Na chwilę jego twarz przybrała komiczny wyraz. - Cholera! - zaklął ponownie.

Niemal wszystko, co do tej pory powiedziałem o lwach, były to przypadki szczególne. Zazwyczaj polowanie na lwy jest monotonne i czasami zawodowym myśliwym trudno utrzymać zainteresowanie pracodawców. Mijają dni i niemal wszystkie wyglądają identycznie. Dostrzegacie lwy. Staracie się podejść na strzał. Lwy uciekają. Tropicie je. Lwy znów uciekają albo znikają w gęstych chaszczach.

Człowiek, który wydał tysiące dolarów na zakup wyposażenia na polowanie i który płaci grubo ponad dwieście dolarów dziennie krajowcom i białym pomocnikom, oczekuje rezultatów. Jeśli chce lwa, musi go mieć. Nie możecie go zbyt długo przeganiać po terenie bez żadnych wyników, bo wyleje was i znajdzie sobie innego zawodowca.

Gdy taka sytuacja ma miejsce, czasami pozwalamy sobie na pewną sztuczkę. Jest to dosyć nieładna zagrywka, szczególnie względem lwów. Jednak stosuje się od lat.

Tresujemy stado lwów, żeby wyszły na strzał i dały się zabić.

Musieliśmy uciec się do tego wybiegu w przypadku Herr Leonhardta von Holtza, Niemca mieszkającego w Austrii. Na jego „safari”, jak zwykł mówić o tym polowaniu von Holtz, nie brakowało niczego. Były sztucery, aparaty fotograficzne, teleskopy, namioty, stoliki, krzesła, pościel na łóżka polowe, tony konserw, wódki, wina, książki, urządzenia elektryczne i gazowe, grzejniki naftowe, prymusy i blondynki. Zatrudnił czterdziestu miejscowych tragarzy i osobistego służącego dla każdego ze swoich gości.

Dwaj myśliwi, Jan du Toit i Lenny Gibson, Ubusuku i ja dołączyliśmy do karawany w Fort Johnston nad jeziorem Niasa. Przemieściliśmy się ponad dwieście mil prosto na zachód, przez Rodezję Północną. Tropiliśmy i strzelaliśmy koziołki skalne, ridboki, buszboki, kudu, zebry, perliczki, stenboki, gnu, hieny, szakale, jednego lamparta, szpringboki, jeżozwierze, guźce, co najmniej ze dwadzieścia pawianów. Trzeba było dużo zwierzyny, żeby zapewnić tej grupie odpowiednią ilość mięsa. Von Holtz i jego przyjaciele, wszyscy poubierani

w różowe bryczesy z prążkowanej wełny, jedwabne sztylpy i angielskie kasaki strzeleckie, z początku mieli co robić i byli zadowoleni. Do przyjaciół von Holtza należeli panowie Hein, Vogel, Ranfurly, Bischoff i Mertens.

Hein był despotą. Chodził po obozowisku z laską z tarniny i okładał nią czarnych. Wszyscy go nienawidzili. Dobrze strzelał do drobnej zwierzyny, szczególnie na dużą odległość. Potrafił naprawdę dobrze strzelać.

Ranfurly był Anglikiem; porządny facet, choć większość czasu pijany. Vogel, Bischoff i Mertens niczym się nie wyróżniali. Mieli niewiele do powiedzenia. Von Holtz był typowym Prusakim; nie był z gruntu zły, ale zachowywał się paskudnie, gdy się napił.

Nie mieliśmy szczęścia do lwów. Pewnego ranka natknęliśmy się na samca i samicę i podeszliśmy do nich dość blisko. Strzelali von Holtz i Ranfurly. Ranfurly spudłował do lwicy, ale von Holtz musnął lwa. Ten zaryczał, jak wielki krokodyl, dźwignął się i pognął przez sawannę, wierzgając i kopiąc. Rzucił zadnimi łapami, jakby chciał z siebie coś strącić.

Lwica wyprzedziła lwa o jakieś sto jardów, po czym przystanęła i czekała, żeby ją dogonił. Mertens, Bischoff i von Holtz zaczęli do nich strzelać, ale górowali i zwierzęta oddaliły się poza zasięg ich broni, przy czym lew wciąż wierzgał w ten dziwny sposób.

Trwało to około pół godziny. Obydwa lwy chowały się za krzakami, ale lwica obserwowała nas ponad nimi. Myśliwi podchodzili, strzelali, pudłowali i zwierzęta znów zaczynały się oddalać wolnym galopem.

Przestało to mieć sens. Du Toit i Gibson odłączyli się, zdegowani. W końcu spytałem von Holtza, czy chce, żebym strzelił te lwy. Zaklął, więc również się odłączyłem.

Po jakimś czasie zrezygnowali i wrócili do obozu.

Kilka dni później przyszedł Ubusuku i powiedział, że znalazł trop lwa po drugiej stronie wąwozu o stromych brzegach, około pięciu mil na północ. Grupka opuściła obóz w dobrych nastrojach. Poza Ubusuku nie zabraliśmy ze sobą żadnych krajowców.

Był to jeden z takich dni, które czasami zdarzają się w buszu, kiedy mgła skrywa wszystko, co znajduje się dalej niż tysiąc jardów.

Nawet staremu wyjadaczowi trudno jest ocenić odległość. Krzak, który zdaje się rosnać niemal poza zasięgiem strzału, nagle jakby skacze w twoją stronę, i okazuje się, że prawie można dorzucić do niego kamieniem. W takie dni czterystufuntowy bawolec, pędzący przed oczami w odległości pięciuset jardów, czasami wydaje się czterdziestofuntowym dujkerem.

Ponieważ nie widać widnokregu, nowicjuszowi łatwo jest się zgubić. Nawet starym wygom zdarza się zauważyć nagle, że chodzą w kółko, a wtedy przystają co chwilę z uczuciem lęku. Zabłądzenie w buszu jest jedną z najbardziej denerwujących przygód, jakie mogą się przytrafić człowiekowi. Całe lata później będzie mu się śniło, jak się zgubił, i będzie się budził z potem na czole, z wilgotnymi, zimnymi dłońmi i walącym sercem. Wiem, jak to jest.

Dlatego też tego ranka ostrzegłem wszystkich, żeby trzymali się razem w zasięgu wzroku. Jednak mając dwudziestodniowe doświadczenie w buszu, uważali, że doskonale go znają, i wkrótce zniknęli z oczu we wszystkich kierunkach. Byłem przekonany, że ktoś się zgubi.

Na moją prośbę du Toit i Gibson wrócili do obozu i tam czekali na rozwój wydarzeń. My dwaj z Ubusuku usiedliśmy w oczekiwaniu, aż będzie potrzebna nasza pomoc. Mijały godziny. Wokół panowała aksamitna cisza. Bezruchu nie zakłócały wystrzały. Ptaki w krzakach nie chrypiały ani nie skrzeczały. Niewiele ptaków w buszu wydaje słodkie, śpiewne odgłosy. Zazwyczaj im piękniejsze mają upierzenie, tym mniej przyjemny głos. W pobliżu nas szybującym lotem, z rozpostartymi wielkimi skrzydłami, wylądował ptak o nazwie sekretarz. Nastroszył pióra i jak niski, stary księgowy z ołówkiem zatkniętym za ucho i z dłońmi splecionymi z tyłu, pod połami długiej marynarki, zaczął przechadzać się tam i z powrotem, jakby pograżony głęboko w myślach. Podskoczył lekko, schylił się, dziobem podniósł krótkiego zielonego węża i podfrunął na szczyt drzewa cierniowego. Ubusuku zasnął.

Siedziałem i wpatrywałem się w jedną z wysokich kęp trawy, które czasami wyrastają bujnie w miejscach, gdzie gromadzą się odchody antylop. Kępa ta, odległa o trzydzieści pięć jardów, miała jakieś trzy stopy wysokości. Nie było wiatru, ale dostrzegłem, że trawa zadrzała,

jakby szczur podgryzał jej korzenie. Spojrzałem poza nią, gdzie w oddali różowawa mgła przechodziła w fiolet. Pomyślałem o starym Nicobarze Jonesie i o tym, że gdyby siedział obok mnie, mówiłby: „Cudne. Cudne”.

Nagle dotarło do mnie, że w drzeniu trawy jest coś nienaturalnego. Ponownie skupiłem wzrok na kępce. U jej szczytu, gdzie przerzedzała się jak woal, dostrzegłem nieruchome żółte oko.

Oczywiście był to lew. Nie chciałem go strzelać i właśnie miałem obudzić Ubusuku, żeby stamtąd odejść. Nagle jednak pomyślałem o von Holtzu i doszedłem do wniosku, że z wdzięcznością przyjąłby łeb tego lwa.

Powoli, po ułamku cała na sekundę, przyłożyłem sztucer do ramienia. Było mi niewygodnie, ale nie odważyłem się zmienić pozycji. Już zaczynały mi drętwieć mięśnie w krzyżu, gdy spojrzałem szybko wzdłuż lufy i nacisnąłem spust.

Lwica poderwała się na tylne łapy, przednimi zamachała w powietrzu, upadła na grzbiet i znieruchomiała. Myślałem, że Ubusuku zerwie się na nogi, ale gdy na niego spojrzałem, on tylko się uśmiechał. Zrozumiałem, że leżąc, przez cały czas przyglądał się moim wyczynom.

Wprowadziłem do komory nowy nabój i ostrożnie poszedłem naprzód. Lwica wydała głębokie sapnięcie i zdechła. Ubusuku ją oparwił. Mój pocisk trafił cał poniżej oka, które widziałem zza krzaka.

Z całą pewnością lwica nie siedziała za tą kępą, gdy w pobliżu był von Holtz i inni. Zresztą - przypomniałem sobie - du Toit stał blisko tego miejsca na chwilę przed tym, jak ruszył do obozu. Lwica leżała gdzieś w buszu i gdy von Holtz i jego goście nieświadomie skierowali się w jej stronę, zaszła ich chyłkiem od tyłu. Koncentrując się na ludziach, którzy przyciągnęli jej uwagę, była pewnie nie mniej zaskoczona niż ja, gdy jej wzrok padł na mnie przez trawę.

Ledwo Ubusuku związał skórę i łeb, usłyszeliśmy to, na co czekaliśmy - strzały ze sztucera. Trzy wystrzały jeden po drugim, potem dwa oddzielone sporą przerwą i znów trzy oddane szybko.

SOS! Gdzieś w kierunku zachodnim któryś z myśliwych się zgubił i wzywał pomocy. Ubusuku odpowiedział czterema strzałami, chrząknął z niesmakiem i pobiegł w tamtą stronę.

Pół godziny później wydawało mi się, że słyszę strzały daleko na południu, ale nie byłem pewien. Przez długi czas trwała cisza. Następnie na końcu alei krzaków zobaczyłem idącego ku mnie człowieka. Zbliżał się szybkim krokiem, nie oglądając się na prawo ani na lewo. Zobaczyłem, że to Hein. Poruszał ustami. Spojrzał na mnie niewidzącym, pustym wzrokiem.

- Hein! - zawołałem.

Zatrzymał się w pół kroku, zwrócił ku mnie, rozpoznał i zaczął drżeć. Odwróciłem się, żeby mógł opanować nerwy. Wkrótce odezwał się:

- Zabłądziłem.

- Tak, wiem.

Milczał aż do chwili, gdy dotarliśmy do obozu. Wtedy powiedział:
- Dziękuję.

Ranfurly i Bischoff bez problemu trafili z powrotem. Mertens strzelał o pomoc pół mili od obozu. Du Toit poszedł i go przyprowadził. Gdy Ubusuku pojawił się z Voglem, było już ciemno. Von Holtz dobrnął sam kilka minut później. Aż trząsał się ze złości. Nie patrząc na nas, pomaszerował do swojego namiotu i widzieliśmy przez uniesioną połą, jak nalewa sobie drinki z kanciastej zielonej butelki.

Ubusuku i jeden z tragarzy poszli w noc, żeby przynieść skórę lwa. Gdy wrócili, zaniósłem ją do namiotu von Holtza. Przez chwilę patrzył na lwi łeb, po czym zelżył mnie po niemiecku. Kazał zabrać tę cholerną rzecz z jego oczu.

- Sam strzelę lwy - oświadczył.

Następnego ranka wręczyłem Ubusuku gwizdek Galtona - wydający tony o zbyt wysokiej częstotliwości dla ludzkiego ucha, ale łatwo słyszalny dla lwów. Ubusuku wiedział, co ten gwizdek oznacza. Używał go już wcześniej. Wyszczерzył w uśmiechu białe zęby.

- Coś mi się wydaje, o *Baas* - zagrzmiał - że nasi myśliwi będą mieli co opowiadać wnukom.

Poleciłem mu zabrać ze sobą Johannesesa, jednego z chłopców obozowych. - Gdy wytropisz lwy, odeślij Johannesesa z powrotem - powiedziałem.

Johannes pojawił się jakiś tydzień później, gdy rozbijaliśmy obóz. Wczesnym popołudniem dostrzegł ze szczytu *kopje** wzniesiony przez

* *Kopje* - (afrikaans) pagórek.

nas pył. Powiedział, że obaj z Ubusuku zlokalizowali stado lwów, które mieszkają wśród skał, siedemdziesiąt mil w stronę Mabombwe. - Zanim odszedłem, daliśmy im pierwszy posiłek - oznajmił.

Na tym polega sztuczka. Należy karmić stado lwów, aż się przyzwyczają, że co drugi dzień w tym samym miejscu znajdują antylopę lub zebłą. Trzeba je karmić, aż zaprzestaną polowań. W chwili gdy się rzuca krwawą padlinę w miejscu karmienia, należy gwizdać gwizdkiem Galtona. Lwy szybko uczą się kojarzyć dźwięk gwizdka z pożywieniem i przybiegają pędem.

Przez następne dwa tygodnie powoli przesuwałem karawanę w stronę Mabombwe. Dwa razy próbowaliśmy podchodzić lwy, ale bez powodzenia. Innej zwierzyny nie brakowało i von Holtz miał kilka dobrych strzałów. Widziałem jednak, iż brak wśród trofeów lwa traktuje jako plamę na honorze.

Pewnego popołudnia założyliśmy obóz o godzinę drogi od miejsca, gdzie Ubusuku karmił lwy. Zakradłem się tam z Johannesem, by obejrzeć przygotowania. Zastaliśmy Ubusuku, jak usuwał kości zwierząt, którymi karmił stado. Pionowe skały znajdowały się około dwustu jardów od drzewa cierniowego o płaskiej koronie. Za skałami wyrastały nierówną linią szarozielone chaszczki. Ubusuku wybrał miejsce do karmienia tak, żeby drzewo znajdowało się pomiędzy nim i skałami. Powiedział, że w stadzie są trzy samice, dwa samce i dwa młode. Nie spały pośród skał, tylko za nimi, w krzakach. Idąc na miejsce karmienia, przechodziły pomiędzy skałami.

Nazajutrz o świcie wyruszyłem z von Holtzem, Heinem, Ranfurlym i z ich nosicielami broni, żeby zdobyć mięso. Vogel, Mertens i Bischoff mieli kaca i nie chcieli wstać. Gibson też został w obozie. W ciągu godziny zesliśmy do wąwozu i trafiliśmy prosto na stado szpringboków. Zwierzęta zerwały się w wysokich podskokach. Zanim stado ruszyło susami i znalazło się poza zasięgiem, położyliśmy pięć sztuk.

Tuż przed południem poprowadziłem grupę w stronę drzewa cierniowego. Gdy się zbliżaliśmy, zobaczyłem Ubusuku zdążającego nam na spotkanie. Zatrzymywał się, klękał, wstawał, posuwał się kilka jardów, kuczał, znów wstawał, jakby szedł po trudnym tropie. Grał tak naturalnie; nikt by się nie domyślił, iż wie, że tam jesteśmy i że przez cały czas go obserwujemy.

Zatrzymaliśmy się pod drzewem cierniowym i patrzyliśmy, jak ten postawny Zulus zbliża się do nas. W końcu dał znak, że nas zauważył, i uniósł nad głową dłoń wewnętrzną stroną skierowaną ku nam. Był to dla mnie sygnał, że wszystkie lwy są w mateczniku. Dałem mu znak „kontynuuj”. Wszedł za krzak i zagwizdał gwizdkiem Galtona.

Gdy pierwszy lew, samiec, wyłonił się powoli zza skał, powiedziałem:

- Dwieście jardów, dwunasta, o palec w prawo - lew!

W chwili gdy von Holtz i inni odwracali się w stronę skał, również pozostałe lwy wyszły na otwartą przestrzeń. Przez kilka sekund drepwały w miejscu, po czym jeden z samców dotknął pyskiem ziemi i wydał niezdecydowany ryk. Drugi samiec niecierpliwie kołysał ogonem. Jedna z samic ruszyła lekkimi susami do miejsca karmienia. Pozostałe poszły jej śladem. Ponieważ drzewo cierniowe, koło którego staliśmy, znajdowało się pomiędzy nimi i oczekiwaną padliną, zdawało się, że całe stado nas atakuje.

Jak mogłem nie podziwiać reakcji tych trzech mężczyzn? Ranfurly rzucił: - Na moją ciotkę! - i kciukiem odbezpieczył sztucer. Hein szybkim ruchem przyłożył broń do ramienia. Kolba zaplątała mu się w ładownicę i zakłął pod nosem. Von Holtz przytknął policzek do kolby swego sztucera i czekał. Nosiciele broni ruszyli zwartą grupką ku Ubusuku.

Von Holtz strzelił z około stu dwudziestu pięciu jardów i położył wiodącego samca. Dwa szybkie strzały i powalił samicę. Hein zranił drugą z samic. Zawróciła z rykiem. Strzelił do niej ponownie, obejrzała się, zrobiła kilka susów, zatrzymała się i wbiła sobie zęby w bok. Rozległy się trzy kolejne strzały i samica upadła. Pozostał jeszcze jeden samiec i samica i mimo że kilka razy zostały trafione, cały czas się zbliżały. Gdy doszły na około sześćdziesiąt jardów, pomyślałem, że czas wziąć sprawy w swoje ręce, ale gdy uniosłem sztucer, obydwie padły, wijąc się, wierzgając i warcząc. Von Holtz podszedł i dostrzelił je.

Bez słowa ponownie załadował magazynek. Następnie położył mi rękę na ramieniu i powiedział: - To był dobry dzień.

Patrzyłem, jak Kafrowie zaczynają oprawiać lwy, i poczułem się jak łajdak. Dwa małe lwiątko zawodziły u boku matki. Podszedłem i wziąłem je na ręce.

Słonie

Jeśli znacie zwyczaje i usposobienie słoni, jeśli towarzyszy wam dobry tropiciel, jesteście ostrożni i potraficie trzymać nerwy na wodzy, raczej nie grozi wam niebezpieczeństwo ze strony tych wielkich zwierząt. Lew, w pewnych okolicznościach, może zaatakować nie będąc sprowokowanym. Istnieje obawa, że lampart skoczy z drzewa na niespodziewającego się niczego człowieka; ale jest niemal pewne, że żaden słoń nie zaatakuje, o ile nie uczyniliście czegoś, co napawa go strachem lub złością.

Słonie zabiły wielu ludzi, wielu raniły, ale w każdym przypadku, jaki znam lub o jakim słyszałem, doszło do tragedii z winy ofiary. Zabójcami są nieostrożność, niewiedza i nieuzasadniony strach.

Pierwszym człowiekiem, którego słoń zabił na moich oczach, był Bur, poszukiwacz bogactw naturalnych, Willy de Beer. Pracowałem w tym czasie dla Nicobara Jonesa jako myśliwy dostarczający mięso i de Beer dołączył do naszej karawany wozów transportowych, żeby zapewnić sobie ochronę podczas długiego, trudnego przejścia przez garb Mount Elgon z Kitale po stronie kenijskiej do Mbale tuż za granicą Ugandy.

Drugiego dnia podróży, wyprzedzając wozy o kilka mil, Jones, de Beer, Ubusuku, ja i pięciu tragarzy Suahili weszliśmy na polanę, tu i ówdzie gęsto porośniętą akacjami, drzewami masłowymi i karłowatymi drzewami cierniowymi. W nadziei, że uda nam się wypłoszyć kilka antylop, rozciągnęliśmy się i zaczęliśmy podchodzić od krzaka

do krzaka, od drzewa do drzewa.

Nagle, prosto przed nami, zza gęstwiny chaszczy dobiegł nas ostrzegawczy ryk słonia, a po nim rozległo się przeraźliwe trąbienie innych, rozproszonych osobników. Każdy z nas przycupnął za najbliższym krzakiem lub drzewem, a pięć biegnących ciężkim krokiem bestii - cztery dorosłe i jeden na wpół wyrosnięty byk - wyłoniło się zza gałęzi niecałe sześćdziesiąt jardów od nas. Przeraziło je coś po przeciwnej stronie polany.

Nadeszły zbyt szybko, żebyśmy mogli uczynić coś więcej, niż przykucnąć i czekać, w napięciu wstrzymując oddech. Biegły z łoskotem, kołyszając głowami, z uniesionymi wysoko ciosami, omijając przeszkody. Każdy z nas wiedział, że jeżeli pozostanie za swą wątlą osłoną, stado prawdopodobnie przewali się, nie czyniąc mu krzywdy. Słoń może raz na sto szarzy staranuje drzewo czy krzew. Zawsze jednak pozostaje ta jedna możliwość.

De Beer byłby zupełnie bezpieczny tam, gdzie się skrył, jako że za osłonę wybrał trzy sterczące blisko siebie, postrzępione na górze pnie połamanych drzew. Ale gdy tyraliera ryczących słoni ruszyła ku nam, puściły mu nerwy. Wyskoczył z kryjówki i rzucił się pędem w poprzek linii ich biegu. Jedna z krów uderzyła go przednią nogą. Wskoczył przed nią tak nagle, że wątpię, czy w ogóle go zauważyła. W każdym razie wykonał salto i wpadł pod młodego byka.

Przerazone stado biegło dalej.

Tej nocy pochowaliśmy de Beerà, owinąwszy jego ciało nowym, czerwonym kocem.

W historiach, które w pubach Nairobi opowiadają myśliwi zrzeszeni w Big Game Association, nie ma miejsca na długą, upalną monotonię podchodzenia ani na nudę rutynowych polowań na słonie. Są to na ogół opowieści o tragediach, które miały miejsce albo które niemal miały miejsce, a każdy słoń jawi się w nich jako potwór, każdy zaś potwór to zabójca.

To dykteryjki dla naiwnych.

Pomijając zdarzających się od czasu do czasu starych samotników, samce słonia pierwsze uciekają przed myśliwym. Samice ustawiają się między niebezpieczeństwem i samcami i ponaglają je do ucieczki

w gęste zarośla, by schroniły się przed zagrożeniem. A samce na ogół nie zwlekają z ucieczką, zostawiając samice i młode, by radziły sobie w tarapatkach, jak potrafią.

To samice mają odwagę stawić czoło niebezpieczeństwu. To ciężarne krowy atakują niemal bez ostrzeżenia. Stadu zawsze przewodzi stara krowa. Złośliwy samotnik zdarza się tylko raz na jakiś czas, ale ciężarna krowa jest zawsze bezlitosna. Za prowokację do ataku wystarcza jej często jedynie widok lub zapach myśliwego.

Owszem, słonie niekiedy atakują, ale pomijając wspomnianych „nikczemników”, ostrzegają wyraźnie. Nigdy nie widziałem, żeby słoń zaatakował, nie zawiąwszy uprzednio uszu do tyłu w charakterystyczny sposób. Nie zawsze oznacza to, że taki słoń spróbuje was stratować, ale oznacza, że jest gotowy coś uczynić. Może się odwrócić i zaszarżować w prawo lub w lewo, lub może ruszyć prosto na was.

Wiele osób zginęło, ponieważ sądziły, że słonie, szarżując, zawsze mają rozpostarte uszy, podniesioną trąbę i trąbią. Często tak jest, ale czasami atakują z trąbą opuszczoną, zawijając jednie jej końcówkę, i nie wydają ani stęknienia. Gdy tak się zdarzy, znaczy to, że słoń nie żartuje.

Nagle pojawienie się człowieka w odległości kilku jardów nie przeraża ani nie złości słonia, dopóki nie wyczuje on ludzkiego zapachu. Na ogół gdy ktoś zbliży się pod wiatr, słoń wykazuje jedynie zaciekawienie. Prawdopodobnie zamacha rozpostartymi uszami i będzie się wpatrywał w intruza ze zdziwionym wyrazem swych łagodnych oczu. Możliwe, że odwróci się i odejdzie, zatrzyma się po kilku jardach, zawróci i przyjrzy się ponownie.

Gdy myśliwy poruszy się albo spowoduje hałas, zwierzę niekiedy wykonuje krótkie, gwałtowne ruchy bokiem lub udaje szarżę, trąbiąc przy tym. Jeśli myśliwy pozostanie na miejscu, słoń zawróci i podąży do stada, które, ostrzeżone jego rykami, zbiera się razem i odchodzi, wydając krótkie porykiwania i złe pomruki.

Gdy słonie zwietrzą myśliwego, ale go *nie widzą*, stado wyciągniętymi trąbami próbuje ustalić, skąd pochodzi niebezpieczeństwo. Gdy już zlokalizują zagrożenie, wszyscy członkowie stada zwracają się w

tym kierunku, po czym odwracają się i odchodzą, powłócząc nogami i kołysząc głowami. Młode cienko porykują, usiłując skryć się pod brzuchami matek.

Wątpię, czy w ostrym słońcu słoń potrafi rozpoznać człowieka z odległości ponad dwudziestu jardów. O świcie lub o zmierzchu zwierzęta te widzą nieco lepiej, ale z odległości czterdziestu jardów nie potrafią odróżnić człowieka od pnia. A słonie nie atakują pni.

Odgłosy słoni pozwalają profesjonalnemu myśliwemu dość dobrze ocenić, w jakim nastroju jest dany osobnik czy stado. Gardłowe pomruki oznaczają zadowolenie. Samce często mruczą, gdy zalecają się do partnerek. Niskie dźwięki, przypominające kwik, oznaczają przyjemność. Głośny, ciągły, gardłowy łoskot to lęk. Taki sam dźwięk, ale o niższej częstotliwości, wydają ranne słonie. Porykiwania krów mogą być ostrzeżeniem dla młodych, wstępem do ataku, okrzykami ostrzegawczymi lub odstrasżającymi. Cielaki pokaszują, gdy rozmawiają z matkami. Dorosłe osobniki pokaszują, gdy są zdeenerwowane.

Kiedy słoń zostanie trafiony, wydaje ryk. Czasami ryczy, gdy jest zły. Trzewia słoni burczą, z krótkimi przerwami, w dzień i w nocy. Zwierzęta te wydalają co czterdzieści pięć minut, dzięki czemu tropicielowi łatwo jest określić, w jakiej odległości znajduje się stado. Często uderzają uszami o tułów. Hałaśliwe żucie liści, gałęzi i kory ustaje jedynie wtedy, gdy stado drzemie w upale dnia.

Większość białych myśliwych zna i rozpoznaje te odgłosy, ale dla czarnych tropicieli, jak Ubusuku, dźwięki mają znaczenie, jakiego biały człowiek nigdy nie jest w stanie odgadnąć. Na przykład Ubusuku wskazuje na słonia i mówi:

- Tego boli brzuch. Wkrótce odejdzie od stada. Łatwo będzie go podejść, bo myśli jedynie o swoich trzewiach.

Albo mówi: - Ten młody byk chce tamtej wielkiej krowy. Wielka krowa jest żoną byka o grubej skórze. Stary byk wie, co młody knuje. Wkrótce zaczną walczyć.

Albo: - Ten stary pragnie wody. Prawie umiera. Pójdzie do rzeki i ukucnie w wodzie. Ale woda nie ujmie mu lat. Umrze w wodzie. Krokodyle zjedzą mięso i bez problemu dostaniemy jego kły.

I Ubusuku prawie nigdy się nie myli.

Polowanie na słonie nie wygląda tak, jak się powszechnie sądzi. Duża zwierzyna jest interesująca, ale polowanie na nią wymaga ciężkiej pracy. Czy to niebezpieczne? Dla człowieka, który wie, co robi, nie bardzo. Ale nawet najlepsi bywają nieostrożni.

Pewnego późnego wrześnieowego popołudnia w pobliżu granicy między Tanganiką i Kenią, około czterdziestu mil na wschód od Jeziora Wiktorii, stałem wraz z Ubusuku w gęstych zaroślach i słuchałem stłumionych odgłosów stada słoni, które tropiliśmy od pięciu dni w niebywalej spiekocie.

Byłem zmęczony, spocony, pokłuty cierniami i zastanawiałem się z przynębieniem, dlaczego nie znalazłem sobie mniej wyczerpującego i bardziej dochodowego zajęcia niż polowanie, gdy nagle Ubusuku schylił się, chwycił dwie garście wilgotnego słoniowego łajna i natarł mi nim plecy i tors.

- *Gashle, Baas* - powiedział półszepem. - Wiatr się zmienił. Mogą pana wyczuć.

Była to stara sztuczka Pigmejów - smarowanie człowieka łajnem, żeby słonie nie wyczuły ludzkiego zapachu. Słonie zawsze się denerwują, gdy zwietrzą białego człowieka, i często uciekają w panice. Gdy mijają miejsce, w którym stał biały, często depczą je zawzięcie.

Ubusuku puścił mnie, wytarł brudne ręce o swe gołe łydki, podszedł do drzewa, uszczknął kawałek spróchniałej kory, roztarł ją w dłoniach i powstały w ten sposób proszek posypał powoli na ziemię. Powiew, który kilka chwil wcześniej dolatywał ku nam od strony słoni, teraz zdecydowanie zmienił kierunek na odwrotny.

Wybaczyłem mu to łajno.

Mieliśmy do wykonania trudne zadanie. Od producenta kul bilardowych otrzymałem zamówienie na żółtą kość słoniową. I do tego pilne. A tymczasem tak uporczywie polowano na stada słoni w Afryce Wschodniej, że zwierzęta rzadko opuszczały przed zmierzchem schronienie w postaci gęstych krzaków i zawsze wracały do swoich kryjówek przed świtem.

Zadanie byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby producent bil zamówił „błękitną” kość słoniową, pochodzącą od mniej płochliwych stad słoni z wilgotnych terenów Konga. Jednak do kul bilardowych

nadawała się jedynie kość wschodnioafrykańska, o żółtawym odcieniu. Była chropowata i sprężysta.

Natknęliśmy się na trop niewielkiego stada i podążaliśmy za nim przez równiny, wzdłuż niekończącego się jaru, przez porośnięte chaszczami pagórki, przez sięgającą kolan trawę, która wczesnym rankiem ociekała rosą, a po południu szeleściła suchością. Czołgaliśmy się na czworakach przez gęste cierniowce i potykaliśmy się na kamienistych płaszczyznach. Słonie przemieszczały się „wydłużonym krokiem”, co znaczyło, że przenosiły się w jakieś miejsce Bóg jeden wie, jak bardzo oddalone.

W każdym razie doganialiśmy je, ponieważ ich odchody codziennie były świeższe. Tego dnia tuż przed zachodem słońca znów weszliśmy w gęstwinę. Połamane gałęzie i wszechobecne świeże łajno wskazywały, że stado przedzierało się tędy krótko przed nami.

Poruszaliśmy się powoli. Ubusuku co kilka minut sprawdzał wiatr. Niekiedy wysuwał język, jakby oceniał smak powietrza. Innym razem sypał skruszoną korę. Czasami tylko pociągał nosem. Trzymaliśmy się pod wiatr, idąc bezszelestnie. Nagle Ubusuku stanął prosto i nasłuchując, zaczął kręcić głową.

W końcu uśmiechnął się - jego zęby błysnęły biało w cieniu - i wskazał przed siebie, nieco w lewo. Przystawiłem do ucha dłoń zwinętą w trąbkę i usłyszałem krótkie pokasływanie cielaka rozmawiającego z matką. Zdawało mi się, że dociera też do mnie burczenie słoniowych trzewi.

To właśnie w tym momencie Ubusuku pokrył mnie warstwą gnaju.

Zanim Ubusuku, jak zwykle uzbrojony jedynie we włócznię i w toporek, wrócił ze zwiadu, zdążyłem się przyzwyczaić do zapachu łajna. Poszedłem za postawnym Zulusem w gąszcz, który wkrótce stał się niemal niedostępną dżunglą. Schylając się, kucając, czasami pełznąc na brzuchu, trzymając sztucer tak, żeby nie zawadzać o pniaki i gałęzie, wyczuwając ostrożnie dłońmi i kolanami suche patyki, które niekiedy kryły się pod liśćmi i trawą, nie mogłem się nadziwić, z jaką łatwością słonie przemieszczają się przez splątaną roślinność, pozostawiając po swym przejściu tak niewiele śladów. Dziwiłem się

również, co to za zew każe człowiekowi zarabiać na życie zdobywaniem kości słoniowej, gdy mógłby podjąć stosunkowo łatwą pracę, polegającą choćby na kopaniu rowów.

Nie ma cięższego polowania niż polowanie na słonie. Mam na myśli wysiłek fizyczny. Na ogół oznacza ono długie dni skwaru, zimna, deszczu, much, kleszczy, mrówek, potu, rozległych równin i gęstych lasów i w końcu można się nawet nie natknąć na stado.

Nowicjuszowi szarżujący słoń jawi się jako nadchodząca zguba. Stary wyga wie, że przynajmniej w połowie wypadków taki słoń blefuje i że jeśli człowiek nie da się przestraszyć, zwierzę zatrzyma się niepewnie, podrepcze raz w jedną stronę, raz w drugą i w końcu odejdzie. Gdy dzieje się to w odległości trzydziestu czy czterdziestu jardów, myśliwy często ma możliwość śmiertelnego strzału na komorę. Ponieważ w mięśniu łopatki znajduje się masa naczyń krwionośnych i splot nerwów, posłanie tam dwóch lub trzech pocisków powoduje, że słoń ginie od szoku, zanim zdąży przejść pięćdziesiąt stóp.

Inna możliwość to, gdy słoń się zbliża z podniesioną trąbą i z rozchyloną paszczą, posłać pocisk półpłaszczowy prosto w tylną ścianę gardła zwierzęcia, odsunąć się szybko na bok i patrzeć, jak słoń pada do przodu i zatrzymuje się z niezgrabnym poślizgiem.

Wygląda to jak heroiczny czyn, ale wcale takim nie jest. Jeśli go się dobrze wykona, taki strzał w paszczę z piętnastu do dwudziestu jardów nigdy nie zawodzi. Fotografowie często robią zdjęcia szarżującym słoniom z odległości dziesięciu jardów. Oczywiście mogą się wydarzyć setki złych przygód, ponieważ słonie nie zawsze zachowują się zgodnie z regułami, ale jedna sytuacja niemal gwarantuje myśliwemu śmierć poprzez zmiażdżenie i przebicie ciosami. Tak dzieje się wówczas, gdy myśliwy do tego stopnia skupia się na zwierzęciu przed sobą, że nie słyszy zabójczego słonia zbliżającego się od tyłu. Niejednokrotnie tak się zdarzyło; niezauważony słoń posuwa się przez gęstą roślinność, myśliwy koncentruje się całkowicie na zwierzęciu z przodu, skradająca się bestia podchodzi bezszelestnie i nagle z tyłu następuje szarża przy akompaniamencie wrzasków. Znam jedynie

dwóch łowców, którzy uszli z życiem z takiej opresji. Obydwaj zostali okropnie poturbowani.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć słonie postępują tak, jak się można spodziewać. Za dziesiątym razem przed śmiercią lub kalectwem ratuje jedynie spryt, szybkość i głupie szczęście.

Oczywiście o tym nie wiedziałem, ale gdy wraz z Ubusuku podchodziliśmy tamto stado, miało mi się właśnie przytrafić to diabelne szczęście dziesiątego przypadku. Gdyby nie Ubusuku i jego amerykański toporek, stałbym się jeszcze jedną ofiarą - ofiarą własnej nieostrożności.

Gęsta dżungla przerzedziła się nagle i zza zasłony gałęzi wyjrzeliliśmy na polanę, taką jak w parku. Poprzez firanę krzaków na tle wieczornego nieba majaczyły ciemne kształty trzech słonic. Dwie z nich, odległe o mniej więcej siedemdziesiąt pięć jardów, były odwrócone do nas bokiem. Trzecia stała przodem i jej łeb wystawał ponad krzakiem jakieś pięćdziesiąt jardów przed nami. Wydawała piskliwe odgłosy zadowolenia i apatycznie wachlowała wielkimi uszami, uderzając nimi o tułów. Z drugiego końca polany dobiegały dźwięki matek i ich kwiczących i pokasłujących młodych.

Było jasne, że stado nie ma pojęcia o naszej obecności, ale Ubusuku, obawiając się zmiany prądów powietrza, bez przerwy sprawdzał wiatr. Najbliższa krowa miała największe ciosy, znacznie przekraczające średnią wagę trzydziestu do czterdziestu funtów. Ocenilem ich masę na siedemdziesiąt funtów każdy - sto czterdzieści funtów para.

Ustawiła się idealnie do strzału w czoło, czy też - jak mówią starzy myśliwi - do strzału „szachrajskiego”. W górnej części głowy słonia znajdują się jedynie kości powietrzne. Umieszczony tam pocisk wyraża zwierzęciu niewielką szkodę - tak niewielką, że czasami wsadza się tam dwie bądź trzy kule, a słoń odchodzi lub szarżuje, zależnie od nastroju. Poza tym czoło słonia afrykańskiego jest wypukłe i istnieje duże ryzyko, że pocisk odbije się rykoszetem. Strzał w czoło może sprawić myśliwemu wiele kłopotu.

Checiałem podejść blisko krzaka, nad którym rozmarzyła się ta wielka słonica, ale to wymagało przejścia dwudziestu pięciu jardów

po odkrytym terenie. Aby przyciągnąć uwagę zwierzęcia w inne miejsce, Ubusuku prześlizgnął się w bok, jak bezszelstna czarna mamba, a ja czekałem, aż zwierzę popatrzy w jego stronę.

Słoń zawsze staje przodem w kierunku oczekiwanego zagrożenia i musi w tym celu odwrócić całe ciało. Tak się właśnie stało. Ubusuku potrząsnął niewielkim drzewem. Słonica na wpół rozpostarła uszy i obróciła się niezdarnie ku odgłosowi. Nie zaniepokoiła się jednak i powoli, ociężale przyjęła poprzednią pozycję.

To krótkie odwrócenie uwagi pozwoliło mi podczołgać się na piętnaście jardów od krzaka. Ocenilem, że zwierzę po drugiej stronie stoi od niego mniej więcej w tej samej odległości. Znaczyło to, że dzieli nas trzydzieści jardów. Gdy słonica ponownie zaczęła spoglądać ponad krzakiem, ległem płasko na trawie.

Nagle mnie zobaczyła. Rozpostarła uszy. Wytrzeszczyła oczy. Zrobiła krok czy dwa do przodu, zatrzymała się i patrzyła uważnie. Wtedy prąd powietrza musiał zawirować i mnie zwęszyła. Zwinęła uszy do tyłu w ten szczególny sposób, który na ogół zapowiada szarżę, natychmiast ponownie całkowicie je rozwinęła, podwinęła trąbę, uniosła ciosy, ryknęła i ruszyła na mnie.

Byłem pewien, że obejdzie krzak, gdyż nawet najbardziej rozzłoszczone szarżujące słonie omijają pnie i przeszkody znajdujące się na ich drodze. Ponieważ ryczała, sądziłem, że blefuje. Pomyślałem, że jeśli tylko straszy, zatrzyma się przy tym krzaku.

Owszem, ominęła krzak. Ale nie udawała. Zaczęła zawracać. Nie przejąłem się zbyt. Po pierwsze, w takich przypadkach liczą się ułamki sekund. Po drugie, coś takiego nie przytrafiło mi się pierwszy raz. Leżałem wyprostowany, prawą ręką trzymając sztucer w środku ciężkości. Szarpnąłem lufę do góry i wsparłem końcówkę kolby na ziemi, żeby unieść się na kolana. Miałem spoconą dłoń. Ześlizgnęła się po gładkim drewnie. Sztucer klapnął na ziemię, a ja straciłem równowagę i rozciągnąłem się na nim. Nie było już czasu na strzał, ledwie tyle, żeby się usunąć z drogi. Usunąłem się. Stopa zaplątała mi się w pasek sztucera i upadłem na twarz. Przeturlałem się na bok

dokładnie w tym momencie, gdy zwierzę dotarło do miejsca, w którym przed chwilą się znajdowałem. Zdziwiona słońca zatrzymała się, wykonała krótki ruch w bok i z powrotem, zauważyła sztucer i nadepnęła na niego ze złością. Zanim zdążyłem się po niego rzucić, dostrzegła mnie, okraczyła i zaczęła przyklękać. Zdołałem się obrócić tak, że tkwiąc bezpośrednio pod nią, nogi miałem skierowane ku jej głowie.

To, co wydarzyło się dalej, pamiętam jak przez mgłę. Przypominam sobie, że ujrzałem jej prawą tylną nogę, górującą nade mną jak potężny filar. Drzewa w lesie rosły w taki dziwny sposób, że przez szparę między nimi widziałem zachodzące słońce. Jest *bardzo daleko stąd* - pomyślałem. Następnie zobaczyłem Ubusuku, który kuczał za słońcą, jak jakaś cudowna zjawa. Ujrzałem błysk jego toporka tnącego ścięgna lewej tylnej nogi zwierzęcia kilkanaście cali nad ziemią. Zobaczyłem, jak stopa słońcy odchyła się, podeszwą prostopadle do ziemi. Wyglądała, jakby była odłamana w kostce. Takie nacięcia ścięgna to była stosowana od wieków sztuczka krajowców. Większość zwierząt, szczególnie nosorożce, może się poruszać na trzech nogach, ale słoń potrzebuje czterech. Słoń z niesprawną nogą nie jest zdolny do walki.

Ubusuku wyciągnął mnie i odrzucił na bok. Postawił mnie na nogi. Pobiegliśmy ku skrajowi polany. Zatrzymaliśmy się w krzakach i z ukrycia obserwowaliśmy słońcę. Z jej gardła wydobyło się głębokie dudnienie, ale trąba zwisała bezwładnie, a uszy oklapły. Stała nieruchomo jak posąg. Wiedziała, że już jest po niej. Zrobiło mi się jej żal.

Odwróciłem się ku reszcie stada i zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak ostatnie ze zwierząt znika w buszu po drugiej stronie polany. Nie były przerażone, ale wydawały dźwięki przypominające stłumiony odgłos bębnow.

Mój sztucer leżał pod ranną słońcą. Drugi sztucer znajdował się o mile od nas, wraz z tragarzami i sprzętem, w obozowisku, gdzie spędziliśmy ostatnią noc. Z innej broni miałem przy sobie jedynie starego, zużytego colta .45, w kaburze przymocowanej do nogi. Używałem go czasami, żeby skrócić cierpienie rannych zwierząt. Zakradłem się od tyłu wzdłuż lewego boku słońcy. Wiedziała, że tam jestem, ale nie

próbowała odwrócić głowy; jedynie lekko uniosła uszy, a dudnienie pogłębiło się. Sięgnąłem po .45 i strzeliłem jej w skroń. Nawet nie drgnęła. Drugi pocisk wprowadziłem jej w oko. Upadła, wyciągnęła trąbę na ziemi i zdechła.

Miała w kłębie dziesięć stóp i siedem cali. Obwód dolnej części jej nogi wynosił sześćdziesiąt cali. Rozłożone uszy mierzyły od końca do końca osiem stóp i siedem cali.

Gdy odrąbywaliśmy siedmiostopowe ciosy, Ubusuku nie odezwał się słowem, ale wiedziałem po jego prychnaniu i pomrukach, iż praca z takim nieostrożnym myśliwym, któremu tropiciel musi ratować życie, napawa go niesmakiem. Gdy ciosy leżały już obok siebie, rzekł:

- Ryba, która ma za ciężką głowę, pływa z zadkiem ponad wodą, o *Baas*.

- Noga mi się zaplątała w pasek - powiedziałem.

- Małpa przyłapana z łapą w tykwie twierdzi, że miała pecha, o Amerykaninie, ale tropiciel wie, że małpa jest głupia.

- Dziękuję - odparłem.

- Mnie zadek nie wystawał ponad wodę - stwierdził Ubusuku.

Myśliwy polujący dla zdobycia kości słoniowej niekoniecznie jest zabójcą słoni. Wiele kości przeznaczonej na handel pochodzi z zębów hipopotamów i z kłów dzików; a w moim przypadku około siedemnastu procent pochodziło z zasobów zgromadzonych przez Pigmejów i innych tubylców.

Obecnie polowanie dla prawdziwej kości słoniowej przynosi niewielkie dochody, mimo że cena utrzymuje się wciąż na tym samym poziomie - przynajmniej piętnaście szylingów za funt. Rzecz w tym, że zezwolenia na odstrzał słoni są kosztowne, a wydatki ponoszone na tropicieli, żywność, transport i inne elementy safari - niebotyczne.

Ważnym rynkiem sprzedaży kości słoniowej są Indie. Większość słoni ginie nielegalnie z rąk krajowców, od zatrutych strzał. Kłusowników organizują i kontrolują Hindusi z Tanganiki, a Arabowie szmuglują ich łupy poza kraj.

Wbrew powszechnemu przekonaniu nie ma czegoś takiego jak cmentarzysko słoni. Gdy słonie czują, że nadchodzi śmierć, szukają wody. Zanurzają się w rozlewiskach rzecznych i w mokradłach, by

woda ukoła ich ostatnie, niespokojne ruchy. Po ich śmierci krokody-
le i ryby odzieraają kości z mięsa. Z upływem czasu szkielety wraz z
ciosami pograżają się w piasku i mule rzeki bądź w grzęzawiskach.

Miejscowi przeszukują mokradła i dna rzek i z biegiem lat groma-
dzą duże ilości ciosów. Poszukiwacz kości słoniowej, któremu uda się
namówić właścicieli takich kolekcji na handel lub wymianę, na ogół
robi świetny interes.

Kiedyś dostałem od szczepu Pigmejów w puszczy Ituri, w Kongu,
pięć tysięcy dwieście funtów kości słoniowej za to, że ofiarowałem
maleńkiemu wodzowi o imieniu Bobo rżęsy słonia, którego właśnie
zabiłem. Te rżęsy to była dla Boba najwspanialsza rzecz, jaka kiedy-
kolwiek trafiła do jego rąk. Wierzył, że ich posiadanie da mu siły ma-
giczne i że stanie się płodny jak góralek.

Gdy wkroczyli moi tragarze, żeby zabrać 131 ciosów, członkowie
plemienia zagrozili nam zatrutymi strzałami, ale Bobo łatwo stłamsił
ich gniew, pokazując zawiniątko z rżęsami. Gdy wyruszyliśmy z łą-
dunkiem „zębów”, Bobo wszedł na przewrócony pień, zaczął walić w
brązowy tors, jak to czynią goryle, wypiął pępek, wystający jak prze-
rośnięty orzech włoski, i zaskrzeczał:

- Będę ojcem tysięcy. Będę się mnożył jak góralek.

Może w gruncie rzeczy cena, jaką uzyskał za kość słoniową, nie
była taka zła.

Z tą partią kości słoniowej wiąże się pewna tajemnica. Mniej wię-
cej połowa ciosów była to brązowawoczarna, spójna kość z Afryki
Zachodniej; druga połowa miała słomkową barwę charakterystyczną
dla ciosów z Afryki Wschodniej, a nigdy nie było stada wschodnio-
afrykańskiego w odległości mniejszej niż pięćset mil od miejsca,
gdzie ukryto ten skład.

Logiczne jest wyjaśnienie, że te ciosy to był łup zdobyty na arab-
skich karawanach, prawdopodobnie zmasakrowanych przed laty.

Polowanie na hipopotamy w celu zdobycia ich kłów jest obecnie
uważane za równie nieetyczne jak polowanie na lwy przy pomocy
psów myśliwskich. Po prostu porządni biali już się tym nie parają.
Hipopotamy są tak łagodnymi, nieszkodliwymi zwierzakami i tak
łatwo się poddają, gdy nie mają wyjścia, że polować na nie to niemal

tak, jak strzelać do krów na pastwisku*.

* Jednak według dzisiejszych statystyk jest to najbardziej niebezpieczne zwierzę Czarnego Łądu. Spośród turystów, którzy w ostatnich latach zginęli w Afryce, najwięcej zostało zaatakowanych właśnie przez hipopotamy (przyp. konsultanta).

Nigdy nie zapomnę, jak pewnego ranka nad małą rzeką w Ugandzie moi tropiciele otoczyli wielkiego samca hipopotama, który oddalił się poza przybrzeżną trzcinę. Gdy zwierzę zorientowało się, że jest odcięte od wody, przysiadło i patrzyło na mnie, przypominając dużą świnię. Nie miałem serca go zastrzelić, więc posłałem pocisk w ziemię, koło jego zadu.

Wstał, spojrzął na mnie z wyrzutem, odszedł jakieś sto stóp i znów przysiadł. Jego samica, słysząc strzał, wyszła kołyszącym się krokiem z trzcin, zobaczyła męża, podeszła i położyła się obok niego. Wyciągnął się, opierając głowę na jej brzuchu, i zasnął. Odszedłem z niesmakiem.

Kupowałem lub wyludzałem tysiące kłów hipopotamów od krajozców, którzy zazwyczaj zabijają te wielkie zwierzęta przy pomocy harpunów, dokładnie tak, jak zabija się wieloryby; to znaczy wbija się w nie oszczep, do którego przywiązany jest jeden koniec liny. Drugi jej koniec jest umocowany do dużego kamienia. Ranione zwierzę, nie będąc w stanie długo ciągnąć tego bolesnego brzemienia, tonie.

Pawiany

Jeśli ktoś chce przetestować swoje zdolności łowieckie, proponuję, żeby spróbował zapolować na pawiany czakma. Żadne zwierzę, nie wyłączając afrykańskiego bawołu, nigdy mnie tak nie zwodziło, jak te szare lotry. Do dziś wcale nie jestem pewien, czy mam więcej rozumu niż pawian.

Przez większość roku 1911 i 1912 pracowałem jako myśliwy zaopatrujący w mięso karawanę wozów transportowych kursującą pomiędzy Salisbury w Rodezji, Kongiem, Tanganiką i Kenią. Zarabiałem około stu dolarów miesięcznie, ale dodawałem własną broń i amunicję. Już niemal porzuciłem nadzieję na odłożenie sumy wystarczającej na zakup własnych wozów i wołów, gdy ktoś mi powiedział, iż rząd Transwalu jest gotów zapłacić szczodre pięć szylingów za każdego pawiana strzelonego w okręgu Magaliesberg.

Jako że w trzydziestopięciomilowym paśmie górskim Magaliesberg żyło około osiemnastu tysięcy pawianów, stanęła przede mną wizja szybkich i dużych pieniędzy. Starzy wyjadacze mówili mi, że nie da się zarobić na życie strzelając pawiany, ale ja byłem mądrzejszy. Czyż nie widziałem masy pawianów na zalesionych terenach Rodezji i Tanganiki? Moim zdaniem nie zachowywały się zbyt inteligentnie. Wiedziały jedynie, że na widok białego człowieka powinny zejść z drzewa i ukryć się w wysokiej trawie, i wydawało mi się, że na tym ich spryt się kończył. Nigdy do tej pory nie zdarzyło mi się strzelić pawiana.

Nie zdawałem sobie sprawy, że pawiany, na które nigdy nie polowano, to jedno, a pawiany, które już kiedyś znajdowały się pod

ogniem sztucera, to całkiem co innego. A na pawiany z Magaliesberg polowano dość często.

Od dwóch lat panowała susza i pawiany zamieszkałe na tych wzgórzach były wygłodniałe. Z konsumentów jagód, nasion, dzikich owoców i owadów przerodziły się w mięsożerców. Nie dość, że obrały w perzynę uprawy farmerów u podnóża gór, to jeszcze zabijały i pożerały świny, owce, jagnięta, kozy, kury, a nawet psy. Stanowiły zagrożenie gospodarcze, który należało powstrzymać. Stąd pięcioszylingowe wynagrodzenie.

Należy pamiętać, że te duże, brzydkie stworzenia o psich pyskach i chwytnych czterech kończynach ważą do stu trzydziestu funtów i że żadne zwierzę nie potrafi tak szybko przystosować się do zmiany środowiska, jak one. Są podstępne, działają pod wodzą przodowników, mają doskonały wzrok i są niezrównoważone emocjonalnie. Dwa pawiany, gdy wpadną w szal, potrafią rozszarpać na strzępy nawet lamparta.

Cóż, wyruszyłem, żeby zarobić polując na pawiany. Minęło tyle lat, a gdy o tym pomyślę, wciąż czuję się jak głupiec.

Gdy zwierzęta wyszły o świcie z kryjówki, gdzie spały, w stadzie, które zacząłem podchodzić pewnego ranka na *kopje* w Magaliesbergu, naliczyłem trzysta sztuk. Podchodziłem te pawiany przez cały dzień, tak gorący, że kamienie na zboczu były rozpalone jak piece kuchenne. Przez cztery godziny wciąż widziałem pawiany, ale nie udało mi się podejść do żadnego na mniej niż tysiąc jardów. Każdy mój ruch był śledzony przez pawianich wartowników wystawionych na wysokich skałach lub na karłowatych drzewach. Ilekroć czujki uznały, że zbliżam się do któregoś ze zwierząt w stadzie na odległość strzału, rzucały się, szczekając donośnie ku przestrodze, i moja niedoszła zdobycz zmykała w bezpieczne miejsce.

Z postępem dnia pawiany urządziły sobie z tego zabawę. Czasami młode samce wypinały się zadem w moją stronę i przez lornetkę widziałem, jak stroją do mnie miny, spojierając między nogami. Raz przeszedłem blisko wysokiego ostańca, a pawiany z jego szczytu obrzuciły mnie kamieniami, patykami i ziemią i zwiały, nim zdążyłem strzelić. Stado ryczało, wrzeszczało, stękało i piszczało przez cały dzień.

Wiedziały, jaki zasięg ma sztucer, i trzymały się na tyle daleko, żeby nie można ich było dostać.

Po południu rozboleły mnie nogi. Ładownica z nabojami do .303 przewieszona przez ramię obtarła mi szyję do krwi. Nadszedł czas powrotu do namiotu ustawionego u wylotu wąwozu, ale chciałem trochę odpocząć, więc przysiadłem na skraju urwiska, zwiesiłem nogi i zapaliłem przepoconego papierosa.

Miedzianoróżowe słońce chyliło się ku ziemi nad szczytem przeciwnego *kopje*. Poniżej, w skalistym, zalesionym kanionie, cienie kładły się fioletem pomiędzy drzewiastymi paprociami i dzikimi daktylowcami. Na północy gęsty busz rozpościerał się po odległy grzbiet górski Swartbergen, a cała równina była zamglona od lawendowych i srebrnych oparów.

Pasma Magaliesberg było ciągiem czerwonobrazowych skalistych wzgórz, porośniętych gdzieś tam krzakami *stamfrachte* i drzewami cierniowymi. Na każdym *kopje* żyło przynajmniej jedno stado pawianów, a wąwozy pomiędzy wzniesieniami były zamieszkałe przez serwale, lamparty, antylopy, węże i jaszczurki.

Zgasiłem papierosa, oparłem brodę na dłoniach, a łokcie na kolanach. Około dwudziestu jardów pode mną widniała rozłożysta korona drzewa *moepel*. Ściana urwiska, na którym opierałem stopy, opadała pionowo do dna wąwozu. Sztucer leżał obok mnie, przy prawej ręce. Zamknąłem oczy, żeby wsłuchać się w srebrzysty szmer strumienia, płynącego w dole pośród cieni.

Usłyszałem za sobą ledwo wychwytywalny stukot toczącego się kamyka. Odwróciłem głowę. Staremu pawianowi z otwartym pyskiem, lśniącymi kłami i wyciągniętymi łapami brakowało kilku cali, a dosięgnąłby mojej głowy. Za nim ujrzałem ze dwudziestu jego cichych kumpli. Szarpnąłem się do przodu, odbiłem obcasami od urwiska i rzuciłem w przestrzeń przed sobą. Lecąc, obróciłem się w powietrzu, żeby spaść na plecy. Wraz ze mną spadał pawian, miotając się i wijąc jak oszalały. Nie spodziewał się mojego nagłego skoku i z rozpędu przeleciał ponad krawędzią urwiska.

Razem wpadliśmy w koronę drzewa. Odbijałem się z łoskotem od konaru do konaru, aż w końcu zatrzymałem się przewieszony

brzuchem przez gałąź. Nie wiem, co się stało z pawianem, bo zanim, pojękując, zszedłem na ziemię, zniknął. Nade mną jednak wychylały się znad krawędzi urwiska brzydkie, psie, zniekształcone grymasem pyski jego kolegów. Przez godzinę musiałem się wspinać okrężną drogą, żeby odzyskać sztucer. Przez ten czas pawiany wróciły do swojej kryjówki, gdzie spały.

Gdyby ten pawian zdołał mnie schwycić, wraz z kolegami rozszarpały mnie na strzępy. Gdy samiec pawiana złapie człowieka lub psa, chwytą go czterema łapami, pada na bok i zębami wyrywa kawałki mięsa ofiary. Raz widziałem, jak cztery pawiany skoczyły z wiszącej skały na lamparta. Jeden dostał się między przednie łapy kota i zatopił mu kły w gardle. Drugi znalazł się między tylnymi nogami i przegryzł lampartowi miękkie brzuch. Pozostałe dwa wyrywały z boków lamparta kawałki mięsa, nie tylko zębami, ale również łapami. W niewiele ponad minutę lampart został praktycznie odarty z ciała. Pawian, który chwycił lamparta za gardło, odszedł chwiejnym krokiem od szczątków ofiary i padając, spojrzał na swoje zwisające trzewia, które kot wypruł mu pazurami. Pozostałe trzy pawiany, którym chyba nic się nie stało, usiłowały pomóc mu wstać, ale zdechł, gdy go podnosiły. Puściły go i przez kilka minut siedziały obok, mrużąc i rozmawiając ze sobą. Następnie pociągnęły ciało nad brzeg małego wyschniętego jaru i zrzuciły je z krawędzi. Pawiany zawsze zrzucają swoich zmarłych z urwiska.

Chrapliwe okrzyki i ryki pozostałych członków stada, obserwujących masakrę z pobliskich pagórków, sprawiły, że atak na lamparta był jeszcze bardziej przerażający. Potem, gdy mały zobaczyły, że lampart zginął, zaczęły wydawać piski i wrzaski radości, gdyż były świadkami śmierci swego najstraszniejszego wroga. Lampart zabija więcej pawianów niż wszyscy myśliwi razem wzięci.

Pawianom nieczęsto nadarza się okazja, żeby uśmiercić lamparta. Jest cichym, podstępny, skutecznym łowcą. Czasami godzinami czai się na szczycie skały lub wśród liści na drzewie, czekając, aż jakiś pawian odłączy się od stada. Wtedy kot podchodzi i rzuca się na niego, jak smuga żółtego światła. Zatapia zęby w krzyżu pawiana, paraliżując go, i błyskawicznie znika w ukryciu. Czeka tam, aż zapadnie

ciemność, po czym wraca i zabiera zdobycz. Gdy reszta stada widzi taki atak, wydaje rozdzierające serce dźwięki, łączące w sobie przerażenie, nienawiść, smutek i brak nadziei.

Gdy drugiego ranka wyczołgałem się ze swojego niskiego namiotu u podnóża *kopje*, niebo nad wzgórzem było jednolitym arkuszem złotawej miedzi, po czym szybko zmieniło kolor na spłowiwały błękit. Na całej górnej połowie wzgórza słychać było krzyk i szczek pawianów. Nieprzerwany harmider. Młode pawiany ścigały się, siłowały i baraszkowały. Starsze ryczały, wyły i piszczaly bez żadnej przyczyny. Miałem taką chętkę się do nich dobrać, że tylko podgrzałem nieco na prymusie ronderek z nieświeżą kawą, wypilem ją duszkiem, wziąłem sztucer i, tak mi się przynajmniej wydawało, zacząłem je starannie podchodzić. Nie przeszedłem stu stóp pod górę, a tumult i krzyki ustały i ich miejsce zajęła głęboka cisza. Wyjrzałem ostrożnie sponad skały. W zasięgu wzroku nie było ani jednego pawiana.

Wspinałem się dalej, ślizgając się na skałach, skradając na czworakach w miejscach pozbawionych osłony, kucając za napotykanymi niekiedy występami i co jakiś czas zatrzymując się, żeby przepatrzeć zboczne nade mną. Po pawianach nie było śladu.

Po mniej więcej półgodzinie tej wędrówki przez przypadek spojrzełem za siebie i dostrzegłem czarną wydłużoną głowę, przyglądającą mi się znad krawędzi skały, jakieś dwadzieścia pięć jardów ode mnie. Odwróciłem się do strzału, ale głowa zniknęła. Poczulem się jak głupiec. Byłem za tamtą skałą dwie minuty wcześniej.

Usiadłem, wsparłem łokcie na kolanach i nakierowałem lufę sztucera na miejsce, gdzie widziałem głowę. Nic z tego. Kątem oka dostrzegłem nieznaczny ruch na prawo, odwróciłem się i zobaczyłem dwa łby przyglądające mi się sponad krzaka rycynusu. Oba zniknęły natychmiast.

Pomny ataku, jaki mi zgotowały poprzedniego popołudnia, zerwałem się na nogi i spojrzełem na krawędź skały nad moją głowę. Pusto. Odciągnąłem zamek sztucera, żeby sprawdzić, czy pocisk jest w komorze, upewniłem się, że wszystko jest w porządku, przesunąłem zamek na miejsce, spojrzełem w górę i ujrzałem dorosłego pawiana,

który siedział prosto i patrzył na mnie z odległości pięćdziesięciu stóp. Strzeliłem z biodra. Pocisk trafił pod stopy zwierzęcia i z płaszczyzną odbił się rykoszetem, nie wyrządzając mu krzywdy.

Na odgłos wystrzału na *kopje* zapanowało pandemonium. Zza otaczających mnie skał wyskoczyły piszczące, wyjące i szczekające ciemne kształty i popędziły ku górze. Byłem dosłownie okrążony. Wydawało mi się, że je podchodzę, a to całe przeklęte stado podchodziło mnie.

Strzeliłem pięć razy do hordy rozpraszającej się na stoku nade mną. Cztery razy usłyszałem odbicie pocisku uderzającego w ciało. Jeden strzał był niecelny. Gdy doszedłem na miejsce, cztery pawiany nie żyły. Cztery lby. Dwadzieścia szylingów! Jakieś pięć dolców. Jednak zanim znów udało mi się jednego dnia strzelić cztery pawiany, minęły długie tygodnie. Uplynieło dziewięć dni, zanim strzeliłem następnego.

Prawdopodobnie najwięcej trudności w opanowaniu polowania na pawiany sprawia fakt, że nigdy nie wiadomo, co uczynią. Wydaje wam się, że już znacie ich zwyczaje, i nagle ku waszemu utrapieniu okazuje się, że zwierzęta zmieniły je w ciągu jednej nocy.

U pawianów, podobnie jak u człowieka, występuje większe zróżnicowanie w rozmiarach ciała i rysach twarzy niż u jakiegokolwiek innego gatunku zwierząt. Myśliwy szybko uczy się odróżniać poszczególne osobniki, a jeśli odpowiednio długo obserwuje się stado, można się nauczyć rozpoznawać każde zwierzę, które do niego należy.

W ciągu kolejnych dziewięciu dni nauczyłem się rozpoznawać sporo tych szarych diabłów. Ich wartownicy zawsze byli usadowieni na drzewach albo na wierzchołkach skał, pozostając dobrze widoczni, ale nigdy w odległości mniejszej niż tysiąc jardów. Żeby nie wiem jak cierpliwie leżał w ukryciu, żeby nie wiem jak ostrożnie podkładał się do któregoś z włóczykijów, ci przekłęci wartownicy zawsze mnie dostrzegali i krzykiem alarmowali pozostałych. Po godzinach bezowocnych zasadzek i bezskutecznego podchodzenia kładłem się na brzuchu i przyglądałem się wartownikom przez lornetkę. Jeden potężny osobnik miał niezwykle okazałe zęby. Nazwałem go Teddy Roosevelt. Drugi z jakiegoś powodu przypominał mi kozła. Nadałem

mu imię Billy. Inny dostał imię Wścibinos, a jeszcze inny - Simple Simon*.

* Postać głupca z dziecięcej rymowanki.

Pewnego ranka, gdy leżałem dobrze ukryty w suchej trawie za krzakiem *stamfrachte*, jeden ze starych osobników zszedł po zboczu *kopje*, usiadł w cieniu płaskiego głazu i patrzył na dolinę. To był Teddy Roosevelt. Oceniłem odległość na siedemdziesiąt pięć jardów. Leżałem na brzuchu i przestałem oddychać, powoli przykładając kolbę sztucera do ramienia. Naprowadziłem muszkę celownika na szczybinę, wycelowałem w bok łba i zacząłem naciskać spust. Coś poruszyło się na głazie ponad nim, więc wstrzymałem strzał, żeby zobaczyć, co to takiego. Znad krawędzi skały wychylały się trzy małe czarne łebki i patrzyły na staruszka - trzy młode pawiany wielkości szczeniaka spaniela.

Coś w postawie samca mówiło mi, że zdaje sobie sprawę z obecności młodych. Opuściłem sztucer i obserwowałem dalej. Cała trójka skoczyła razem, lądując na plecach i ramionach starego. Przewrócił się z przeraźliwym piskiem, który można było usłyszeć na milę. Dzieciaki laziły po nim, gryząc go, szarpiąc i tarmosząc całą swoją niewielką siłą. Udawał, że z nimi walczy, turlając się, kłapiąc potężnymi szczękami, jakby chciał je chwycić, popychając i szarpiąc z pozorną zaciętością.

W końcu staruszek zastygł w bezruchu, niby to martwy. Trzy małe rozrabiaki stąpały wokół niego na sztywnych nogach, niezwykle dumne ze swojego zwycięstwa. Następnie pospieszyły za głaz i niebawem ponownie pojawiły się na jego szczycie. Stary pawian usiadł, jak przedtem, i patrzył w dal. Znow cała trójka skoczyła na niego. Znow samiec przewrócił się z okrzykiem udawanego przerażenia. Znow młodziaki pokonały go w walce.

To się powtarzało, aż stary zmęczony się zabawą. Zakończył ją, podnosząc jednego z malców za szyję i wymierzając mu klapsy w pupę. Cała trójka zniknęła w okamgnieniu. Stary drań znow usiadł, żeby kontemplować rozciągający się poniżej widok. Nie mogłem z zimną krwią zastrzelić istoty o takiej osobowości. Wstałem, żeby mnie zobaczył. Zerwał się, strasząc mnie krótkimi szczęknięciami

wydobywającymi się z głębi gardła, z szeroko otwartych szczęk. Ustawił ogon sztywno w kształcie odwróconej litery U, wycofał się za głaz i zniknął.

Kilka dni później w moim obozowisku pojawił się pułkownik Capel z wojsk łączności Transwału, w towarzystwie tropiciela, Zulusa, na którego mówił Schelem. Capel robił rozpoznanie dla wojska i poprosił mnie, żebym mu wskazał łatwy szlak przez *kopje*.

Powiedziałem mu, że jest szlak, który biegnie nad Rzeką Krokodyli, od miejsca, gdzie rozpoczyna się jej przełom u wschodniej podstawy wzgórza. Szlak ten był wąską półką prowadzącą wzdłuż ściany urwiska. Po pół mili kończył się nagle tam, gdzie fragment ściany runął do rzeki. W tym punkcie trzeba było zejść po wielkiej stercie bloków skalnych i osypisku powstałym po obrywie. Po jakichś pięćdziesięciu jardach takiej drogi półka, nadal wąska, prowadziła już nieprzerwanie na drugą stronę wzgórza.

Capel miał czerwoną twarz i był gruby. Szyja wylewała mu się nad kołnierzem wojskowego munduru, w który uparcie się ubierał, mimo piekącego słońca. Schelem był czarny, młody i silny. Zdecydowałem się pójść z nimi do miejsca, gdzie szlak się urywał.

Znajdowaliśmy się pośrodku skalnego rumowiska, gdy zza głazu wyskoczył z dzikim rykiem wielki samiec pawiana i stanął przed nami w miejscu, gdzie ponownie zaczynała się półka. Pawian był rozszoszony i za każdym razem gdy wydawał ryk, potrząsał łbem i wychylał go do przodu. Tak bardzo chciał nas dorwać, że sięgając ku nam, niemal tracił równowagę.

Ledwo pierwszy ryk wydarł mu się z gardła, a na setkach skał pojawiły się inne pawiany. Wyły, piszczały, szczekały i ryczały, przez cały czas zbliżając się do nas krótkimi, złowrogimi skokami. Capel szybko uniósł sztucer, ale Schelem odepchnął lufę.

- Jeśli pan strzeli, *Baas*, już po nas - oznajmił.

- Ma rację - powiedziałem Capelowi. - Te pawiany są rozhisteryzowane. Mogą nas rozszarpać na strzępy.

Twarz Capela zrobiła się niemal fioletowa ze złości. Pogroził pięścią pawianowi siedzącemu na półce i powiedział:

- Do diabła z twoim zuchwalstwem!

Stado podchodziło krok po kroku. Zgiełk był tak donośny, że musiałem krzyczeć. - Słyszałem już o czymś takim - powiedziałem. - Jedyne, co możemy zrobić, to siedzieć cicho.

Schelem szturchnął mnie w ramię i wskazał do tyłu. Grupa siedmiu lub ośmiu samców szczekała i ryczała jakies pięćdziesiąt jardów za nami. Największy z nich przybliżał się do nas z wolna.

Sytuacja stała się krytyczna. Kilka szybkich strzałów mogło wystraszyć tę horde, ale z drugiej strony mogło sprowokować zwierzęta do ataku. Zauważyłem, że członkowie głównej części stada zmieniają pozycje. Samice i młode wycofały się nieco. Samce ustawiły się na czele. Była to formacja ataku.

- Usiądźmy - powiedziałem.

Usiedliśmy.

Pawian na półce skalnej zbliżył się do nas na mniej niż dwadzieścia pięć jardów. Sierść na ramionach zjeżyła mu się jak u złego psa. Spojrzałem mu prosto w oczy. Były żółte. Przepelniała je taka nienawiść, że wpatrywałem się w nie jak w transie. Nagle odwrócił ode mnie wzrok i ryk uwiązał mu w gardle. Miałem wrażenie, że patrzy ponad moim ramieniem. Spoglądał mi przez moment w oczy, po czym znów przeniósł wzrok. W końcu cofnął się o kilka stóp, wydał trzy gromkie szczeknięcia i szybko zniknął za skałą.

Te szczeknięcia musiały być sygnałem, ponieważ całe stado odwróciło się i zaczęło uciekać. Biegły, aż stały się jedynie małymi ruchomymi punkcikami wysoko na prawym stoku wzgórza.

Schelem otarł dłonią czoło. - Coś takiego wydarzyło się, gdy byłem małym chłopcem. Biały człowiek strzelił za wcześniej. Zginął. Teraz można do nich strzelać, *Baas*.

Potrząsnąłem głową, ale Capel opróżnił magazynek, strzelając w kierunku oddalającego się stada. Nie było to zbyt mądre, gdyż zwierzęta znajdowały się daleko poza zasięgiem.

Pożegnałem się z Capelem i przyglądałem się, jak wraz z Schelem wchodzi na szlak i znika z oczu. Następnie znów usiadłem, żeby minęło mi drżenie nóg.

Po tym, jak strzeliłem pierwsze cztery pawiany, przez dziewięć dni nie dopadłem żadnego, za to udało mi się strzelić lamparta. Sprzedałem później jego skórę za pięć funtów. Podchodziłem trzy młode

pawiany, które tak się zainteresowały skorpionami pod kamieniami, że zapomniały o ostrożności. Zdołałem zbliżyć się do nich na sto jardów i przesuwałem się powoli na boku, próbując ustawić dwa na linii strzału, w nadziei, że załatwię obydwu jednym pociskiem. Jednakże uciekły, gdy wartownik szczechnął ostrzegawczo.

Było mi gorąco i ociekałem potem. Kolana bolały mnie od twardej kamieni, jakby były poparzone. W moich dłoniach tkwiły kolce, a na skórze tuż ponad pasem grasowały mrówki. Przeklinałem ze złości, gdy się zorientowałem, że *kopje* nagle ucichło i że całe stado pawianów pędzi zupełnie bezgłośnie ku szczytowi wzgórza.

Będąc już blisko wierzchołka, zebrały się razem, ustawiły w półkolistą linię i pognały z powrotem w dół. Zatrzymały się przed gęstą kępą krzaków i wydały przerażający ryk, który powrócił echem ze wszystkich stron. Ruszyły ku kępie z szeroko otwartymi pyskami, gwałtownie potrząsając łbami, krzycząc coraz głośniej i coraz bardziej histerycznie - ale z każdym krokiem szły wolniej.

Wtedy po drugiej stronie kępy ujrzałem czającego się lamparta, z brzuchem przywartym do ziemi. Przez chwilę zastanawiałem się, czy próbować strzelać do niego, czy do pawianów. Wybrałem lamparta. Naprowadziłem muszkę celownika, ustawionego na dwieście jardów, na szczelinę szczerbinki i strzeliłem - lampart ześlizgnął się z krawędzi urwiska.

Znikając mi z oczu, zaryczał. Pierwszy raz słyszałem śmiertelny ryk lamparta i nigdy tego nie zapomnę. Na skraju wąwozu znalazłem farbę. Niepewnie spojrzałem w *kloof**. Wiedziałem, że ranny lampart jest znacznie bardziej niebezpiecznym stworzeniem niż ranny lew, i nie miałem ochoty zmierzyć się z takowym - w każdym razie nie w półmroku gęsto zalesionego jaru.

* *Kloof*- (afrykański) wąwóz.

Domyślałem się, że jego kryjówka znajduje się w jakiejś jaskini w ścianie urwiska, wysoko, u szczytu *kopje*. Aby go dojść, musiałbym ruszyć korytem zarośniętego chaszczami strumienia, przedrzeć się przez płataninę wystających korzeni drzew, przeprowić się przez jakieś dwadzieścia małych wodospadów - cały czas pozostając w głębokim cieniu.

W miejscu, gdzie lampart spadł, urwisko było niskie. Jakieś dwa-
naście stóp do podłoża z paproci. Zdecydowałem się zwiesić na rę-
kach i skoczyć na paprocie, mając nadzieję, że nie kryją pod sobą
ostrych kamieni. Uklęknąłem i wyjrzałem poza krawędź, żeby znaleźć
najdogodniejsze miejsce do lądowania.

Zobaczyłem lamparta niemal bezpośrednio pode mną. Leżał na
paprociach w cętkowanej smudze słońca. Miał na wpół uniesione
łopatki, tylne nogi wyciągnięte razem w bok. Patrzył na mnie z szero-
ko otwartą paszczą. Gdy zobaczył, że go zauważyłem, zawarczał, uno-
sząc szybkimi ruchami górną wargę. Zaczął mnie straszyć ruchami
przednich łap, najpierw jednej, następnie drugiej.

Strzeliłem mu prosto między oczy. Bardzo delikatnie złożył łeb na
prawej łapie, jakby zasnął. Strzeliłem jeszcze raz, celując w skroń.
Łeb odbił mu się od łapy. Zadarł lekko ogon, który po chwili opadł
bezwładnie.

Gdy w końcu zebrałem się na odwagę, żeby zeskoczyć koło niego, i
upewniłem się, że nie żyje, odkryłem, że pierwszy strzał złamał mu
kręgosłup, tuż nad biodrami, jednak do dziś robi mi się słabo na
myśl, co mogłoby mi się stać, gdybym skoczył do jaru, nie przyjrza-
wszy mu się wcześniej.

Młode pawiany są beztroskie, jednak wskutek nieustannych ata-
ków ze strony lampartów, pytonów i ludzi stare pawiany są na ogół
smętne i drażliwe. Nagłe dźwięki prowokują je do ryków i wrzasków.
Pojawienie się na *kopje* czegoś, co może być ich wrogiem, często
sprawia, że całe stado wpada w histerię, skrzecząc i szczekając. W
takich chwilach nawet przywódcy nie są w stanie oprzeć się emo-
cjom.

Byłem świadkiem takiego napadu hysterii, gdy pewnego popołū-
dnia z konaru drzewa rosnącego w wąwozie zsunął się pyton i owinął
się wokół młodej samicy pawiana. Jej wrzaski sprowadziły na kra-
wędź urwiska całe stado, które ogarnął kompletny szal. Pawiany ry-
czały, skrzeczały, dreptały w kółko, biegały we wszystkie strony, wra-
cały do krawędzi urwiska, żeby obserwować tragedię rozgrywającą
się poniżej, podskakiwały z obnażonymi kłami, krzyczały i szczekały,
po czym odbiegały, by za chwilę zacząć to wszystko od nowa. Przy-
wódcy wpadli niemal w taką samą histerię jak ich podwładni.

Chciałem zbliżyć się na tyle, żeby zastrzelić kwiczącą ofiarę węża i skrócić jej cierpienie, ale za każdym razem gdy czyniłem kilka kroków ku miejscu, z którego mógłbym strzelić, szalejące stado wykonywało w moją stronę niezgrabne skoki i wyło przy tym straszliwie. W końcu zdecydowałem się na długi strzał - ostro w dół zbocza. Z powodu gwałtowności walki w zasadzie nie miałem szans dobrze wycelować. Musiałem trafić pytona, bo puścił się drzewa, którego trzymał się ogonem, i wąż z pawianem zaczęły się turlać po ziemi. Pyton nosem uderzał w pysk pawiana. Samica rzucała łbem na boki i w końcu udało jej się wbić kły w szyję pytona. Przez cały czas ogon węża wił się w poszukiwaniu czegoś, wokół czego mógłby się owinąć. Bez oparcia dla ogona pyton nie mógł zadusić pawiana.

Wreszcie koniec ogona oplótł podstawę niewielkiego krzewu i pawianica zdechła, wydając ostatni rozpaczliwy skrzek. Pyton, wciąż okręcony wokół zdobyczy, przez chwilę leżał bez ruchu i wtedy posłałem mu ze cztery czy pięć szybkich strzałów. Zaczął się powoli rozwijać w dziwnych, gwałtownych konwulsjach. Uwolnił z uścisku swoją ofiarę i rzucał górną częścią ciała. Dolna połowa pozostała nieruchoma.

Pawiany, teraz zachowując ciszę, ustawiły się w linii na krawędzi urwiska i patrzyły w dół. Nagle znów zaczęły wyć i skrzeczeć, po czym pognały ku szczytowi *kopje* i zniknęły.

Z trudem zszedłem do wąwozu. Pyton, któremu z dwóch dziur w okolicy środka ciała wystawały trzewia, był bezsilny. Miał chyba przetrącony kręgosłup. Przyłożyłem lufę sztucera do wpatzonego we mnie oka i pociągnąłem za spust. Głowę rzuciło mu na bok, a przez ciało przebiegła fala rozluźnienia. Odciąłem pawianowi ogon i zostawiłem obydwa zwierzęta. Pawianica leżała, jakby śpiąc, a z kącika pyska ciekła jej krew; wąż jedynie poruszał słabo końcem ogona.

Ostatecznie dotarło do mnie, że umrę z głodu, jeśli dla pawianich ogonów będę podchodził te zwierzęta w pojedynkę. Już wiedziałem, że nie bardzo mogę liczyć na strzały z bliska. Musiałem strzelać na duże odległości, od czterystu do tysiąca jardów. Tak więc spędziłem trzy czy cztery dni leżąc za osłoną niskiej, płaskiej skały, z której wyrastały dwa krzaki *stamfrachte*, i oddawałem z daleka strzały próbne do drzew, głązów i ostańców na całym stoku.

W ten sposób dosięgnąłem swojego pierwszego wartownika. Zwykle siedział na martwym drzewie *moepel*, z którego kora odskakiwała przy strzale próbnym na osiemset czterdzieści jardów. Zwierzę z reguły sadowiło się w rozgałęzieniu konarów, oparte grzbietem o pień, i wpatrywało się w teren w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia. Na ogół pawian dostrzegał mnie kilka minut po tym, jak wychodziłem rano z namiotu, i jego ostrzegawczy szczek trzymał stado poza zasięgiem strzału.

Jednak tego ranka udałem się na zasadzkę, gdy stado wciąż jeszcze spało. Ustawiłem celownik, schowałem się dobrze, sprawdziłem wiatr i czekałem. O świcie wartownik wdrapał się na swoje zwyczajowe stanowisko i gdy słońce oświetliło *kopje*, jego ciało odcinało się wyraźną, czarną sylwetką. Ocenilem, że znajduje się jakieś sześć stóp ponad miejscem, z którego przy strzale próbnym odstrzeliłem korę. Podniosłem więc celownik o jedno nacięcie i naprowadziłem muszkę na brzuch małpy. Nacisnąłem spust. Pawian podniósł rękę, zsunął się z gałęzi, chwycił się słabo pnia i zniknął mi z oczu u podnóża drzewa.

Jak zwykle, na odgłos wystrzału całe stado wydało ochryple wrzaski. Gdy pawiany zobaczyły, że wdrapuję się na stok, żeby dotrzeć do ofiary, pospieszyły ku szczytowi i zniknęły po drugiej stronie.

Mój strzał próbny był dokładny co do stopy. Pocisk trafił dziesięć cali powyżej miejsca, w które celowałem. Ładny strzał. Byłem przekonany, że w ten sam sposób pozyskam kilku innych wartowników. Myliłem się. Już ani razu przez cały czas, gdy polowałem na *kopje*, żaden pawian nie usadowił się na tym drzewie.

Tego popołudnia trafiłem jeszcze niemal dorosłego samca na czterysta jardów. Siedziałem spocony i drapałem się po karku, gdy spostrzegłem, jak samiec wspina się na gałąź i siada na nim. Nie mam pojęcia, co tam robił. Reszta stada była daleko.

Tak to wyglądało. W niektóre dni jeden pawian, w inne dwa lub trzy, ale musiałem strzelać na coraz większą odległość i wielokrotnie pudłowałem. Doszedłem do wniosku, że ktoś musi obchodzić stado i naganiać je na moją kryjówkę, więc zwróciłem się do Charliego,

mojego chłopca obozowego z plemienia Szangaan.

Tak mu przedstawiłem swój plan: - Ty, Charlie, przegonisz pawiany wokół *kopje*. Ja będę leżał w ukryciu i gdy pawiany będą miały punkty, do których znam dokładnie odległość, kropnę je.

Charliemu podobał się ten pomysł. Był przekonany, że wszystkie pawiany nienawidzą Kafrów. On z kolei miał do nich szczególny uraz. Kiedyś oswojony pawian w ogrodzie zoologicznym Parktown w Johannesburgu wysiakał się do kubka i gdy Charlie podszedł do zwierzęcia, ten stary dowcipniś chlusnął mu zawartością w twarz.

Mój pomysł jednak się nie sprawdził. Całymi dniami leżałem koło płaskiej skały, czekając, aż pawiany podejda blisko jednego z obranych przeze mnie punktów. Charlie zaś sam - zachowywał się jak pawian i zamiast pilnować interesu, znikał, by zbierać owoce *stamfrachte* i jagody.

Niespodziewanie pewnego południa na skałę, o której wiedziałem, że znajduje się dokładnie w odległości dwustu siedemdziesięciu ośmiu jardów, pojawili się dwaj przywódcy.

Obróciłem się na brzuch, wyciągnąłem wygodnie i w chwili, gdy miałem strzelić do tej dwójki, spostrzegłem, iż zbierają się do skoku, żeby zaatakować coś po drugiej stronie skały. Nacisnąłem spust. Jeden pawian padł i zastygł w bezruchu. Drugi, rycząc dziko, skoczył na coś, co widział pod sobą.

To był Charlie.

Krzyknął z przerażeniem, ale krzyk urwał się nagle. Dotarcie do Charliego zajęło mi pewnie ze trzydzieści sekund. Pawian - osobnik, którego przezwałem Wścibinosem - leżał na boku, czterema łapami trzymając Charliego, z zębami wbitymi w ramię chłopaka. Charlie chyba stracił przytomność. Wścibinos zauważył mnie, zaskrzeczał chrapliwie i zerwał się na równe nogi. Posłałem mu kulkę w głowę.

Uklęknąłem obok młodego Kafra, ale zanim zdołałem go dotknąć, pawian, który rzekomo leżał martwy na szczycie skały, skoczył mi na plecy, wyrócił mnie i jednocześnie rozerwał kłem przedramię od nadgarstka aż po łokieć.

Pamiętam widok obnażonych mięśni, wyraźnych jak w książce medycznej na obrazku z ręką odartą ze skóry. W tej samej chwili

spostrzegłem, że mój pierwszy strzał odstrzelił pawianowi - który znów sięgał w moją stronę - czubek głowy tuż nad brwią.

Nie było czasu na strzał, mimo że jakimś cudem wciąż trzymałem sztucer za koniec lufy. Machnąłem nim jak maczugą. Pawian upadł. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że poruszam rozdartą ręką, jakby nie była zraniona.

Obydwaj z Charliem byliśmy cali zakrwawieni. Otarłem trochę chłopaka swoją koszulą i zobaczyłem, że ma mocno pokiereszowane ramię i że jeden z kłów pawiana przebił mu na wylot lewą dłoń. Najwidoczniej Charlie wetknął dłoń pawianowi do pyska, usiłując osłonić własne gardło przed rozerwaniem.

Usiadł, gdy go badałem. Chyba musiało go zamroczyć, bo powtarzał w narzeczu szangaan: - Nie mam trzewi. Nie można mnie przekroić na pół.

Przeszliśmy dziesięć mil do farmy Australijczyka o nazwisku Ross. Zaprzągnął wóz i zabrał nas do szpitala w Pretorii.

Nosorożce

Nosorożce częściej były powodem mrozących mi krew w żyłach sytuacji i częściej mnie rozśmieszały niż wszystkie inne duże zwierzęta łowne razem wzięte. Są to nerwowe, drażliwe, niecierpliwe, niezbyt rozgarnięte stworzenia o nadzwyczajnym słuchu, dobrym powonieniu i tak słabym wzroku, że widzą jedynie na kilka jardów przed rogami; do tego bardzo często rogi przesłaniają im już i tak niewielkie pole widzenia.

Przeciętmemu myśliwemu amatorowi szarżujący nosorożec jawi się jako straszliwy demon. Dla zawodowego łowcy atakujący nosorożec jest jedynie wielkim, tępym zwierzakiem, który robi z siebie głupca.

Wiem, jak nosorożce są postrzegane przez nowicjuszy, ponieważ pracowałem jako myśliwy ubezpieczający dla różnych typów - od sadystycznych krwiożerców po normalnych facetów, którzy wiedzą, na jakich trofeach im zależy, i dążą do ich zdobycia jak prawdziwym myśliwym przystoi.

Przez nosorożca czy innego wielkiego zwierza można zostać zabitym jedynie z trzech powodów: wskutek nieznamomości jego zwyczajów, nieostrożności lub najzwyczajszej głupoty.

Znam jednego starego, zawodowego myśliwego, który chwali się, że nosorożec trzykrotnie brał go na rogi. Nowicjusz może zostać ubodzony raz i nie straci twarzy. Przecież każdy musi się nauczyć. Zawodowiec też może raz zostać wzięty na rogi i przypisać ten fakt chwilowemu zaćmieniu umysłu. Ale jeśli ktoś pozwolił się wziąć na rogi trzy razy, oznacza to, że taki człowiek jest głupszy od nosorożca.

Być wziętym na rogi przez nosorożca! Zdawałoby się, że to sytuacja, z której nie ma wyjścia. Jednak z dziesięciu ludzi, których nosorożec bierze na rogi, pięciu podnosi się i odchodzi. Czterech wymaga poważnej opieki lekarskiej. Dziesiąty wybiera się do Krainy Szczęśliwych Łowów.

Co innego, gdy nosorożec kogoś stratuje.

Jedno z moich pierwszych zawodowych spotkań z nosorożcem zakończyło się śmiercią człowieka. Mario Galli kupował zwierzęta dla dostawcy dzikiej zwierzyny. Złożył u mnie zamówienie na dwa żywe małe nosorożce do ogrodu zoologicznego Jardin des Plantes w Paryżu. Aby je znaleźć, udaliśmy się wraz z Ubusuku do krainy Uaso Nyiro w północnej Kenii. Galli rwał się, żeby przy okazji samemu upolować nosorożca, więc pojechał z nami. Nie należał do osób, z którymi łatwo jest polować. Był drażliwy i wybuchowy. Z początku nie chciał, żebym obserwował, jak wypróbowuje .303, ale gdy mu powiedziałem, że nie będę jego przewodnikiem, dopóki nie dowiem się, jak strzela, wyraził zgodę.

Ustawiłem pogiętą ośmiocalową pokrywkę od garnka w odległości stu kroków. Galli spudłował, strzelając do niej z wolnej ręki. Spudłował, strzelając z przykłęku. Spudłował, siedząc, z łokciami wspartymi na kolanach. Spudłował, leżąc. Odebrałem mu strzelbę, naprowadziłem muszkę na szczybinę w kształcie litery V, aż powstało idealne W, i oddałem strzał, mierząc w miejsce zegarowej szóstki. Pocisk przeszedł przez pokrywkę jeden cal ponad samym środkiem. Był dobrze ustawiony na dwieście jardów.

Ustawiłem urządzenie celownicze na sto jardów i szkoliłem Gallego przez dwie godziny. Nauczył się trafiać do pokrywki z pozycji leżącej. Na stojąco był beznadziejny.

- W normalnych okolicznościach nie pracowałbym jako przewodnik dla kogoś, kto posługuje się bronią tak słabo jak ty - powiedziałem mu. - Ale jeśli obiecasz, że nie będziesz strzelał, dopóki nosorożec nie pojawi się w niskiej trawie, żeby można było mierzyć do niego na leżąco, i że nie oddasz strzału, o ile zwierzę nie ustawi się bokiem, żeby dało się wycelować w miejsce w połowie odległości między nasadą ucha i okiem, to niech już będzie.

Obiecał.

Powiedziałem: - Pamiętaj, strzelasz z .303, pociskiem 215 granów, więc jeśli chcesz go powalić, musisz trafić w samą skroń.

- Nie musisz mi tak wszystkiego klarować - odparł Galli.

Sam byłem wtedy jeszcze mocno zielony, w przeciwnym razie wyczułbym, że pakujemy się w kłopoty, i kazał Gallemu zająć się innymi sprawami. Zamiast tego pozostawiliśmy naszego forda przy Archer's Post i udaliśmy się w górę rzeki.

Któregoś ranka, około ósmej, gdy wyszliśmy z koryta wyschniętej rzeki, dostrzegliśmy nosorożca Gallego pod kępą rozłożystych palm w niskiej trawie, jakieś siedemdziesiąt jardów od gęstych zarośli. Taplał się w kałuży i był pokryty czerwonym błotem.

Łatwo jest podchodzić nosorożce na otwartym terenie, pod wiatr. Nie widzą nadchodzącego człowieka i można zbliżyć się do nich na kilka jardów. Jest szansa, że bąkajady, które na nich żerują, nie zaczną skrzeczeć, jeśli podejdziesz się wolno i bezszelestnie. Często zdarzało mi się, że nosorożec zauważał mnie wcześniej niż siedzące na jego grzbiecie ptaki. Wszystko polega na ostrożnym poruszaniu się i rozważnym stawianiu kroków. Pod kępami trawy czasami kryją się suche patyki. Nadeptanie na taki patyk jest jak strzał z pistoletu. Nie można też potraćować kamyczków, bo robią taki hałas, jakby się rzucało wielkimi kamieniami.

Galli podchodził całkiem nieźle, ale był zdenerwowany i wciąż przetykał ślinę. Gdy znaleźliśmy się w odległości pięćdziesięciu jardów od naszego zwierza, ruchem nakazałem Gallemu, żeby się położył. Ułożył się porządnie, przytulił twarz do kolby i... zakasłał. Nosorożec dźwignął łeb. Jego bąkajady wyprostowały się, zdziwione i spłoszone. Nosorożec postawił uszy. Uniósł pysk, wciągnął powietrze i niepewnym truchtem ruszył w naszą stronę. Galli strzelił, trafiając zwierzę na miękkie. Nosorożec odwrócił się z przeciągłym chrapnięciem i puścił się biegiem ku zaroślom. Nie chciałem, żeby uciekł, bo musiałbym go tropić. Nie należy zostawiać swemu losowi oszalałego z bólu zwierzęcia, ponieważ mogłoby zabić kogoś, kto niczego nie podejrzewa.

Miałem około sześciu sekund, żeby strzelić, nim zwierzę zniknie w buszu - a jedynym celem był jego zad. Właśnie chciałem spróbować oddać dwa szybkie strzały pod kolana tylnych nóg, ale Galli strzelił

spoza mnie. Nosorożec zwolnił do truchtu, zatoczył koło, jakby był oszołomiony, a następnie ruszył ciężkim galopem, znów kierując się ku zaroślom. Gdy zataczał koło, przez chwilę miałem na celu bok lba, ale Galli, wrzeszcząc i machając rękoma, wyskoczył mi przed lufę. Zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, popędził za nosorożcem i obydwaj zniknęli w gąszczu kolczastych krzaków.

Ubusuku, który do tej pory stał za nami jak wielki czarny posąg, wyciągnął z futerału noszony przy boku amerykański toporek i rzucił się za Gallim. Pobiegłem skrajem buszu, szukając prześwitu mogącego prowadzić w głąb zarośli. Na próżno. Słyszałem, jak nosorożec charczał i łamał gałęzie; słyszałem, jak Ubusuku krzyknął ostrzegawczo; słyszałem, jak Galli strzelił.

Kilka minut zajęło mi przedarcie się do miejsca, gdzie leżał Galli. Był martwy. Nosorożec nie wziął go na róg. Stratował go.

Tereny na wschód od Archer's Point to gorąca kraina. Po kraju Danakilów w północnej Etiopii to najgorętsze terytorium po tej stronie piekła. Jednocześnie obszar ten jest królestwem mrówek. Chcieliśmy od razu pochować Gallego, ale mrówki już zdążyły się do niego dobrać milionami. Pozwoliliśmy im dokończyć dzieła i ruszyliśmy za nosorożcem.

Gdzieniedzie na krzakach, na wysokości łopatki, po lewej stronie szlaku wydeptanego przez nosorożca, który przedzierał się przez ciernie, widniała krew. To od pierwszego strzału Gallego. Krew widać było również na krzakach po prawej, jakieś trzy stopy nad ziemią. Bardzo dużo krwi znaleźliśmy w stercie świeżego łajna.

- Ma przestrzelone trzewia, o *Baas* - powiedział Ubusuku. - Myśli o śmierci. Chce się położyć. Znajdziemy go rozciągniętego na ziemi. Będzie bez woli walki.

Wielki Zulus niemal się nie mylił. Natknęliśmy się na biedne zwierzę dwie godziny później. Siedziało wsparte na przednich nogach, z nisko zwieszoną głową. Wsadziłem mu lufę sztucera do ucha i pociągnąłem za spust. Przednie nogi ugięły się pod nim i padł łbem w dół, jak ogromny, niezgrabny toból.

Ubusuku wyrąbał w skórce wokół rogów koliste nacięcie i oderwał ją wraz z rogami.

Tej nocy rozbiliśmy obozowisko na czerwonych piaskach koryta wyschniętej rzeki, obok gorącego, słonego zagłębienia w dnie. Rano mrówki zostawiły Gallego i pogrzebaliśmy jego białe kości. Oznaczyliśmy grób odłamkami wulkanicznej skały i ruszyliśmy za naszymi dwoma młodymi nosorożcami.

Śmierć Gallego to paskudna historia i nie przynosi mi chluby. Gdybym dzisiaj był licencjonowanym myśliwym, na stałe utraciłbym zezwolenie. Wszystko zrobiłem źle. Galli nie potrafił strzelać. Był nerwowy i narwany. Zająłem pozycję, która pozwoliła mu wyskoczyć przede mną, gdy dostał amoku. Powinienem był zabić nosorożca, kiedy nie padł po pierwszym strzale Gallego. Ten epizod mieści w sobie wszystkie trzy elementy nieszczęść zdarzających się podczas polowań na grubego zwierza - niewiedzę, nieostrożność i cholerną głupotę.

Nosorożec jest na ogół nieśmiały i łatwo traci głowę. Jest niezmiernie ciekawski. Gdy zauważy na równinie coś dziwnego, na przykład człowieka, jego nieśmiałość i ciekawość łączą się i powodują, że zwierzę czuje się niepewnie, jest zdenerwowane, bojowo nastawione i podniecone. Najpierw przygląda się ze zdziwieniem. Następnie mruga, zawija uszy do przodu, zadziera ogon. Kłusem rusza w stronę obiektu. Zatrzymuje się. Patrzy. Znow biegnie kłusem. Przystaje. Kołysze głową na boki, żeby usunąć róg z linii widzenia. Podbiega bliżej i zatrzymuje się kilka metrów od intruza. Do tego momentu na ogół można go odciągnąć krzykami i machaniem rękoma.

Zazwyczaj gdy się odwróci, natychmiast rusza galopem, ale zwalnia znow do chybotliwego kłusa. Czasami zatacza truchtem kółko i wraca, żeby przyjrzeć się dokładniej. Najczęściej jednak bieży przed siebie.

Gdy zdecyduje się na atak, przechodzi w galop. Potrafi się poruszać z szybkością trzydziestu mil na godzinę, ale z reguły szarżuje rozpędzony do dwudziestu pięciu mil na godzinę. Biegnie, dysząc ciężko. Dziewięć razy na dziesięć strzał w łeb zmusi go do ucieczki i jest niewielka szansa, żeby się zatrzymał, zanim znajdzie się daleko poza zasięgiem sztucera. Bardzo rzadko zmienia kierunek podczas szarży, żeby z impetem sadzić na ukos. Jeśli jednak zdecyduje się

dokończyć atak, około dwudziestu jardów wcześniej pochyła głowę. Od tej chwili jest ślepy; widzi jedynie ziemię przed sobą. Każdy, komu nie sparaliżowało nóg, może się usunąć i patrzeć, jak ten wielki kloc go mija.

Jeśli na linii szarży rośnie jakiś krzak, nosorożec czasami wpada w niego, parskając jak wieloryb. Następnie, sądząc, że zlikwidował wroga, odbiega klusem z zadartym ogonem, postawionymi uszami, każdym ruchem ciała wyrażając nieuzasadnione zadowolenie z siebie. Przywodzi na myśl głupkowatego gracza w baseball, który biegnie truchtem do ławki po niespodziewanym mistrzowskim wybieciu poza strefę łapaczy.

Nie oszukujcie się, że pociskiem .600 Nitro-Express można trafić grubego zwierza gdziekolwiek i zawsze od razu padnie trupem. To prawda, że gdy strzelcy zawodowi ubezpieczają myśliwych amatorów, często używają pocisków .375 Magnum lub .475 High Velocity. Ale nie wyobrażajcie sobie ani przez chwilę, że strzelają, gdzie popadnie. Umieszczają pociski dużego kalibru równie precyzyjnie, jak ja .303 - najlepiej w skroń.

Więcej nosorożców pada na miejscu od dobrze ulokowanego pocisku kalibru .303, .38/.56, 8 mm lub .348, niż ginie w ogóle od .450, .475 czy .600. Tysiąc razy więcej dużych zwierząt pada od sztucerów, które kosztują poniżej dwustu dolarów, niż od tych, których cena wynosi powyżej czterystu.

Nie ma sensu sprzeczać się na temat kalibru sztucera. Jeśli ktoś jest przekonany, że potrzeba mu .600, nie namawia się go, żeby zabierał .220. Są tacy, którzy mają psychologiczną potrzebę strzelania z potężnych kawałów żelaza. Nowicjusz powinien czuć się jak najpewniej. Niektórzy czują się „goli”, gdy stoją przed słoniem ze sztucerem o małym kalibrze.

Jednakże co najmniej dziesięciu z najsłynniejszych myśliwych polujących w Afryce na grubego zwierza preferowało stosowanie .256 do wszystkich rodzajów zwierzyny. Ci myśliwi to Buxton, Hodson, Littledale, Loder, Lyell, Militas, Selous, Stigand, Sheldon i Vanderbilt. W. D. M. Bell, zawodowy łowca słoni, do zabijania osobników z wielkimi ciosami zazwyczaj używał .275 lub .256.

Osobiście wolę wojskowego lee-enfielda .303. Jeśli nie mam .303, zupełnie wystarczy mi 6,5-milimetrowy manlicher-schoenauer z pociskiem 160-granowym, winczester .270 z pociskiem miękkim

150-granowym, czy też w gruncie rzeczy jakikolwiek nowoczesny sztucer podobnych rozmiarów.

Pracowałem kiedyś jako przewodnik pięciu „myśliwych”, którzy przyjechali z Kalifornii. Po drodze zatrzymali się w Anglii, gdzie kupili sztucery warte mniej więcej półtora tysiąca dolarów za sztukę. Najmniejszy kaliber, jaki mieli, to .450. Pewnego dnia w Kongu wpakowali czternaście pocisków .450 w starą słonicę. Ruszyła przed siebie, wyjąc i rycząc. Przebiegła niemal pół mili, zanim padła.

Dwa strzały w mięśnie którejś z łopatek zabiłyby ją niemal natychmiast poprzez wstrząs. Każdy z pięciu mężczyzn przysięgał, że strzelał w łopatkę. Ten przypadek jest tym bardziej niesmaczny, że słonica była *poenskop*, czyli nie miała ciosów.

Nieważne, jak wielkim pociskiem się trafi, ale *gdzie* się trafi.

Nosorożec przebiegnie sto stóp z pociskiem kalibru .450, który trafił w serce. Może żyć jeszcze całe godziny trafiony .600 na miękkie. Przeleci parę mil w niezłym tempie z praktycznie odstrzeloną jedną nogą.

Z drugiej strony kula kalibru .303, która dosięgła oko, ucho lub skroń, położy go w pół kroku. Trzy kule z .303 umieszczone w mięśniu łopatki zabiją go, nim zdąży przejść dwadzieścia pięć jardów. Pociski rozgniatają skupiska ważnych nerwów i naczyń krwionośnych w łopatce i wstrząs zabija zwierzę w dwie lub trzy sekundy.

Nie mam nic przeciwko broni dużego kalibru, jeśli ktoś wie, jak się z nią obchodzić. Niewielu to potrafi. Nie ma sensu strzelać do zwierząt z grymasem na twarzy i z zamkniętymi oczami. Tak się składa, że choć polowałem we wszystkich zakątkach Afryki, nigdy nie znalazłem się w sytuacji, w której byłby mi potrzebny sztucer dużego kalibru. Gdybym nie mógł umieścić pocisku z .303 w skroni nosorożca przebiegającego w odległości dziesięciu jardów, przestałbym polować.

Raz zabrałem Francuza o nazwisku Villeneuve na nosorożce. Dość dobrze posługiwał się sztucerem; nie narzekał, że rankiem znajduje w butach jaszczurki czy skorpiony ani że pająki spadają mu z drzewa do kawy. Dobrze sobie radził z antylopą, zebłą i żyrafą. Ale ilekroć galopował na niego nosorożec, tracił głowę i albo rzucał broń i uciekał, albo stał jak sparaliżowany i wtedy musiałem odwracać uwagę zwierzęcia.

Pewnego wieczoru, gdy wróciliśmy do obozu, uruchomiłem korbą silnik forda, wyciągnąłem Villeneuve'a na sawannę i wrzeszcząc, żeby uciekał, ruszyłem za nim furgonetką. Stał z niedowierzaniem, gdy samochód toczył się ku niemu, ale zobaczywszy, że faktycznie mam zamiar go przejechać, jeśli nie zejdzie z drogi, odskoczył. Zakręciłem z poślizgiem i znów ruszyłem na niego z rykiem silnika. Uskoczył w bok i gdy go mijalem, usłyszałem siarczyste przekleństwa. Zatoczyłem szeroki łuk i ruszyłem na niego po raz trzeci. Tym razem zaczął biec, przez krótki czas trzymając się przede mną. Jednak szybko się zmęczył, a wtedy zbliżyłem się do niego. Stał odwrócony twarzą do mnie, z kamieniem w dłoni. Nie widziałem, jak go podnosił. Gdy dzieliło nas już tylko parę stóp, rzucił kamień, który minął moją głowę o kilka cali.

Gdy zatrzymałem samochód i uśmiechnąłem się do niego, tak bełkotał, że nie można go było zrozumieć. Nigdy nie widziałem bardziej rozszalonego Francuza. Kiedy mu wyjaśniłem, że skoro mógł usunąć się przed fordem jadącym z prędkością dwudziestu mil na godzinę, to z pewnością może usunąć się przed szarżującym nosorożcem - twarz mu się wypogodziła i klasnął w dłonie. Nieoczekiwanie zarzucił mi ręce na szyję i ucałował w uszy.

- Nawet starczyło ci czasu na podniesienie kamienia, unik i rzut - powiedziałem. - Dlaczego więc nie możesz uskoczyć przed nosorożcem, biegnącym zaledwie dwadzieścia mil na godzinę, i wsadzić mu lufy do ucha, gdy cię mija?

- Ha! - rzucił i znów usiłował mnie ucałować.

Villeneuve uskoczył przed następnym szarżującym nosorożcem jak baletmistrz i wsadził pocisk prosto pod drugi róg kolosa - idealne miejsce, żeby śmierć nastąpiła natychmiast.

Nosorożce, które zamieszkują zarośla lub tereny pokryte wysoką trawą, nie różnią się temperamentem i zwyczajami od nosorożców z otwartych równin. I choć polowanie na nie wygląda inaczej, pozostaje w mocy ta sama zasada: jeśli kogoś zabiło jedno z tych zwierząt, powodem była nieostrożność, niewiedza lub głupota.

Człowiek, który samotnie chce podchodzić nosorożca w wysokiej trawie, jest albo głupi, albo ma samobójcze zamiary. Takie polowanie jest dość bezpieczne, jeśli na drzewach umieści się tropicieli, którzy

będą obserwować teren i w porę zauważą te wielkie stworzenia przedzierające się przez trawę. Czasami nosorożec buszujący w trawie atakuje, gdy zwietrzy człowieka. Ale wasz zapach jest mocno rozproszony i kierując się tylko nim, zwierzę może jedynie popędzić mniej więcej w waszą stronę. Dwa razy na trzy zaatakuje niecelnie.

Jeśli się kieruje w waszą stronę i raczej wolicie się usunąć, uciekajcie, jeśli dacie radę przedrzeć się przez gęstą trawę. Jeśli umkniecie bez szwanku, zróbcie rachunek sumienia i może uda wam się przekonać samych siebie, żeby na drugi raz trzymać się z daleka od nosorożców zamieszkujących wysokie trawy.

Największe zagrożenie ze strony nosorożców żyjących w chaszczach powstaje wtedy, gdy znajdziecie się w miejscu, gdzie krzaki są tak gęste, że nie można uskoczyć przed szarżą. Nie dojdzie do takiej sytuacji, jeśli najpierw wyślecie tropicieli, żeby zapachem nagonili te drażliwe zwierzęta. Jest nadzieja, że sam zapach tropicieli zachęci nosorożce do odejścia w bezpieczniejsze dla was miejsce. Gdyby jednak zwierzę poczuło ducha walki, miejscowi pomocnicy ostrzegą was na czas, byście mogli wybrać na spotkanie kawałek wolnej przestrzeni... albo wdrapać się na drzewo. Pamiętajcie jednak, że jeśli wejdziecie na drzewko czepoty, będziecie się czuli tak samo, jakby dorwał was nosorożec. Te ciernie są jak milion maleńkich mieczy.

Najlepszym miejscem, żeby dopaść nosorożce zamieszkujące trawy i zarośla, są wodopoje. Poza południową sjęstą nosorożce żerują przez cały dzień. Aby dotrzeć do wody, potrafią przejść długi dystans - czasami piętnaście mil. Szczególnie lubią korzystać z wodopojów o zmierzchu i w nocy. Jednakże jeśli mają w fałdach skóry dużo kleszczy i kąśliwych owadów, podążają do wody o różnych porach, w dzień lub w nocy. Piją, taplają się w błocie, pozbywają się robactwa i wypełniają pęknięcia skóry chłodnym, kojącym szlamem.

Jeśli nosorożec jest spragniony, nie należy stawać pomiędzy nim i wodą. Jedynie w takiej sytuacji, a także wtedy, gdy jest ranny, nosorożec potrafi być naprawdę rozwścieczony. Nie znosi, gdy ktoś mu zakłóca picie, i zaatakuje każdego - czy to będzie słoń, lew, bawół, wół, czy też człowiek.

W zaroślach, w chwili gdy zacznie coś podejrzewać, nosorożec stanie w ukryciu, nieruchomy i skupiony. Czasami potrafi tak stać przez godzinę, z podniesioną głową, jedynie strzygąc uszami i kręcąc łbem na boki, żeby „węszyć” powietrze. Gdy się zmęczy, siada z wyprostowanymi przednimi nogami i nadal wietrzy i nasłuchuje. Jeśli napięcie jest ponad jego wytrzymałość, odchodzi. Atakuje jedynie wówczas, gdy dźwięki i zapachy tak go zaintrygują i wytrącą z równowagi, że wpadnie w panikę. Szarżujący nosorożec to na ogół przestraszony nosorożec.

Nawet jeśli wam się wydaje, że słyszycie już nader wyraźnie, jak śmierć trzepoce skrzydłami, gdy nosorożec pędzi w waszą stronę, *zachowajcie spokój i strzelajcie przed siebie* - a wyjdziecie z tego cało. Pamiętajcie, że strzał zawsze go zawróci, a ranny nosorożec, skoro już zawróci, rzadko ponawia atak.

Zdaję sobie sprawę, że myśliwy, który po raz pierwszy staje oko w oko z nosorożcem, nie wyciągnie z kieszeni książeczki z regułami postępowania i nie zacznie czytać. Wiem, że gdy zobaczy półtorej tony prehistorycznego dynamitu, pędzącego na niego z szybkością dwunastu jardów na sekundę, pożałuje, że nie siedzi w domu i nie czyta o tym w jakimś czasopiśmie.

To dla takiego nowicjusza niezwykle doświadczenie i wryje mu się w pamięć na całe życie. Nie dacie rady przekonać go, że nosorożec nie był zły, tylko przestraszony. W każdym razie fakt, w jakim stanie duchowym czy emocjonalnym znajdowała się ta parskająca, potężna bestia, nie będzie miał dla niego żadnego znaczenia.

Myśliwy strzela. Nosorożec skręca. Myśliwy mierzy w bok głowy. Nosorożec pada na kolana. Kolejny strzał, tuż za okiem. Nosorożec przewraca się na bok. Piętnaście sekund niezwykłego podniecenia! A co by było, gdyby jednak uskoczył, żeby zwierzę przebiegło obok? Nie uskoczył. Stał na wysokości zadania. Jest prawdziwym łowcą.

Nie będzie pamiętał, że w pogotowiu czekał stary wyga, który przez cały czas miał nosorożca dokładnie na muszce - tak na wszelki wypadek. Cóż to za różnica? *Wydawało mu się*, że stoi u progu śmierci, i biorąc pod uwagę emocje, nigdy w życiu nie znalazł się w większym niebezpieczeństwie. Stawił mu czoło - i wygrał. I na dowód

tego ma leb z dwudziestopięciocalowym rogiem.

Brzmi to nieco dziwnie, ale gdy pocisk trafi w koniec przedniego rogu nosorożca, zwierzę padnie, tracąc przytomność na jakieś sześć sekund.

Róg ten rośnie na czaszce w taki sposób, by uchronić mózg przed uszkodzeniami w przypadku gwałtownych wstrząsów z przodu. Jednakże nie chroni mózgu przed wstrząsami, które są jednocześnie silne i *ostre*. Co więcej, gdybyście uderzyli mocno, powiedzmy kijem baseballowym, w róg nosorożca *od tyłu*, zwierzę padłoby jak mucha - natychmiast.

Dlaczego ludzie strzelają do nosorożców? Myśliwi zabijają je, żeby zdobyć trofea. Krajowcy zabijają je dla pożywienia - nie ma na świecie szynki smaczniejszej niż szynka nosorożca. Ja zabijałem nosorożce na zamówienie preparatorów zwierząt z Pretorii, Johannesburga, Londynu i Berlina. Po co preparatorom zwierząt łby nosorożców? Są trofeami dla takich myśliwych jak ci wędkarze, którzy nie złapawszy nic, zatrzymują się na rynku i kupują świeże ryby, żeby zanieść je do domu.

Jest również wielki, dochodowy rynek na rogi. Hindusi kupują rogi, ścierają je na proszek, gotują ten proszek w winie i sprzedają taką miksturę jako afrodyzjak. Skóry nosorożców są wykorzystywane na podeszwy sandałów, tarcze krajowców, wiadra dla wielbłądów i wszelkie inne przedmioty, które muszą być bardzo wytrzymałe.

Jednak najbardziej wartościową częścią nosorożca jest penis. Z niego robi się *sjambok*, najstraszniejszy bat na świecie. Jest to cienki, zwięzający się bat, giętki jak fiszbin, twardy jak stal. Rozcina ciało ludzkie aż do kości. Prędzej zastrzeliłbym człowieka, niż uderzył *sjambokiem*.

Niektóre *sjamboki* (zwane również: *kiboko*) wytwarza się ze skór hipopotamów, nosorożców lub żyraf. Ale najokrutniejsze, najbardziej poszukiwane są *sjamboki* zrobione z naciągniętego i wysuszonego na słońcu penisa nosorożca. Uwielbiali je pruscy i belgijscy oficerowie wojskowi w Afryce.

Aby wykonać *sjambok*, do cieńszego końca penisa przywiązuje się żelazko albo jakiś dwu- lub trzyfuntowy ciężarek. Za grubszy koniec wieszka się to „mięso” w słońcu. Rozciągając się z upływem dni, robi się ono coraz cieńsze. Gdy już dokładnie wyschnie, zostanie

wyrównane, naoliwione i wypolerowane - staje się lśniące i śmiertelne jak trzystopowa zielona mamba. Delikatniejszy, ale równie barbarzyński *sjambok* robi się z penisa zwykłego byka.

Słowo najlepiej określające nosorożca to „głupiec”. Czasami samce walczą ze sobą godzinami. Jeden z nich zawsze ginie. Sapia, prychają, dmuchają i przepychają się w zaroślach, tnąc się nawzajem rogami. W końcu jeden wbija róg w trzewia przeciwnika, ciągnie i mocuje się, żeby go wyjąć. Niekiedy pokonany pada na zwycięzcę, gdy róg wciąż jeszcze tkwi we wnętrzościach. Wtedy zwycięzca siluje się i napiera, aż wywróci nieżywe zwierzę. Staje, przygląda się trupowi, cofa się kilka kroków i jeszcze ze dwa, trzy razy uderza w niego rogiem.

Pewnej rozświetlonej księżycem nocy byłem świadkiem koronnej bitwy pomiędzy pięcioma nosorożcami; każdy z nich płałał, ciął i kłuł najbliższego przeciwnika. Walka trwała bez końca. Po godzinie padł pierwszy; po trzech godzinach nie żyły już trzy. Pozostałe ciągnęły burzliwy pojedynek przez kolejne dwie godziny. Następnie odstąpiły od siebie i stały tak przez chwilę, wydając zwycięskie prychnięcia, gromadząc siły do dalszej walki. Nieoczekiwanie jeden upadł. Drugi odwrócił się i odszedł w zarośla. Gdy zbliżyłem się do martwych zwierząt, stwierdziłem, że każdy cal ciała tego, który stracił życie jako ostatni, był pocięty, poorany i rozkrwawiony.

Uważam, że nosorożce są najmniej „cywilizowanymi” zwierzętami, zaraz po ludziach.

Zanim zapomnę, chciałbym zrobić wzmiankę o „białym” nosorożcu. Oczywiście „biały” nosorożec jest szary. Nie jest to nosorożec *white*, ale nosorożec *weit*, co się również wymawia *lajt*. To niderlandzkie słowo, które znaczy „szeroki” i dotyczy szerokiego, kanciąstego nosa tego gatunku nosorożców. „Biały” nosorożec jest większy, powolniejszy i głupszy niż czarny. Ma dłuższą szyję i potrafi porządnie zryć ziemię. Czarne nosorożce są prostaczkami, ale „białe” są zupełnie *non compos mentis**.

* *Non compos mentis* - (łac.) niespełna rozumu.

Dlatego praktycznie wyginęły. Tak niewiele ich zostało, że żywy okaz wart jest dzisiaj od dwudziestu do trzydziestu tysięcy dolarów.

Nie wiem, gdzie moglibyście je znaleźć. Może wzdłuż granicy Kenii, Etiopii i Somali.

Jeśli lubicie prosiaczki, podobałyby się wam również małe nosorożce. Podczas gdy matka strzeże ich uważnie - naprawdę uważnie - te małe rozrabiaki ślizgają się w piachu na brzuchach, ganiają liście rozwiewane przez wiatr i z kwikiem ścigają unoszone powiewami pióra i żdźbła traw. Samcom nie wolno się zbliżać do młodych. Jednak gdy dzieci już dorosną, staruszek i staruszka świetnie się dogadują. On jest dla niej bardzo miły. Lubi się kłaść z głową opartą o jej brzuch.

W 1920 pracowałem jako uzbrojona ochrona Wandy Vik-Persen, najpiękniejszej łowczyni polującej na grubego zwierza z aparatem fotograficznym, jaką kiedykolwiek spotkałem. Miała miedziane włosy, szare oczy i uśmiech, który sprawiał, że każdy facet chciał iść i zdobywać dla niej skalpy. Robiliśmy zdjęcia nosorożcom nad jeziorem Natron, u podnóża Mount Kenya, wzdłuż Uaso Nyiro, aż po mokradła Lorian. Była fotografikiem amatorem i jedynie raz słyszałem, że sprzedała kilka zdjęć sir Abe'owi Baileyowi, człowiekowi z Johannesburga, zajmującemu się górnictwem i wyścigami.

Pani Vik-Persen potrafiła stać i patrzeć przez obiektyw, podczas gdy te wielkie stworzenia zbliżały się ku niej, czasami galopem, aż dochodziły na piętnaście, a nawet dziesięć jardów. Wtedy spuszczała migawkę i umykała w bok. Doprowadzała mnie niemal do rozpacz. Nieraz gdybym strzelił w chwili, gdy zwalniała migawkę, zwierzę padłoby na nią. Ale nigdy nie doszło do żadnego wypadku. Przyglądała się, jak te kolosy zawracają kłusem z głupawo zadartymi ogonami, i mówiła: —Tylko popatrz na tych starych poczciwców!

Jeśli chodzi o odwagę, dla mnie znacznie lepsi są myśliwi z aparatami fotograficznymi niż ci, którzy przelewają krew. Dużym przeżyciem była dla mnie praca z fotografikiem Bobem Schlickiem. Jednak nigdy nie wdaliśmy się w kłopoty. Sądzę, że Bóg ma słabość do myśliwych-fotografów.

Podczas mojej wyprawy do Afryki w 1937, kiedy dla pewnego naukowca strzelałem nosorożce na obrzeżach mokradeł wokół jeziora Natron w Tanganice, byk nosorożca rozśmieszył mnie jak nic nigdy do tej pory. Założyliśmy obozowisko niedaleko ścieżki uczęszczanej przez zwierzęta i zarówno słonie jak nosorożce od czasu do czasu

mijały nas, nawet nie odwracając wzroku. Wspomnianym naukowcem był doktor Watrous z Memphis. Badał organy wewnętrzne zwierząt. Grzebał w ściervie, wyciągał wątrobę, nerki i wszystko, co się dało wyjąć, ważył je, mierzył, po czym umieszczał w wielkich słojach z formaliną. Kiedy wykonywał swą pracę na otwartej przestrzeni, nie było źle, ale czasami te jego wątroby i płuca poniewierały się po całym obozowisku. W końcu namówiliśmy go, żeby przeniósł się w pobliże przejścia zwierzyny i żeby tam pracował.

Pewnego popołudnia rozbiliśmy namiot, zanieśliśmy do niego okazy doktora i pomogliśmy mu ustawić słoje w schludne piramidy. Zabral się do pracy, nucąc pod nosem z zadowolenia. Tuż przed zmierzchem pojawił się byk nosorożca, zobaczył namiot, postanowił go zbadać i podszedł blisko, węsząc i parszcząc. Doktorek Watrous wyszedł na zewnątrz z drugiej strony.

Nosorożec zbliżył się tak bardzo, że nosem niemal dotykał płótna. Nikt nie chciał go zastrzelić, a poza tym domyślaliśmy się, że jak zaspokoi swoją ciekawość, to odejdzie. Nagle powiew wiatru wpadł do namiotu przez otwór, którym wyszedł Watrous. Podmuch nadął ściany z nagłym świstem i z dźwiękiem podobnym do kłaśnięcia.

Nosorożec cofnął się, prychnął ze strachu, wymierzył i zaatakował namiot jak buldożer. Nacierając, wyrwał środkowy maszt i płótno opadło na niego. W obozowisku zapanowało pandemonium. Kafrowie wrzeszczeli; doktor Watrous podskakiwał w miejscu i krzyczał. Namiot falował, skakał i zataczał kręgi, jakby wstrząsały nim wybuchy. Nosorożec, co dziwne, nie wydawał żadnych dźwięków. Przypuszczam, że był zbyt przerażony. Miałem wrażenie, że się przewrócił na bok. Gdy wstał, przebił się przez płótno. Cały był pokryty wątrokami i nerkami i przyprószony szkłem.

Odbiegł kłusem, co dwa, trzy susy zmieniając kierunek. Był tak oszołomiony, że nie wiedział, dokąd się udać.

Doktorek Watrous zachowywał się, jakby postradał zmysły. Stał w swym białym, rzeźnickim fartuchu i patrzył najpierw na zniszczony namiot, a następnie na znikającego nosorożca. Podniósł krótki patyk i podrapał się po piersi. Następnie wziął taboret turystyczny, usiadł na nim i spojrział na mnie.

- Sukinsyn - powiedział.

Ten doktorek Watrous był też bohaterem innego śmiesznego wydarzenia. To znaczy śmiesznego dla nas. Dla niego nie. Było to daleko, w okolicach rzeki Kongo, nieopodal osady Yambuya. Strzeliliśmy mu słonia. Doktorek wypiłował zwierzęciu w boku wielką dziurę, wyjął kilkaset funtów organów i wszedł do środka ścierwa w poszukiwaniu czegoś, co słonie tam mają.

Kilka stóp od zadu zwierza ustawiliśmy wielką wagę. Waga była zawieszona na stojaku wysokim na jakieś dziesięć stóp. Podczas gdy doktorek nurkował w ścierwie, jeden z Kafrów potknął się o stojak i cała konstrukcja zwała się na słonia w chwili, gdy w otworze pojawiała się właśnie głowa doktora. Zauważył, że stelaż leci na niego, i cofnął się w głąb zakrwawionego wnętrza. Górna część stojaka upadła w poprzek otworu w boku zwierzęcia. Kiedy doktorek się cofnął, musiał wsadzić głowę w kałużę krwi, ponieważ gdy wystawił ją ponownie pomiędzy nogami stojaka, jego twarz wyglądała jak krwawa miazga. Prychał i pluł, a tymczasem dwie nogi stojaka zacisnęły mu się delikatnie na szyi i unieruchomiły go.

Pomogliśmy mu się wydostać i gdy kończyłem ścierać mu krew z twarzy, spojrzął na mnie ze zmartwioną miną. - Wie pan co - powiedział. - Zdaje się, że ściagam wypadki.

Doktorek Watrous chyba faktycznie przyciągał nieszczęście. Nigdy nie zaatakował mnie nosorożec, chyba że celowo go drażniłem dla jakiegoś łowcy-fotografika albo dla myśliwego, który nie chciał strzelać do „siedzącej kaczki”. Ale Watrous był zaatakowany trzykrotnie, trzy dni pod rząd, i za każdym razem uszedł cało dzięki wykonanemu ostatkiem sił unikowi. Gdy zdarzyło się to po raz ostatni, nosorożec miał wybór: czy ruszyć na nosiciela broni z plemienia Kikuju, na mnie, czy na Watrousa. Wybrał doktora. Kiedy patrzyłem, jak ten człowiek i zwierzę uganiają się wokół drzewka mimozy, nagle uświadomiłem sobie, dlaczego nosorożce wybierają Watrousa. Zawsze nosił białą kurtkę albo biały kask, albo jedno i drugie. Odkąd zaczął się ubierać w khaki, nosorożce dały mu spokój.

Człowiek się uczy - jeśli dane jest mu pożyć wystarczająco długo.

Krokodyle

Krokodyle to najbrzydsi, najokrutniejsi i najobrzydliwsi pożeracze ludzi i zwierząt w Afryce. Przez cały czas obserwują was wygłodniałymi, szklistymi, zielonymi oczami i uśmiechają się chytrze gadzimi ustami. Wiecie pewnie, że jeśli was dopadną, nie zjedzą, póki będziecie świeży i przyjemni, ale zaciągną na dno rzeki, rozedrą na kawały i ukryją te kawały w błocie, żeby tam zgniły. To dlatego, że krokodyle nie potrafią żuć i muszą czekać, aż większe zdobycze zepsują się, żeby można je było połknąć.

Jeśli nie są ranne lub wygłodniałe, rzadko atakują otwarcie, ale skradają się pod wodą z łapami mocno przylegającymi do boków, poruszając się dzięki ruchom ogona, szybko i cicho jak śmierć. Na ogół chwytają człowieka za rękę lub nogę i ściągają w dół, gdzie jego krzyki stają się jedynie męczeńskim, dławiącym bulgotem.

Moja pierwsza styczność z krokodylami teraz wydaje się śmieszna, ale wtedy śmieszna nie była. Miało to miejsce jeszcze w czasach, nim wynaleziono penicylinę, a afrykańscy myśliwi czasami leczyli rany nawilżając je słabym roztworem soli rozpuszczonej w przegotowanej wodzie i wystawiając na słońce. Właśnie dlatego pewnego popołudnia pod koniec grudnia leżałem nago na szczycie płaskiej skały, która wznosiła się trzy stopy ponad wyschniętym błotem przy brzegu jednego z dopływów rzeki Nengo, na północno-zachodnim krańcu Rodezji.

Dzień wcześniej upadłem na ostrych skałach i wyrwałem sobie nieco mięsa z prawego uda. Spodnie khaki weszły mi w ranę i teraz

staralem się zapobiec zakażeniu. Byłem sam. Ubusuku i dwóch chłopaków z ludu Czuanów, Bill i Oka, osiodłali woły wierzchowe i udali się w górę rzeki, żeby odszukać dwóch ornitologów z moskiewskiego Muzeum Rumiancewa, którzy się mieli z nami spotkać.

Skala, na której leżałem, miała około ośmiu stóp długości i trzech szerokości. Strumień był ciągiem kałuż, w których roiło się od wygłodniałych krokodyli, ponieważ gdy rzeka wyschła, zniknęły ryby, a ryby są głównym składnikiem krokodylowej diety. Wszędzie wzdłuż dopływów Nengo krokodyle zaczęły chwytac cielaki, kozły - wszystko, co podeszło do brzegu. W niektórych miejscach te śmierdzące gady wciągały i pożerały dzieci bawiące się nad rzeką.

Jakieś piętnaście stóp za skalą, na której drzemałem, znajdowało się zrobione z błota i butwiejących szczątków roślinnych, wysokie na cztery stopy gniazdo z krokodylimi jajami. Nie przejmowałem się tym, ponieważ wtedy jeszcze można było napisać książkę o mojej niewiedzy na temat krokodyli.

Dzień był nieco chłodny, ale skala ciepła. Leżałem na lewym boku, z głową opartą na ramieniu, ze sztucерem w zasięgu ręki, i zasnąłem. Po chwili śniłem, że jestem z powrotem w Stanach i słucham hałasu sfory szczeniaków setera, którego kiedyś miałem. Poruszyłem się i zbudził mnie trzask sztucera, który strąciłem ze skały. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem w Michigan, ale w dorzeczu Kongo... kompletnie nagi.

Wciąż zaspany, ześlizgnąłem się ze skały, żeby odzyskać sztucер, i nadepnąłem na coś miękkiego i wijącego się. To coś zaskomliło. Próbowałem podskoczyć, poślizgnąłem się i upadłem z impetem - nie na ziemi, ale na trzech lub czterech dopiero co wyklutych krokodylach. Otoczyło mnie około sześćdziesięciu tych niewielkich, dziesięciocalowych diabłów. Ich matka, która właśnie otworzyła gniazdo, wypuściła stadko i zaganiała je do wody, stała na palcach dwadzieścia stóp ode mnie i patrzyła złowrogo.

Wszystko stało się w tym samym momencie. Około sześciu paskudnych, żółtookich diabłat, z pozostałościami żółtka wciąż przyczepionymi do brzuchów, zaatakowało mi palce u nóg, pięty i łydki ostrymi jak igły zębami, z dzikim, szczenięcym skowytym. Chwyciłem

sztucer i wdrapałem się na skałę o sekundę wcześniej, niż ich matka rzuciła się z dławiącym kaszlnięciem i zamachnęła się na mnie ogonem. Nie trafiła.

Niemal wykonała salto w tył, żeby chwycić mnie w szczęki, ale włożyłem jej do paszczy lufę .303 i nacisnąłem spust. Upadła. Wsadziłem jej jeszcze jeden pocisk w szyję w miejscu, gdzie zieleń grzbietu przechodzi w żółty odcień podgardla. Zwiotczała jak martwy wąż. W tym czasie wszystkie młode krokodyle, których nie zmiażdżyłem, zniknęły w najbliższej kałuży. Zacząłem zeskrobywać z pośladków żółtko i zmiażdżone resztki, gdy „martwa” matka machnęła ogonem, ziewnęła kilka razy i zaczęła pełznąć w stronę rzeki. Strzeliłem do niej ponownie, celując w nasadę szczęk. Nadal pełzła wolno, ociężale. Wtedy naprawdę ją podziurawiłem - cztery strzały w pobliżu oka.

Wdrapałem się na brzeg, poszedłem jakieś sto jardów wzdłuż strumienia, do miejsca gdzie wyprzęgliśmy wóz z ekwipunkiem, i wymyłem się do czysta pitną wodą. Ubrałem się i wróciłem, żeby ponownie przyjrzeć się swojej krokodylicy. Nie było jej. W pierwszej chwili pomyślałem, że zmartwychwstała, ale trop wskazał, że to dwa stare samce wciągnęły ją do kałuży. Zapewne planowały ją zjeść.

Do tej chwili wszystkie informacje, jakie posiadałem o krokodylach, pochodziły z opowieści myśliwych i Kafrów. Krokodyle były dla mnie po prostu krokodylami. Ale odkąd te małe bestie capnęły mnie swymi niewyrośniętymi jeszcze zębami, rozpoczęła się moja edukacja. Następnego dnia wszystkie trzydzieści trzy małe ukłucia zaczęły się jątrzyć. Opatrzyłem je jak ukąszenia węża - naciałem nożem, upuściłem nieco krwi i zastosowałem terapię solno-wodno-słoneczną. Zagoiły się po upływie tygodnia.

Krokodyle mieszkające w jednych rzekach są bardziej drapieżne niż te z innych wód. Nigdy nie słyszałem sensownego wyjaśnienia tego faktu. Poza tym w niektórych rzekach krokodyle nie rozrywają ofiary na kawałki, zanim zagrzebią ją w błocie. Zakopują ją w całości i nie zjadają, dopóki ściervo nie wypłynie na powierzchnię. Krokodyle z rzeki Nengo to okrutni, zacięci zabójcy. Lungwebungu podobnie jak Nengo wpada do Zambezi, ale jakieś sześćdziesiąt mil dalej na

południe. Krokodyle w Lungwebungu można odpędzić od brodu uderzając wodę długimi kijami. Spróbujcie tego na niektórych odcinkach Nengo, a wszystkie krokodyle z odległości pół mili zejść się, żeby sprawdzić, co się dzieje. A są to te same krokodyle „prostonose” - których dorosłe osobniki mierzą średnio jedenaście do piętnastu stóp długości.

Dalej na zachód, w przybrzeżnych rzekach Angoli, krokodyle są „zadartnose”. To znaczy mają nosy zagięte ku górze. Są jednak w każdym calu równie złe, brzydkie i odpychające jak ich prostonosi bracia.

Polowania na krokodyle zawsze były dość dochodowym interesem, o ile się miało zapewniony tani transport skór. W Ugandzie od dawna uprawia się ten proceder, ale obecnie rząd brytyjski zamierza go zamienić w Wielki Biznes. Ugandyjska Korporacja Handlu Rybami otwiera rynki skórzane w Stanach Zjednoczonych i rozwija zakłady przerobu skór na Wyspach Brytyjskich, chcąc dojść do liczby tysiąca krokodyli miesięcznie. Potrzeba myśliwych, ale nie zaczynajcie strzelać krokodyli, póki nie napiszecie po informacje do Ugandyjskiej Korporacji Handlu Rybami, Kampala, Protektorat Ugandy, Brytyjska Afryka Wschodnia. Odpowiedzą wam na wszystkie pytania dotyczące wymaganych zezwoleń, najlepszych kalibrów broni i cen płaconych za niewyprawione skóry.

Obecnie ugandyjska akcja „krokodyl” skupia się głównie na porośniętych trzciną brzegach jeziora Kyoga, ale zakłada się faktorie w całym protektoracie. Ja bym radził, żebyście udali się na krokodylowe safari nad strumienie i nadbrzeżne równiny doliny Semliki, na południe od Jeziora Alberta. W tamtych wodach to są dopiero krokodyle! Choć wszystkie rzeki i jeziora Ugandy mają ich w bród.

Uganda należy do czarnego człowieka i biali, którzy nią rządzą, mają zamiar dopilnować, żeby tak pozostało. To jedyne miejsce na ziemi, gdzie krajowcy są chronieni przed wyzyskiem ze strony chciwych kolonizatorów. Żaden biały człowiek w Ugandzie nie ma prawa przedsięwziąć niczego, co mogłoby naruszyć prawa tubylców. W Ugandzie nie poniewiera się czarnymi, co my, Amerykanie, czyniliśmy z Indianami, albo jak postępowali, czy też postępują Burowie w Afryce Południowej, albo jak biali i Hindusi w Kenii obchodzą się z

Masajami i z innymi plemionami. Jeśli jesteś typem białego, który nie potrafi pogodzić się z równością czarnego człowieka, trzymaj się z dala od Ugandy.

Moja podróż do krainy rzeki Nengo nie miała jednak na celu strzelania krokodyli. Pojechałem tam, żeby strzelać ptaki dla Muzeum Rumiancewa. W Bulawajo podpisałem kontrakt z przedstawicielem muzeum i kazano mi spotkać się z dwoma naukowcami, Awyangiem i di Giovannim, przy trzecim południowym dopływie Nengo. Ubusuku, dwaj Czuanie i ja odbyliśmy sześćsetmilową podróż z Bulawajo w wozie ciągnionym przez woły i wyprzęgliśmy go w miejscu umówionego spotkania. Awyang i di Giovanni nie pojawili się do południa następnego dnia; sądząc, że mogliśmy się minąć, wysłałem Ubusuku, Billa i Okę, by ich poszukali.

Minęło pięć dni, zanim pojawili się z zaginionymi naukowcami. Dwaj mężczyźni zgubili się. Przybyli z wybrzeża Angoli, z Bengueli, w towarzystwie miejscowego przewodnika, który pewnej nocy zniknął z sześćdziesięciofuntowym ładunkiem soli. Gdyby Ubusuku ich nie zlokalizował, pewnie nigdy byśmy się nie spotkali, bo jeśli kiedykolwiek dżungla widziała dwoje bezradnych dzieci, to właśnie tę dwójkę.

Doktor Hohang Awyang, dowodzący wyprawą, był wykształconym w Ameryce chińskim ornitologiem, i to dobrym. Był bystry, cierpliwy i posłuszny. Przywiózł listę ponad trzystu ptaków, jakich potrzebowało jego muzeum. Gennaro di Giovanni był włoskim preparatorem zwierząt; zarozumiały, pyskaty mały złośnik. Był chyba najbrudniejszym białym, jakiego kiedykolwiek widziałem; rzadko zmieniał ubranie, rzadko się kąpał, ale troskliwie dbał o swoje długie, woskowane, czarne wąsy. Usiłował utrzymać je w ładnie zwężającej się formie, ale zawsze rozchodziły się na końcach i palcami ciągle je skręcał i pociągał.

Przez następne trzy miesiące strzelałem ptaki. Ale gdy nie prześladowały nas krokodyle, to naprzykrzał nam się di Giovanni. Czasami godzinami podążałem za rzadkim ptakiem, miałem go już na muszce i w tym momencie di Giovanni wrzeszczał:

- Nie szczelaj w głowę. Nie szczelaj w pierś. Szczelaj w trzewia.

Nawet gdyby jego krzyki nie spłoszyły ptaka, i tak bym z ich powodu nie wcelował. Awyang tolerował di Giovanniego dla dobra wyprawy i tylko to mnie powstrzymywało, gdy czasami miałem ochotę udusić tę małą srokę.

Pośród ptaków potrzebnych Awyangowi znajdowały się trzmielojady, brzytwodzioby, białe warzęchy, czarne gęsi, gęsi garbonose, zielone gołębie, czerwonopierśne trogony, długonogie szablodzioby, żurawie stepowe oraz różne siewki, kaczki, brodzie, czaple, brzegówki, jaskółki, zimorodki, ibisy i rybołowcy.

Było to najtrudniejsze strzelanie, jakiego kiedykolwiek się podjąłem. Głównie dlatego, że nie mogły to być pierwsze lepsze ptaki. Musiała być para, samiec i samiczka, odpowiedniej wielkości i o odpowiednim upierzeniu. Awyang potrafił zignorować setki ptaków, nim wskazał tego, o którego mu chodziło. Di Giovanni ścigał z nich skórę i wypychał na miejscu, w terenie.

Di Giovanni był doskonałym preparatorem zwierząt. Z przyjemnością mu się przyglądałem, gdy pochylał się nad małym ptaszkiem, a przed nim na białym ręczniku leżały w lśniącym rzędzie skalpele, piły do kości, kleszcze i łyżeczki do mózgu. Ale jeśli moim strzałem zламаłem kręgosłup, mostek albo musnąłem czaszkę, tyrada di Giovanniego nie miała końca, aż rozwijały mu się wąsy i zwisały jak para ciosów morsa.

Ponieważ zabijając ptaki należało w jak najmniejszym stopniu uszkadzać im skórę i pióra, wykorzystywałem więcej rodzajów broni niż snobistyczny myśliwy polujący na grubego zwierza. Miałem jednostrzałowego remingtona kalibru .22, dubeltówkę dwudziestkę, jednolufowego powella z ćwierćczokiem kaliber 12 i swój sztucer .303.

Remingtona .22 wykorzystywałem do strzelania małych ptaków, takich jak szpaki, brzegówki i trzmielojady; dubeltówkę dwudziestkę - do zielonych gołębi, zimorodków i ptaków podobnej wielkości. Dwunastki używałem do żurawi, rybołowców, dropi, lecących gęsi, kaczek i siewek; .303 do zdarzających się niekiedy dalekich strzałów, przede wszystkim do *aasvogelen* (sępów) i gęsi garbonosych.

Jednak coraz częściej .303 i powell służyły mi do strzelania krokodyli, które omal nie popsują nam całej ptasiej akcji. Dopadły

jednego z naszych osłów, mało brakowało, a zabiłyby di Giovanniego, potem odgryzły kawał nogi Billowi i w końcu nas nastraszyły niemal do utraty zmysłów.

Styczeń miał być w tej części Afryki mokrym miesiącem, ale padało tylko przez tydzień. To jednak wystarczyło, żeby Nengo i jej doływy wylały. Równiny i łąki zamieniły się w bagna i trzęsawiska głębokie na trzy lub cztery stopy. Ryby opuściły główne strumienie i żerowały pośród zalanych traw. Krokodyle podążyły za rybami.

Jako że większość ptaków przesiadywała w dzikiej fasoli, różowych śliwach, macierzance, mimozie i cierniowcach, które rosły nad rzeką, było prawie niemożliwe, żeby nasza zdobycz nie wpadała do wody. Krokodyle często nie wykazywały zainteresowania martwymi ptakami, ale zdecydowanie utrudniały sprawy komuś, kto szedł je zabrać.

Pewnego ranka przepatrywaliśmy łąchy piachu wzdłuż rzeki w poszukiwaniu brzytwodziobów. Są to piękne ptaki o śnieżnobiałej pierś, czarnym grzbiecie i czerwonym dziobie. Budują gniazda w dołkach w piasku. Niczego się nie boją i z zapalem atakują kruki, jastrzębie i bociany. Ale kiedy zbliża się człowiek, opuszczają bezwładnie jedno skrzydło i udają, że są ułomne. Górna część ich dzioba jest krótsza niż dolna. Żerują nocą; żywią się owadami, które zbierają z wody, zgarniając je dolną częścią dzioba, ledwie dotykając powierzchni.

Nie było problemu ze strzeleniem brzytwodzioba. Był problem, żeby strzelić dwa ptaki z dziobami o dokładnie takim odcieniu czerwieni, jakiego chciał Awyang. Wygląda na to, że ptaki, podobnie jak psy, są oceniane według punktacji i pewien odcień czerwieni dziobów brzytwodziobów jest niezwykle poszukiwany.

Gdy Awyang dostrzegł ptaka, którego chciał, di Giovanni, stojący obok swego osła, niezwykle się podniecił. Zaczął swoją starą śpiewkę:

- Nie szczelać w głowę. Nie szczelać w pierś. Szczelać w trzewia.

Powiedziałem: - Zamknij się - i sięgnąłem po .22. Małeńka kula przeszła przez brzuch. Ptak powinien spaść jak kamień. Zamiast tego rozłożył swe długie skrzydła, wzniósł się nad łąką i poszybował nad

trzęsawiskiem, lądując z pluskiem w środku bagna.

Di Giovanni zaczął popychać Okę ku wodzie, wrzeszcząc: - Przynieś go. Przynieś go.

Kafr uskoczył w bok i powiedział ponuro: - Za dużo krokodyli.

Di Giovanni wybuchnął gniewem, podniósł kij i uderzył chłopaka w twarz. Następnie wskoczył na osła i popędził zwierzę do wody. Był o kilka stóp od brzytwodzioba, gdy osioł zaryczał i poszedł pod wodę. Di Giovanni wynurzył się, parskając. Widać było spieniony wir, falowanie i chlapanie ciemnych ciał, a następnie łańcuszek unoszących się baniek, gdy krokodyl wciągał osła na dno.

W tym czasie Ubusuku pognął po łódź przycumowaną jakieś sto jardów dalej. Oka i ja, chlapiąc na boki, ruszyliśmy ku di Giovanniemu. Trzymałem wysoko swoją .303 i jak mogłem najszybciej, przepychałem się przez wodę sięgającą ud. Oka jednak był szybszy i doszedł do di Giovanniego, gdy mnie pozostało jeszcze około trzydziestu jardów. Zamiast starać się pomóc skrzeczącemu Włochowi, Oka złapał go za szyję i wepchnął pod wodę. Krzyknąłem, przyłożyłem sztucer do ramienia z zamiarem zastrzelenia Kafra, jeśli by nie przestał, ale zanim zdążyłem do niego wycelować, nagle zniknął pod powierzchnią i tam zaczął walczyć z di Giovannim, podobnie jak wcześniej krokodyl z osłem.

Nie pamiętam, co się działo w kolejnej minucie. Wiem jedynie, że rzuciłem sztucer, chwyciłem Włocha i szarpnięciem wyciągnąłem go ponad wodę. Miał sine usta i był bezwładny. Oka podniósł się z uśmiechem. Przerzuciłem sobie di Giovanniego brzuchem przez ramię i zacząłem nim gwałtownie potrząsać. Za każdym razem gdy uderzył żołądkiem w moje ramię, z ust tryskała mu woda. Jęknął słabo i zaczął się ze mną mocować. Po chwili Ubusuku i Awyang byli koło nas w naszej składanej łodzi.

Cisnąłem di Giovanniego do łodzi twarzą w dół i sięgnąłem po Okę.

- Zostaw go w spokoju - odezwał się cicho Awyang.

Spojrzałem na Chińczyka, a wtedy dodał:

- Gdyby ten Włoch uderzył mnie w twarz, sam bym go zabił.

- Oka zaatakował białego człowieka. Musi zostać ukarany.

Awyang spojrział na mnie i uśmiechnął się. - Chłopak miał rację - powiedział.

Podniosłem martwego brzytwodzioba i kopalem błoto, aż odnalazłem swój sztucer. Pomogliśmy di Giovanniemu wrócić do obozowiska i położyliśmy go na jego posłaniu. Zaczął płakać. Odeszliśmy wraz z Awyangiem i pozostawiliśmy go szlochającego.

Ja również byłem po stronie Oki, ale należało dbać o prestiż białego człowieka, więc wyrzuciłem chłopaka z pracy. Zapłaciłem mu o dwa funty więcej, żeby przysłał mi kogoś, kto zająłby jego miejsce. Przysłał Hotentota o imieniu Bumpo.

Dobra pogoda utrzymywała się i pozyskaliśmy wiele okazów ptaków. Rzeka opadała i zalane obszary się zmniejszały. Hipopotamy, które na ogół żyją w zgodzie z krokodylami, odmówiły im już dzielenia się rozlewiskami, więc krokodyle wyniosły się na płytkie trzęsawiska. Hipopotamy żerowały w wilgotnych trawach wokół tych mokradeł, a ich chrząkania i wycie pomieszane z chrupotaniem i pokasywaniem krokodyli wypełniały wszystkie nocne godziny.

Bumpo zawsze potrząsał głową i ostrzegał nas, że „wydarzy się coś złego”, ale gdy zachęcaliśmy go, żeby nam powiedział, czego się boi, jedynie przewracał oczami.

Ubusuku, na ogół wesoly i pełen zapału, teraz stał się markotny. Jego duma cierpiała, ponieważ pracował dla myśliwego, który podjął się niemieckiego zadania polegającego na strzeleniu ptaków. Strzelanie do krokodyli też mu nie odpowiadało. Stawiał krokodyle na równi z węzami, a dla Zulusa nie ma nic nędzniejszego od węża. Pewnego ranka, nie mogąc już tego znieść, powiedział:

- *Baas*, mężczyznom, którzy zostają w kraalu, żeby doić krowy, szybko wyrastają kobiece piersi.

- Rozchmurz się, Ubusuku - odparłem. - Ta praca będzie trwała tylko do końca pory deszczowej. Potem ruszymy na słonie.

Wodząc smutnymi oczami po płaskich obrzeżach mokradeł, oznajmił: - Lwu, który żywi się trawą, wyrastają królicze uszy.

Dostrzegł dużego krokodyla drzemiącego w słońcu.

- Popatrz, *Baas* - powiedział - pokażę ci, że polowanie na krokodyle ze strzelbą to praca odpowiednia tylko dla grubych kobiet.

Chwycił krótki, ostry dziryt i długą dzidę, którą w obozowisku zawsze opierał o drzewo, i ruszył w sięgające pasa szuwary. Będąc jakieś pięćdziesiąt jardów od krokodyla, padł na brzuch. Nie dostrzegłem po nim żadnego śladu - nie drgnęło nawet źdźbło - aż nagle pojawił się obok gada i wbił mu dzidę w bok gardła. Krokodyl, ze zwisającą dzidą, stanął na ogonie, rozwarł szczęki, ryknął i padł na grzbiet. Ubusuku natychmiast znalazł się obok niego, rzucił się, wymachując i kłując dzirytem trzymanym w jednej ręce, podczas gdy drugą wyciągnął z ciała krokodyla dzidę.

Bestia zawirowała i ruszyła w stronę wody. Ubusuku cisnął dzidą. Wbiła się głęboko w bok krokodyla. Krokodyl, rycząc jak byk, znów stanął na ogonie, zakręcił się i padł do wody. Zanurkował, wynurzył się kilka jardów dalej i młóćąc ogonem, zaczął się miotać szaleńczo. Ubusuku wskoczył za nim, trzymając wysoko dziryt. Ze sztucerem w dłoni ruszyłem w kierunku toczącej się walki. Gdy dotarłem na skraj rozlewiska, Ubusuku z dzirytem w górze oddalił się już o dwadzieścia pięć jardów. Krokodyl poszedł pod wodę i niemal natychmiast się wynurzył, kaszląc i pobłyskując mokrymi rzędami długich kłów w na wpół otwartej paszczy. Rzucił się prosto ku Ubusuku. Szybko uniosłem sztucer.

- *Ikona!* Nie! Nie! - krzyknął Ubusuku i zanurkował pod atakującego krokodyla. Wynurzył się za nim i nieco z boku.

Unikając dziko młóćącego ogona, ruszył przed siebie, złapał przednią łapę zwierzęcia i zaczął dźgać raz po razie.

Dziki szarpnięcie odrzuciło Ubusuku, a krokodyl znów zanurkował. Zulus wygramolił się na brzeg u moich stóp, dysząc ciężko. Krokodyl wypłynął jakieś pięćdziesiąt jardów od nas, przekręcił się na grzbiet i gwałtownie wyprostował łapy. Przez kilka chwil trzymał je sztywno w górze. Następnie łapy zgięły się powoli wzdłuż boków i krokodyl, wciąż leżąc na grzbiecie, poszedł pod wodę i zniknął nam z oczu.

- A więc to jest zajęcie godne kobiet - powiedziałem. - Teraz, ty wielki barbarzyńco, powiedz mi, dlaczego *naprawdę* nie lubisz polować na krokodyle?

- One śmierdzą.

Faktycznie śmierdzą, ale jednocześnie są smaczne. Ubusuku oczywiście nie tknąłby ich mięsa, ale pozostali z nas od czasu do czasu z przyjemnością raczyli się krokodylą przekąską. Najlepiej smakują młode krokodyle.

Smród krokodyli to szczególnie ostry rodzaj piżma. Jest produkowane przez cztery gruczoły, dwa po bokach gardła i dwa w odbytnicy. Kiedy gad jest spokojny, gruczoły są zaciśniętymi szczelinami, ale gdy jest podniecony, zły, przestraszony albo napalony na krokodylą damę, gruczoły wyłazą na wierzch, nadymają się jak różowe piłki do ping-ponga i wydzielają swój smrodliwy zapach.

Odór czepia się wszystkiego, co napotka, i jest niezwykle trwałe. Gdy krokodyle pełzają po dnach rzek, piżmo pozostawia trop, którym podążają inne krokodyle. Kiedy samce krokodyli wpadną w szpony seksualnego pożądania, ryczą, z przerwami, przez całą noc i z każdym rykiem psują powietrze strumieniami smrodliwych perfum. Gdy już narobią dosyć hałasu i smrodu, samice kapitulują z błogimi uśmiechami na swych diabelskich pyskach.

W okresach pomiędzy wyprawami łowieckimi pisałem opracowania dotyczące dzikich zwierząt i artykuły przyrodnicze dla europejskich gazet, takich jak londyńska *Daily Mail*, berlińska *Deutsche Allgemeine Zeitung* i budapeszteńska *Pester Lloyd*. Chciałem napisać kilka prac o krokodylach i poprosiłem di Giovanniego, żeby wyjechał mi jednego. Odmówił.

Włoch trzymał swoje umiłowane instrumenty do preparowania zwierząt wepchnięte do czterdziestofuntowej puszkę smalcu, aby uchronić je przed korozją. Co jakiś czas smalec jeleżał i di Giovanni go przetapiał. Pewnego wieczoru, gdy smalec wrzał, garnek przechylił się i tłuszcz stanął w płomieniach. Zapalił się jak benzyna. Di Giovanni bardzo przeżył. Było mi go żal. Najbliższym miejscem, gdzie moglibyśmy dostać świeży smalec, było Bulawajo, odległe o pięćset mil.

Następnego ranka upolowałem hipopotama i kazałem Kairom wygotować w wodzie około pięćdziesięciu funtów tłuszczu zwierzęcia. Gotował się przez jakieś dwadzieścia godzin i był często szumowany.

Gdy został schłodzony, stał się porządnym i zwięzłym „smalcem”, jaki di Giovanni mógł sobie wymarzyć. Szczęśliwy z powodu smalca, przyrzekł, że spreparuje mi za to krokodyla.

W ciągu godziny strzeliłem dużego samca. Di Giovanni najpierw wyjął serce. Przytrzymał je w dłoniach: widziałem, że jeszcze biło.

- Serce skacze, co? Poczekaj - powiedział.

Zawinął serce w wilgotny ręcznik i położył je w słońcu. Odwinął je pół godziny później. Wciąż biło.

Przy pomocy noży, pił, haków, szczypiec i innych instrumentów rozłożył krokodyla na kawałki, członek po członku, organ po organie. Najpierw wykonał nacięcie u podstawy czaszki i odkrył górną część głowy. Zademonstrował mi, jak była umocowana górna szczęka, żeby mogła się ruszać, i jak nieruchoma dolna żuchwa była przytwierdzona mocno do kośćca. Pokazał mi potężne mięśnie, dzięki którym szczęki posiadają niezwykłą siłę miażdżenia, i stosunkowo słabe mięśnie, które je otwierają; mięśnie tak słabe, że człowiek może rękoma przytrzymać paszczę krokodyla w pozycji zamkniętej - jak kilka razy robił to na moich oczach Ubusuku.

Język krokodyla jest szeroki i gruby i na całej długości przyrośnięty do żuchwy. U nasady przechodzi w dużą wypukłość, która działa podobnie jak zawór i nie pozwala wodzie wlewać się do gardła. Zęby to kły biegnące w podwójnym rzędzie wokół paszczy - duże z przodu, mniejsze za nimi. Zęby rosną bez przerwy - stare są wypychane przez nowe. Kiedyś, gdy poszukiwaliśmy w Ugandzie zębów hipopotamów, które miały zostać zamienione w zęby „ludzkie” w protezach dentystrycznych, odkryliśmy w wyschniętym rozlewisku rzecznym ponad czterysta starych zębów krokodyli. Ubusuku zrobił z nich naszyjniki, nawlekając na drut.

Z powodu przytwierdzonego języka i przestrzeni pomiędzy zębami krokodyl nie potrafi żuć. Potrafi jednak jednym haustem połknąć zwierzę wielkości małego psa. Połyka ptaki wodne razem z piórami. Kości nic dla niego nie znaczą, ponieważ jest w stanie zmiażdżyć nawet najgrubsze. Czasami zjada większe zwierzęta, rozszarpując je. Trzyma zdobycz w zębach i rzuca łbem na boki. Trzewia tryskają we

wszystkie strony; latają nogi, głowa i inne części ciała. Natychmiast zjada kawałki, które może przełknąć, ale większe porcje zabiera do swej błotnej spizarni, żeby zgniły.

Czasami dwa krokodyle pomagają sobie rozerwać zwierzę na strzępy. Każdy chwytą za jeden koniec. Kilka pociągnięć i szarpnięć i ścierwo faktycznie się rozrywa.

Krokodyle nie potrafią jeść pod wodą. Kiedy mają ochotę na przekąskę w postaci czegoś, co przechowują na dnie rzeki, wynoszą to w paszczy, wystawiają głowę nad powierzchnię i łykają. Towarzyszy temu ohydny dźwięk. Równie nieprzyjemny jest odgłos, który powstaje wówczas, gdy z trzaskiem zamykają pustą paszczę - jakby ktoś bił w bęben.

Z żołądka krokodyla di Giovanni wydobyl cztery duże kawałki kości nogi antylopy, dwie garści kamyków, kilka kamieni większych od kaczego jaja, czaszkę ptaka i trzy kopyta antylop. Zawartość brzucha krokodyla nie zawsze jest tak zwyczajna. Kiedyś w Kongu, gdy otworzyłem krokodyla, znalazłem dolara Marii Teresy. Z tego, co wiem, dolar Marii Teresy jest używany wyłącznie w Etiopii, dwa tysiące mil od miejsca, gdzie zabiłem krokodyla. Jeden z moich przyjaciół znalazł kiedyś w żołądku krokodyla bursztynowy cybuch fajki. To daje do myślenia.

Uszy krokodyla to dziury w głowie dwa cale za oczami. Są wyposażone w rogowate klapki, które mogą być podnoszone i opuszczane. Kiedy krokodyl jest zły lub podniecony, klapki te ruszają się w górę i w dół jak skrzydła kolibra. Gdy krokodyl jest pod wodą, pozostają zamknięte.

Jeśli chcecie strzelić krokodyla w mózg - a jest to jedyny strzał, który gwarantuje jego śmierć na miejscu - musicie celować w te uszy. Strzał w bok szyi kładzie go, ale jeśli nie naruszy kręgosłupa, będzie wam potrzebna więcej niż jednej kuli, żeby załatwić zwierzę. Pocisk, który trafi w serce, daje mu masę czasu, żeby zanurkować na dno i przepaść. Nie strzelajcie krokodyla poniżej linii, gdzie ciemna barwa grzbietu styka się z żółtym odcieniem brzucha. Właśnie skórę z boków i z brzucha sprzedaje się kupcom. Nie ma sensu dziurawić czegoś, co ma wam przynieść dochód.

Jeśli podarujecie tubylcom pokrytą łuskami górną część skóry i mięso, za darmo oprawią wam gada. Jeśli mężczyznom z pewnych

plemion podarujecie serce krokodyla, nie tylko będą was kochali jak braci, ale sprezentują wam kilka kobiet o jędrnych pośladkach. Uważają, że spożywanie serca napęlnia ich odwagą.

Jeśli chcecie zdobyć skóry, strzelanie do krokodyli w wodzie to strata czasu. Gdy je zranicie, zanurkują. Gdy je zabijecie, utoną. Większe sztuki na ogół spędzają ciepłe dni wygrzewając się w słońcu nad brzegami rzek. Jeśli w potokach jest dużo pożywienia, nie będą wam wchodziły w drogę, ale ruszą ku wodzie w zadziwiająco szybkim tempie. Jednakże jeśli żywności jest mało i od jakiegoś czasu są głodne, zaatakują wszystko, co się da zjeść. Do tej kategorii zalicza się bawołu, lwa, nosorożca i człowieka. Głodny krokodyl często wyrusza na łowy. Widziałem, jak krokodyl chwytają cielę bawołu za nos sto jardów od wody i jak ciągnęły miotające się zwierzę ku zgubie. Afrykańskie lwy boją się jedynie człowieka i krokodyla. Lew, którego większa część głowy tkwi pomiędzy czternastostopowymi szczękami krokodyla, nie jest w stanie efektywnie walczyć.

Jednakże ulubionym sposobem krokodyli na zdobycie łupu jest leżeć w ukryciu pomiędzy roślinami wodnymi i szuwarami, czasami nosem dotykając brzegu. Gdy jakieś zwierzę opuszcza głowę, żeby się napić - trach!

Krokodyle zjadają więcej ludzi niż jakiegokolwiek inne zwierzęta afrykańskie. Co roku pożerają setki miejscowych dzieci. Czarna młodzież lubi bawić się w wodzie, podobnie jak dzieci białych, i ostrzeżenia o czyhającym niebezpieczeństwie odnoszą niewielki skutek. Wiele miejscowych kobiet ginie podczas prania ubrań nad rzeką albo w chwili czerpania wody. Krokodyle chwytają za rękę tych, którzy wiosłują; za nogę tych, którzy przepływają się w bród; za głowę tych, którzy piją wodę, nachyliwszy się nad brzegiem; pożerają też tych, którzy chodzą beztrąsko wzdłuż piaszczystych lub bagnistych brzegów.

To zrozumiałe, że krajowcy stają się żerem krokodyli, ponieważ obca jest im przezorność. Myślą jedynie o tym, co jest tu i teraz. Trudniej zrozumieć, dlaczego biali ludzie padają ofiarą krokodyli. Niestety, przeciętny biały w afrykańskiej dżicy jest nieostrożny, bezmyślny i nieroztropny ponad wszelką wiarę.

To właśnie biali giną śmiercią głodową, mimo że wokół mają jadalną korę, larwy, ślimaki, mrówki, liście, myszy i korzenie. To biali kładą się spać, zostawiając otwarte drzwi w kraju pełnym wygłodniałych lwów. To oni wiosłują po rzekach, w których roi się od krokodyli, siedząc z rękoma blisko wody, zamiast stojąc.

To biali wierzą bezgranicznie w zabójczą moc sztucera potężnego kalibru; to oni sądzą, że siła uderzenia pocisku gwarantuje śmiertelny strzał. To biali używają pocisków półpłaszczowych tam, gdzie powinni strzelać pełnym płaszczem, albo używają pełnego płaszcza, gdzie konieczny jest półpłaszcz. To biali ruszają w zarośla za zranionym zwierzęciem, zamiast poczekać, aż rany przyniosą skutek. To biali...

Na przykład ja. Zasnąłem na niskiej skale kilka stóp od gniazda krokodyli. Błąkałem się, zagubiony, całymi godzinami w odległości jednej mili od karawany. Kiedyś, gdy gonili mnie krajowcy, żeby zerzeć ze mnie skalp, natarłem sobie wierzch głowy i twarz miodem i ukucnąłem w rzece, a motyle tak gęsto zleciały się do słodyczy, że moi prześladowcy mnie nie wypatrzyli. Co w tym nierozważnego? Gdy wychodziłem na brzeg, do wody spieszyły właśnie trzy krokodyle, które chwilę wcześniej drzemały na brzegu.

Zbliżanie rąk do wody podczas podróży łodzią również może być niezdrowe. Pewnego dnia Bill, stojąc w naszej składanej łodzi, łowił ryby na linkę. Był niedaleko brzegu bagniska. Siedziałem w hamaku i patrzyłem, jak przechylony nad burtą, powoli podciągał i opuszczał haczyk z przynętą. Powietrze było przejrzyste. Powierzchnia trzęsawiska gładka jak szkło. Bill wciągnął do łodzi rzucającego się kłaczka, ponownie nałożył przynętę na haczyk i opuścił go za burtę. Mój wzrok przykuła zbliżająca się za nim fala w kształcie litery V - fala, która mogłaby powstać od dziobu malutkiej, szybko poruszającej się łodzi. Z początku patrzyłem beczynn timer, jak zbliża się prędko do Billa, ale gdy poniżej wierzchołka litery V dojrzałem długi, czarny kształt, zerwałem się na nogi. Strzeliłem, jednak kąt był za duży. Pocisk uderzył w wodę i poleciał ze świstem, chybiając celu.

Bill poderwał rękę w chwili, gdy ogromne, uzbrojone w kły szczęki zamknęły się w miejscu, gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdowała

się jego dłoń. Stał wyprostowany, z uniesionym wiosłem, jakby miał nim zamiar uderzyć. Krokodyl odwrócił się jak błyskawica i płaskim ogonem wyrzucił Billa z łodzi. Bill przeżył się, chlapał i brnął ku brzegowi. Rękoma dotykał już ziemi, kiedy krokodyl złapał go za nogę. Bill wrzasnął i natychmiast został wciągnięty z powrotem do wody.

Chwilę później na czworakach wygramolił się na brzeg. Przednie zęby krokodyla wbiły się w łydkę i wyrwały kawał mięsa. Wystrzeliłem cztery krótkie strzały w powietrze - nasz sygnał wzywający szybkiej pomocy - po czym zastosowałem prowizoryczny krępulec. Nadbiegli Ubusuku i di Giovanni. Włoch szybko przeprowadził jakiegoś zabiegi chirurgiczne i Bill wyzdrowiał, ale już zawsze kulął.

Życie erotyczne krokodyli jest dziwne. Parzeniu się towarzyszy odór, hałas i często następuje ono po zabiciu przez męża-zdobycę innego samca krokodyla. W okresie godowym samce staczają między sobą zacięte walki. Dwie bestie rzucają się na siebie, szczepiają się szczękami i wdają się w przerażający pojedynek, nurzając się i chlapiąc, aż jeden z nich ginie. Gdy tylko małżeństwo zostanie skonsurowane, samica odpływa z pogardliwym machnięciem ogona. Jeśli jej partner wie, co dla niego dobre, będzie się trzymał od niej z daleka, ponieważ miłość, która tak ją zniewoliła, szybko przeradza się w nienawiść i jeśli samica będzie miała sposobność, zabije go. Ona zaś zbyt późno uświadamia sobie, że jej partner chciał mieć potomstwo po to tylko, by je zjeść. Dla taty krokodyla nie ma większego przysmaku niż własne dzieci. Jeśli żona go nie upilnuje, potrafi on nawet otworzyć gniazdo i zjeść jaja.

Gdy samica krokodyla ma w brzuchu trzydzieści do czterdziestu jaj, buduje dla nich inkubator. W okolicach, gdzie noce są ciepłe, wykopuje w piasku dwustopowy dołek, składa w nim jaja i zasypuje go. Ciepło słońca i gorący wiatr utrzymują gniazdo w odpowiedniej temperaturze.

Tam gdzie noce są chłodne, składa jaja na czterocalowej warstwie ziemi zmieszanej z butwiejącymi roślinami. Taką samą mieszaniną przykrywa pierwszą partię jaj, a na wierzchu składa pozostałe. Następnie nad całym łęgiem gromadzi kolejną stertę ziemi i rozkładających się liści i traw - dokłada tego tyle, aż uzyska pagórek o wysokości trzech do czterech stóp.

Kiedy strzelałem okazy laboratoryjne dla doktora Watrousa, powiedział mi, że inkubatory krokodyli utrzymują wewnętrzną temperaturę około stu pięciu stopni Fahrenheita* w nocy i w dzień, niezależnie od pogody. Niektóre tubylcze szczepy wykluwają w podobnych kopcach kurze jaja - zastępując rośliny gnojem.

* Tj. ok. 40° C.

Krajowcy i niektórzy biali chętnie jedzą krokodyle jaja. Wykorzystuje się jedynie żółtko. Białko takiego jaja nie zawiera albuminy i nie ścina się podczas gotowania. Jaja krokodyli są też przysmakiem dużych waranów. Otwierają one gniazda, systematycznie wynoszą jaja po jednym i ukrywają pod krzakiem, aż ukradną wszystkie. Następnie obzerają się, aż ledwo się mogą ruszyć. Gdyby nie wysokie spożycie jaj przez ludzi i jaszczurki, krokodyle już dawno zawładnęłyby Afryką.

Gdy zbliża się czas wylęgu, samica odwiedza gniazdo i nastawia uszu, by wychwycić odgłosy szczekania i czkania. Jeśli je słyszy, usuwa ziemię - i oto one, zgraja paskudnych, kłapiących ostrymi zębami, żółtookich pysków, wystających ze skorup.

Te małe diabły już wykluwając się noszą mord w sercu. Tylko wystawiwszy głowę z jaja, ugryzą palec podsunęty zbyt blisko. Ich szczenięcy skowyt przyciąga samce: pływają przy brzegu, połykając ślinkę. Jednakże samica bezpiecznie zagania stadko na skraj wody i od tej chwili młodziaki trzymają się przybrzeżnych płycizn, gdzie stare samce nic im nie mogą zrobić.

Skorupa jest wyłożona błoną zbyt grubą, by można ją przebić przez nacisk, więc małym krokodylom rośnie na szczycie pyska „zab jajowy”. Tym zębem przecinają błonę i przebijają zewnętrzną skorupę. Niedługo po tym, jak młodziaki wejdą do wody, „zab jajowy” odpada.

Jajka mają długość zaledwie trzech cali, ale wychodzą z nich krokodylątka o długości dziesięciu cali. Ich ciała są ubarwione przeplatającymi się brązowymi i zielonymi pasami. Żółte oczy są rozszczipione. Część żółtka przez kilka dni przylega młodym do brzucha; jest to prawdopodobnie zapasowa żywność, której rzadko potrzebują, gdyż już po kilku minutach od wejścia do wody łapią ryby za ogony.

Krokodylowi niezbędne do życia jest ciepło. W ciepłych wodach krokodyle rosną dwanaście cali rocznie. Nawet największy krokodyl, jeśli wejdzie do wody o temperaturze poniżej czterdziestu sześciu stopni Fahrenheita*, traci sprężystość mięśni i tonie.

* Tj. ok. 8° C.

Większość dorosłych krokodyli żyje samotnie. Młode są towarzyskie i zbierają się w płytkich rozlewiskach rzecznych, wchodząc w główny nurt tylko na czas potrzebny, żeby złapać coś do jedzenia.

Gdy rzeki opadają z braku deszczu i ryb jest niewiele, wówczas wśród krokodyli nastaje głód; co większe stają się tak drapieżne, że skaczą, sięgając po nisko latające ptactwo wodne. Wynurzają się, podnoszą ogon, uderzają nim w wodę z gwałtownym plaśnięciem i w tej samej chwili podrywają przednią część ciała, jakby w chybotliwym skoku. Widziałem, jak łapały ptaki lecące na wysokości pięciu, sześciu stóp. Gdy krokodyle głodują, ptactwo szybko przestaje siadać na wodzie, więc dorosłe krokodyle udają się na płycizny i wyjadają wszystkie mniejsze krokodyle, jakie uda im się schwytać. Potrafią długo wytrzymać bez pożywienia, ale w końcu kiedyś muszą coś zjeść. To właśnie wtedy, przywiezione do ostateczności, pełzną na równiny i leżą jak kłody, aż jakieś zwierzę, jakiegokolwiek, podejdzie blisko. Chwytają je za nos, szarpiąc taszcą do rzeki i przytrzymują, aż utonie. Wielkie krokodyle nilowe są tak silne, że zdarzało się, iż w ten sposób ciągnęły nosorożce ważące tysiąc pięćset funtów. Jedy-
nym zwierzęciem, którego krokodyl nie zaatakuje, jest hipopotam. Jeśli krokodyl zbyt-
nio dokucza hipopotamowi, to ten po prostu roz-
gryza go na pół.

Deszcze nie nadchodziły do końca lutego. Woda w bagniskach miała głębokość poniżej jednej stopy, a rozlewiska stały się mętne i martwe. Zdesperowane z głodu krokodyle zapuszczały się w poszukiwaniu pożywienia coraz dalej na równiny, ale miały niewiele szczęścia, gdyż liczne do tej pory lwy, nosorożce, bawoły i antylopy zniknęły. To powinno być dla mnie znakiem, że zbliżają się kłopoty, ale jedynie lekko podnieciło mą ciekawość.

W końcu „kłopoty” nadeszły. Przerwały wyprawę po ptaki i kosztowały nas nasze woły. Potem niejednokrotnie doświadczałem podobnych sytuacji, ale nigdy nie doprowadziły mnie one niemal do paniki, jak wtedy, za pierwszym razem. Wciąż jeszcze mi się to czasami śni i budzę się zły potem.

Kłopoty spadły na nasz zaprzęg tuż po północy drugiego marca. Pojawiły się pod postacią krokodyli - całych setek. To, że strach, jaki towarzyszył mi podczas ich natarcia, był skutkiem mojej niewiedzy, wcale nie czyniło tego wydarzenia mniej przerażającym. A było tak:

Mieliśmy już wszystkie okazy ptaków, jakie można było zdobyć w tej okolicy, i planowaliśmy się przenieść na bagna Okawango w poszukiwaniu rzadkiego ptactwa wodnego, którego brakowało Awyangowi. Pudełka di Giovanniego z okazami zajęły tyle miejsca w wozie, że nie było gdzie umieścić skrzyń z prowiantem, namiotów i innego sprzętu. Potrzebny był nam jeszcze jeden wóz i z dziesięć lub dwanaście dodatkowych wołów, więc Awyang i Bumpo pojechali dwoma z naszych wołów do odległej o sześćdziesiąt mil Liborty, żeby kupić dodatkowe środki transportu.

Di Giovanni był bardzo chory i miał wysoką gorączkę. Bill utykał, poruszając się o prowizorycznej kuli. Ubusuku i ja poświęciliśmy kilka dni na czyszczenie i porządkowanie sprzętu, oliwienie kół wozów, sortowanie i układanie pudeł i puszek, żeby łatwo je było załadować.

Tej nocy nadeszły krokodyle. Ubusuku i Bill spali przy dogasających węglach swojego ogniska, z głowami zawiniętymi w koce. Ja też spałem, ale obudziłem się z dziwnym uczuciem lęku. Minęła chwila, nim zorientowałem się, że brakuje mi ryku lwów, docierających od czasu do czasu krzyków ich ofiar, pohukiwania zaniepokojonych strusi, szczekania zebr - wszelkich dźwięków afrykańskiej nocy na sawannie. Zdawało się, że ustały nawet świergoty, piski i szelesty owadów i myszy. Było to nienaturalne.

Poszedłem do namiotu di Giovanniego, zobaczyłem, że u niego wszystko w porządku, i wróciłem do swojego ogniska. Woły, nauczone spać za wozem, były rozbudzone, wierciły się nerwowo i stukały długimi rogami. Nagle zaczęły się cofać w stronę wozu z głowami zwróconymi ku rzece. Dorzuciłem drewna do ognia, wziąłem powella

dwunastkę i wsunąłem do kieszeni garść naboju wypełnionych śrutem - dwójką.

Wtedy poczułem piżmo - piżmo krokodyli. Cuchnęło. Można było wyczuć jego smak. Miałem wrażenie, że odrywa mi się od podniebienia, spływa w głąb gardła i wpada do żołądka. Niemal się zadławilem. Woły zwęszyły zapach i zaczęły hałasować. Nagle zadarły ogony, rozpędziły się i pognały w ciemność.

Ubusuku i Bill natychmiast zerwali się na nogi. Wciągnęli nosami powietrze i chwycili dzidy. Dobiegł nas dziwny szelest i chrobot - jakby odgłos pocierania metalu. Gdy drewno dorzucone do ognia zapłonęło jasno, wpatrywałem się intensywnie w czerń. Zdawało mi się, że jest tam jakiś ruch - ruch zbyt konkretny, zbyt długotrwały, żeby go przypisać skaczącym płomieniom.

Ubusuku, z maczugą w jednej ręce, z dzidą w drugiej, ruszył ku zasłonie ciemności. Ale uskoczył z powrotem, rzucając zuluskie przekleństwa, gdy wielki krokodyl o zimnozielonych oczach wypełznął powoli w krąg światła. Walnąłem mu z dwunastki w bok głowy. Gdy strzelałem, Bill wrzucił do ogniska wielkie naręcze drewna. Poleciały skry, a płomienie skoczyły wysoko, usuwając noc i odsłaniając masę uśmiechniętych krokodylich oczu, lśniących czerwonym, zielonym i pomarańczowym blaskiem. Widziałem je jedynie przez moment, zanim płomienie opadły, ale zdawało mi się, że intruzy ciągną się w nieskończoność w prawo i w lewo.

Zdążyłem sobie uświadomić, że jest to jedna z wielkich krokodylich migracji, o jakich słyszałem. Mówiono, że gdy górę brał instynkt skłaniający je do wędrówki, jedynie ogień mógł je powstrzymać.

W pierwszym odruchu chciałem uciekać. Ale di Giovanni leżał w gorączce. Bill ze swoją nogą nie przebiegłby nawet stu jardów. Następną myślą było, żeby wciągnąć di Giovanniego na samą górę załadowanego wozu i wraz z pozostałymi przycupnąć koło niego. Jednak pudełka z okazami były delikatne. Rozleciałyby się pod naszym ciężarem i zniszczylibyśmy pracę, której odtworzenie zabrałoby pewnie rok. Nigdzie w pobliżu nie było drzewa, które dałoby nam schronienie, a poza tym i tak nie moglibyśmy wsadzić di Giovanniego na drzewo.

W zapasie mieliśmy pięciogalonową puszkę benzyny i trzy lub cztery pięciogalonowe puszki nafty. Krzyknąłem do Ubusuku, żeby mi je przyniósł. Trudno ją było wygrzebać spomiędzy pudeł i zajęło mu to chwilę.

Krokodyle zbliżały się, ciągnąc swe brzuchy i ogony. Podąłem Billowi .303. Otworzyliśmy ogień, zabijając osiem czy dziewięć i raniąc kilka innych. Krokodyle będące z tyłu przelazły przez te, które trafiliśmy, prześlizgując się obok wijących się rannych, ale nie zatrzymując się ani nie zwalniając.

Trzy wielkie bestie wspięły się na palce, ruszyły ku nam krótkim szybkim krokiem, po czym spoczęły płasko na ziemi, otworzyły szeroko paszcze i zastygły w takiej pozycji.

Sięgnąłem do kieszeni po następne naboje. Była już pusta. Zabrałem Billowi .303 i strzeliłem po razie do dwóch rozwartych paszczy. Skierowałem sztucer w stronę trzeciego krokodyla. Magazynek był pusty. Ale krokodyle, do których przed chwilą strzeliłem, stanęły dęba i padły na grzbiet, machając łapami, jakby płynęły. Powoli gady znajdujące się za nimi popęzły do przodu, po tych zdychających.

Nasza strzelanina spowolniła ich pochód. Stwierdziłem, że krokodyle pęzły z szybkością dwóch mil na godzinę. Teraz niemal się zatrzymały, ale niezupełnie. Miałem wrażenie, że są oszołomione. Pojedyncze sztuki kręciły głowami na boki, postępowały nieco naprzód, ale zaraz się cofały.

Wtedy o tym nie wiedziałem, ale szły za intensywnym zapachem swych przywódców, a przywódcy zostali powstrzymani przez pociski. Ogień znów przygasł, a nieruchomy krokodyl z szeroko rozwartymi szczękami zamknął paszczę z głuchym kłapnięciem. Dwa z jego dolnych przednich zębów przeszły przez nos i wystawały przynajmniej cal ponad jego czubek. Wiele krokodyli ma takie zęby. Rosną zbyt długie i przebijają końcówkę nosa, wystając, gdy szczęki są zamknięte.

Krokodyl lekko otworzył paszczę, jakby się uśmiechał, i znów zaczął przesuwać się do przodu. Ubusuku krzyknął za mną i zobaczyłem di Giovanniego w koszuli nocnej, idącego chwiejnym krokiem. Ubusuku doskoczył do niego. Di Giovanni polecał głową naprzód i padł koło ogniska. Schyliłem się, żeby go podnieść, zobaczyłem, że stracił przytomność, i zostawiłem go na ziemi.

Do diabła z okazami - pomyślałem i zawołałem Ubusuku i Billa, żeby wsadzili di Giovanniego na szczyt załadowanego wozu. Było za późno. Pierwsze krokodyle doszły już do wozu i uparcie pełzły dalej.

Przez cały czas byłem ogarnięty czymś w rodzaju półpaniki. Zauważyłem teraz, że krokodyle rozdzieliły się na dwa skrzydła, obchodząc ogień z obydwu stron i łącząc się ponownie w jeden front, gdy znalazły się poza falą gorąca. To pozostawiło nam okrągłą enklawę o średnicy około osiemdziesięciu stóp, z ogniskiem w środku.

Jednakże Ubusuku i Bill znajdowali się poza jednym ze skrzydeł tej nawały. Ubusuku mógł sam przeskoczyć przez ociążałe gady, ale podniósł Billa i trzymając go w ramionach, jakby to było dziecko, przebiegi po grzbietach krokodyli jak po stopniach. Po trzech susach postawił Billa bezpiecznie w kręgu ognia. Krokodyle, na które nadepnął, nawet nie jęknęły.

Teraz, gdy miałem chwilę na zastanowienie, poczułem się jak głupiec. Miałem pomysł, żeby polać krokodyle benzyną i podpalić je, ale właśnie zdałem sobie sprawę, że taki pomysł mógł się zrodzić jedynie w głowie przerażonego idioty. Po pierwsze nie wiadomo, jak by się zachowały krokodyle. Gdyby ruszyły żwawo, mogłyby równie dobrze przenieść ogień na wozy, namioty i sprzęt. Poza tym sawanna była sucha jak hubka i wszyscy mogliśmy się ugotować wśród płonącej trawy.

Stałem i patrzyłem, jak krokodyle nas mijają, powtarzając w myślach, co zwykł był mawiać stary Nicobar Jones: - Pech nie istnieje. Istnieje jedynie niewiedza.

Cóż, byłem wtedy jeszcze młody.

Dorzuciłem drewna do ognia. Gdy płomienie się poderwały, kilka krokodyli uniosło się na palcach, wykonały ten krótki, dziwny bieg do przodu, opadły na ziemię i pozostały w absolutnym bezruchu, z otwartymi szczękami i lśniącościami oczami. Gdy ogień przygasł, ponownie przyłączyły się do pochodu.

Przeszło obok nas chyba ze czterysta lub z pięćset krokodyli. Ani się nas nie bały, ani nam nie zagrażały. Po prostu pełzły przed siebie na brzuchach, ciągnąc za sobą ogony. Teraz wiem, że mogliśmy siedzieć pośród nich i w ogóle nie zwróciłyby na nas uwagi. Miały w

głowach jedną myśl - dotrzeć przed świtem do głównego koryta Nengo.

Gdy przeszedł ostatni z nich, powiedziałem do Ubusuku: - Wszystkie te krokodyle są przynajmniej na wpół dorosłe. Zastanawiam się, gdzie są młode.

- W płytkich rozlewiskach jest pełno jedzenia dla młodych krokodyli.

- Gdybyśmy zostawili je w spokoju, nie byłoby kłopotów - stwierdziłem.

- Jak hiena coś zwietrzy, o *Baas*, to ucieka, sądząc, że gonią ją lwy.

Nic mu nie odpowiedziałem.

Gdy Awyang i Bumpo wrócili z nowym wozem i wołami, podzieliliśmy zwierzęta na dwa zaprzęgi po osiem wołów każdy i ruszyliśmy do Bulawajo.

Jeszcze o lwach

Doskonale wiem, co się stało z dwudziestu trzema ludźmi, którzy mieli tragiczne spotkania z lwami afrykańskimi. Ośmiu z nich było strasznie poturbowanych. Sześciu leży pochowanych na cmentarzu w Nairobi. Groby pozostałych dziewięciu są porzucane daleko pośród fioletowych i srebrnych pustkowi Afryki.

Każdy z tych ludzi został ranny lub zginął z własnej winy, ponieważ był nieprzygotowany lub nieostrożny, lub lekkomyślny, albo kiepsko strzelał, lub był rozhisteryzowany, albo poległ na niosącym zapasową broń tubylcu. To jest sześć śmiertelnych wad podczas polowania na lwy. Może najlepiej je wyjaśnić analizując z osobna kilka z tych dwudziestu trzech tragedii.

George Grey był potomkiem angielskiej rodziny szlacheckiej. Posiadał wszystkie z owych sześciu wad. Wybrał się na lwy z sir Alfredem Pease'em, jednym z najbardziej rozreklamowanych myśliwych afrykańskich. W grupie było jeszcze sześciu innych ludzi. Wszyscy jechali konno. Koń to powolne zwierzę w porównaniu z lwem. Pease przestrzegł członków grupy, żeby nie zbliżali się do lwa na mniej niż dwieście jardów. Ale Greya zbyt rozpięła entuzjazm. Pojechał za grzywiastym samcem, który biegł spokojnym truchtem, pilnując swych własnych spraw.

Lew nie zwracał uwagi na tętent kopyt z tyłu, dopóki Grey nie zbliżył się do niego na dziewięćdziesiąt jardów, kiedy to zwierzę odwrócił się i bez ostrzeżenia zaatakował. Dziewięćdziesiąt jardów!

Lwy potrafią pokonać sto jardów, zaczynając z miejsca, w zaledwie *cztery sekundy* i wiem, co mówię. Mierzyłem im czas. Martin Johnson, który wykonał lwom więcej zdjęć niż jakikolwiek inny fotograf dzikich zwierząt, twierdzi, że z rozbiegu lew potrafi pokonać sto jardów w *trzy sekundy*.

Lew Greya szedł na niego z szybkością dwudziestu pięciu jardów na sekundę. Pokonywał dzielący ich dystans czterdziestopięciostopowymi susami. Dziewięćdziesiąt jardów - dwieście siedemdziesiąt stóp - sześć susów! Grey zeskoczył z konia i oddał pierwszy strzał z dwudziestu pięciu jardów. Drugi raz strzelił z pięciu jardów. Pomyślcie tylko. Mniej niż cztery piąte sekundy pomiędzy strzałami. Oznacza to, że strzelał z ekspresu dużego kalibru. Znaczy to również, że drugi strzał był strzałem na oślep, bo nikt nie potrafi się tak szybko zebrać po szarpnięciu i strzelić po raz drugi, *mierząc dokładnie*.

Obydwa strzały trafiły lwa, ale go nie położyły. Jedną piątą sekundy po ostatnim strzale Greya drapieżnik rozdierał go kłami i pazurami. Minutę później trzej towarzysze Greya podjechali galopem i każdy z nich wsadził zwierzęciu pocisk z dziesięciu jardów. Byli na tyle blisko, że z powodzeniem mogli strzelać w łeb, ale ponieważ wierzyli w „terapię szokową”, wpakowali lwu kule w trzewia. Zamiast go osłabić, strzały te jeszcze spotęgowały jego złość i zaczął niemilosierdzie tarmosić Greya. Pease przybył w pośpiechu, zsiadł z konia, przyłożył łufę sztucera do boku głowy lwa i zabił go.

Tragedia miała niewinny początek. Lew biegł przed siebie spokojnym truchtem. Każdy, kto potrafi strzelać, mógłby okaleczyć, a nawet zabić zwierzę strzałem od tyłu. Strzał od tyłu to jeden z najlepszych strzałów. Często przebija jelita, wątrobę, nerki, płuca i czasami sięga serca. Jeśli jest nieco niecelny i trafia w zadnią łapę, unieruchamia lwa. To prawda, że lwy przez jakiś czas mogą się poruszać na trzech łapach, ale po ich błyskawicznej prędkości nie pozostaje żaden ślad. Gdy się trafi lwa w tylną łapę, zwierz może się odwrócić w stronę napastnika lub ruszyć w stronę zarośli; ale nie usiłuje atakować, o ile myśliwy nie zbliży się na odległość skoku.

Jeśli odwróci się w stronę myśliwego, ustawi się idealnie do strzału na komorę. Należy mierzyć cal lub dwa poniżej nasady gardła.

Serce jest umieszczone nisko w klatce piersiowej. Oczywiście można strzelać w łeb, ale pewnie łeb przyda wam się jako trofeum, więc szkoda go niszczyć. Zresztą strzał w łeb dla niewprawnego strzelca jest dość niebezpieczny. Sporo ludzi zginęło, ponieważ sądzili, że pod tą wielką grzywą kryje się czaszka. To nieprawda. U lwa czaszka wystaje niewiele ponad oczy.

Grey i jego towarzysze nie mogliby uczynić więcej błędów, nawet gdyby zwołali w tym celu konferencję. A Grey mógłby dzisiaj żyć, gdyby jego koledzy nie wpakowali w lwa tych trzech niepotrzebnych pocisków. Do tego momentu lew gryzł rękę i ramię Greya. Możliwe, że nie miał zamiaru go więcej tarmosić, jako że lwi gniew szybko wygasa, gdy ofiara już leży. Nawet kiedy dwa lwy ścierają się ze sobą w burzliwej walce o samicę, gniew zwycięzcy mija natychmiast, jak tylko przeciwnik dostanie cięgi.

Jednakże te trzy strzały na miękkie zagwarantowały Greyowi śmierć. Zastanawiam się, ilu ludzi musi zginąć, zanim myśliwi amatorzy przekonają się, że *nie można zabić lwa samą energią uderzenia pocisku*. I zastanawiam się ilu ludzi musi zginąć, zanim myśliwi nauczą się anatomii zwierząt, na które polują; a przynajmniej przyswoją sobie ułożenie serca i mózgu.

Niedawno siedziałem przy ognisku z pięcioma myśliwymi polującymi na jelenie w Kalifornii. Rozmawiali na temat strzałów w serce. Słuchałem przez chwilę, po czym spytałem: - A gdzie jelen ma serce? - Wszyscy udzielili mi odpowiedzi i wszyscy się mylili. Każdy z nich umiejscawiał serce zbyt wysoko. Serce jelenia leży w niższej części piersi, przynajmniej o szerokość dłoni od przedniego badyła. Serce większości innych zwierząt jest położone w tej samej okolicy.

Grey nie potrafił strzelić celnie. Oddał pierwszy strzał, gdy atakujące zwierzę znajdowało się w odległości dwudziestu pięciu jardów. Oznacza to, że lew był wówczas w połowie swego przedostatniego susa. Nikt, kto nie umie wcelować pociskiem w pierś lwa z odległości dwudziestu pięciu jardów, nie powinien polować na grubego zwierza. Pierwszy pocisk Greya przeszedł przez mięsistą część łopatki lwa, poszedł dalej i wydarł paskudną bruzdę wzdłuż boku zwierzęcia.

Drugi strzał, z pięciu jardów, dosięgnął bestii, gdy odchyliła się wysoko podczas ostatniego skoku. Pocisk wszedł do żołądka, tuż za mostkiem.

Gdyby Grey oddał swój pierwszy strzał z dziewięćdziesięciu jardów, a drugi z sześćdziesięciu i odniosłyby one taki sam skutek, Grey i tak by zginął. Ponieważ popełnił jeszcze jeden błąd. Ruszył za lwem z ekspresem, a bez drugiej sztuki broni przygotowanej na wszelki wypadek. O ile nie jesteście mistrzem sztucera, jeśli macie zamiar strzelić lwa, potrzeba wam co najmniej pięciu pocisków. Jedynie kilku starych zawodowców niezmiennie zabija lwa pierwszym strzałem. Przeciętny amator potrzebuje czterech strzałów, zanim uda mu się oddać taki, który położy lwa. I jeśli jest rozsądny, dla pewności ma za sobą ubezpieczającego go innego myśliwego.

Osobiście lubię magazynki dziesięciostrzałowe. To jeden z powodów, dla których wolę wojskowego lee-enfielda .303. Dziesięć naboji w magazynku i jeden w komorze. Jedenaście strzałów. I były sytuacje, kiedy wszystkie mi się przydały.

To prawda, że ekspres jest najszybciej strzelającą bronią, jaka została stworzona - na dwa strzały. Ale zanim chwycicie za drugą broń (o ile nosiciel broni jeszcze koło was będzie) i oddacie dwa kolejne strzały, to w sumie wasze cztery strzały będą wolniejsze niż te same cztery oddane ze sztucera.

Jak szybko można strzelać z broni repetowanej ręcznie i trafiać celnie? Startowałem w paru afrykańskich mistrzostwach na szybkość strzału. Moim najlepszym wynikiem było jedenaście dziesiątek z dwustu jardów w trzydzieści sześć sekund. Strzelałem z lee-enfielda .303 i repetowałem broń bez odrywania kolby od ramienia. Używałem szerokiego celownika w kształcie litery V.

Podczas strzelania do niebezpiecznych zwierząt nie ma miejsca na celowniki teleskopowe (small-peep, narrow, buck-horn). Nigdy nie mogłem zrozumieć, po co komuś teleskopowy celownik, o ile nie ma słabego wzroku. W każdym razie takie urządzenia celownicze zaplątują się w trawę, korzonki, pędy, we wszystko, co się ociera o lufę. Nie mam nic przeciwko tym celownikom do strzelania małych zwierząt na otwartym terenie. Duży celownik peep jest niezły. Przez mały niewyraźnie widać.

Znałem najlepszych strzelców w Afryce. Polując na lwy, niemal bez wyjątku używali szerokiego celownika w kształcie V. Celowanie przy użyciu szerokiego V jest równie naturalne, jak wskazanie palcem. Po prostu należy zobaczyć, czy koniec muszki nachodzi równo na szczerbinę, żeby V zamieniło się w idealne W. Przechylenie lufy jest niepożądane, a korzystając z szerokiego celownika w kształcie V, człowiek po prostu nie jest w stanie nieświadomie przechylić lufy.

Najważniejsze jest naciskanie spustu. Naciąg spustu powinien być dostosowany do użytkownika. Do zwierząt lubię strzelać z naciągu o sile trzech funtów. Niektórzy zawodowcy lubią naciąg pięciofuntowy. Dla lekkiego sztucera to za dużo. Przyspiesznik nie ułatwia strzelania i można przez niego kogoś zabić.

Możliwe, że Grey czekał do ostatnich susów lwa, ponieważ myślał, że on tylko udaje atak. Cztery razy na pięć szarża lwa to bluff. Nie jest naprawdę rozdrażniony, tylko usiłuje was odpędzić. Ataki lwów bywają różne. Gdy lew nie żartuje, sady co sił w nogach. Rozwija maksymalną prędkość, na jaką go stać. Jeśli ma was jedynie zamiar nastraszyć, nadbiega wolniej - z szybkością około stu jardów na dziesięć sekund.

Powiedzmy, że waszym zdaniem lew blefuje i nie chcecie go zabić. Najlepiej zrobicie stojąc nieruchomo, aż zwierzę znajdzie się w odległości dwudziestu pięciu jardów od was. Jeśli blefuje, to właśnie wtedy się zatrzyma i odwróci do was ogonem. Jeśli się nie zatrzyma, poślijcie mu kulę. O ile sądzicie, że blefuje, ale nie macie zamiaru tak długo czekać, żeby się co do tego upewnić, a w pobliżu jest jakiś krzak, schowajcie się za nim. Gdy zejdziecie lwu z oczu, prawdopodobnie go to zadowoli i zapomni o was.

W żadnym przypadku *nie rozmawiajcie*. W głosie ludzkim jest coś, co rodzi wściekłość w sercach niektórych lwów. Możecie stać i obserwować spokojną rodzinę leżącą pod drzewem. Lwy widzą was, ale poza tym, że raz po raz któryś uniesie wargę, ignorują. Powiecie coś, a już jeden z nich zrywa się, napręża ogon i rusza do ataku. Wśród problemów zawodowych myśliwych jest też ten, jak powstrzymać klientów przed odzywaniem się w nieodpowiednich momentach. Niekiedy lew, który się zatrzymał i wpatruje się w myśliwego, zostaje

sprowokowany do dalszego ataku, bo ktoś zaczyna mówić. Co się tyczy krzyczenia na te zwierzęta - cóż, opowiem wam o Orlandzie.

Orlando był Amerykaninem portugalskiego pochodzenia. Zabrałem go do Beczuany*, na bagna Okawango, na polowanie na grubego zwierza. Przy okazji, gdybyście chcieli oszczędzić nieco pieniędzy, polujcie w Beczuanie. Możecie strzelać tu wszystkie zwierzęta oprócz słoni za ogólną kwotę sześciuset dolarów - wliczając zezwolenia i inne wydatki - i nie ma ograniczeń w odstrzale lwów i lampartów.

* Beczuana - dziś Botswana.

Orlando był niskim, ciemnym mężczyzną, który lubił się przechwalać. Szczęka wystawała mu jak skała. Lubił opowiadać o walkach na pięści, jakie stoczył, i zawsze kończył swe historyjki słowami: „Więc mu przywaliłem”. Dobrze sobie dawał radę z nosorożcem i z bawołu, ale na widok pierwszego lwa rzucił w niego sztucerem. Zwierzę znajdowało się co najmniej w odległości stu pięćdziesięciu jardów.

- Co się stało? - spytałem. - Wąż cię ukąsił?

Patrzył na mnie przez chwilę, odwrócił się, żeby spojrzeć na lwa, zobaczył, że zwierzę idzie powoli w naszą stronę, po czym złapał mnie z tyłu za ręce i zaczął pchać. Wyszarpnąłem się. Zaczął krzyczeć.

Lew, który - jak sądzę - do tej pory nas nie widział, zatrzymał się, trzy lub cztery razy uniosł ogon pionowo w górę i ruszył na nas. Gdy podniosłem sztucer, Orlando znów mnie złapał i zaczął mną potrząsać. Tym razem to *ja jemu* przywaliłem.

Lew zbliżył się na jakieś pięćdziesiąt jardów, po czym zmienił kierunek i pogalopował w stronę zarośli. Odpuściłem go. Orlando podniósł się, nieco zamoczony, ale zdrowy.

- Kiedyś - powiedział - gdy byłem dzieckiem, kot mnie zadrapał i dostałem ataku hysterii, tak jak teraz. Od tamtej pory nawet kociak mnie przeraża.

- Możesz się z tego wyleczyć - odparłem. - Po prostu staw czoło następnemu lwu. A jeszcze lepiej chodźmy i strzelmy właśnie tego.

Potrząsnął głową przecząco. - Odwieź mnie do Bulawajo.

Tak więc wróciliśmy do Bulawajo.

Widziałem kilka osób, które odczuwały nieuzasadniony strach przed pewnymi zwierzętami. Niektórzy z tych ludzi zachowywali się równie histerycznie jak Orlando. Większość z nich wyleczyła się, przy najbliższej okazji stawiając czoło swemu *bête noire**. Trzeba mieć do tego nie lada odwagę.

* *Bête noire* - (franc.) obiekt antypatii, dosł.: „czarne zwierzę”.

Nigdy nie należy uciekać przed atakującym lwem. Jeśli przed lwem stoją dwaj ludzie i jeden z nich zacznie biec, zwierzę rzuci się za nim, mijając obojętnie człowieka, który stoi bez ruchu. Cztery osoby ze wspomnianych dwudziestu trzech zginęły uciekając przed atakującym lwem. Jeden z tej czwórki, Irlandczyk o nazwisku Wisdom, widział, jak jego lew dopadł samca żyrafy. Wiedział, że żyrafa potrafi przebiec sto jardów w pięć sekund. Wiedział również, że lew dopadł tego byka żyrafy w sześć czy siedem susów. Jednak pod wpływem stresu Wisdom zaczął uciekać. Oczywiście nie miał szans. Jego towarzysz, który wytrzymał i się nie ruszył, strzelił tego lwa, ale wcześniej zdążył on jednym machnięciem łapy złamać Wisdomowi kark.

Wróćmy jednak do Greya. W oczywisty sposób jego problemy były skutkiem faktu, że nie potrafił celnie strzelać. Nie wpadł w panikę. Gdyby spanikował, nie czekałby, aż lew znajdzie się na dwa skoki przed nim. Musiał sobie zdawać sprawę, że nie strzela zbyt celnie, bo inaczej po co by mu był sztucer dużego kalibru? Popęnił smutny błąd, sądząc, że siła uderzenia pocisku zabije lwa. Powtarzam: *nie jest tak*. Podobnie jak w przypadku bawołu.

Tragiczne spotkanie Greya z lwem miało miejsce na otwartej równinie. Trawa była niewysoka, mógł więc strzelać praktycznie na każdą odległość. Gdyby trawa była wysoka, lew przed atakiem podszedłby go na piętnaście lub dwadzieścia jardów. Wtedy, rzecz jasna, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. W trawie sięgającej ramion na lwa może polować jedynie człowiek, który ma zamiary samobójcze albo który jest kompletnym durniem. Dwóch z dwudziestu trzech popełniło ten błąd.

Tych dwóch to byli Anglicy, o jakich często się czyta, ale rzadko się ich spotyka. Ich nazwiska brzmiały St. Léger i Meagher, co należało

wymawiać „Silindzer” i „Mer”. Byli to elegancy starsi panowie, którzy nosili płócienne sztylpy, zielone bryczesy i plisowane kurtki myśliwskie; palili duże fajki o zagiętych cybuchach i pili whisky wielkimi haustami, które określali jako „łyczki”.

Najmniejsza broń, jaką mieli, to .450 Powell. Poza tym każdy z nich miał .510 Rigby i ekspres .600. Sześciu nosiciele broni targało sztucery w zielonych płóciennych pokrowcach.

St. Léger i Meagher nie chcieli strzelać do zwierząt, które stały nieruchomo. - To niesportowo, wie pan. Trzeba je kłaść w ruchu.

Gdy stwierdziłem, iż uważam za bardziej sportowe mieć pewność, że się zabije zwierzę, a nie rani, St. Léger odparł:

- Szybko je załatwimy. To broń na słonie, wie pan. Nie powinniśmy strzelać do nieruchomych zwierząt. To tak, jakby strzelać do nieruchomych zajęcy, prawda?

Zostałem umówiony i spotkałem się z tymi starymi dziwakami w ich obozowisku w pobliżu Maun, na skraju bagien Okavango. Działo się to w 1938 roku. Cóż to było za obozowisko! Ustawili cztery wielkie, podwójne namioty z zielonego płótna. Mieli leżaki. Mieli etażerki na książki. W każdym namiocie były dwa stoły, lampy z kloszami, skrzynki z whisky i z dżinem. Kuchnia mieściła się pod specjalnym namiotem, zaopatrzonym w konserwy wszelkiego rodzaju. Pod zielonymi plandekami stały zaparkowane dwie furgonetki, szewrolety, i ford z platformą.

Powitali mnie ze śmiertelną powagą, nalali mi whisky z wodą sodową, uczynili kilka uwag na temat pogody i popadli w nerwowe milczenie. Przez chwilę pykali fajki, po czym Meagher odezwał się, wskazując cybuchem obozowisko:

- Takie coś to nie dla nas, wie pan.

St. Léger przytaknął. - Chcemy czegoś bardziej surowego - powiedział. - Bez tych wstrętnych udogodnień. To nie jest polowanie. To nie Afryka. To głupie strzelać w ten sposób.

Roześmiałem się. Wyglądali tak poważnie.

Odrzekłem: - Mnie też coś takiego się nie podoba. Co by panowie powiedzieli, gdybyśmy wzięli wóz z wołami i pochodzili trochę po sawannie na piechotę?

Zdawało się, że kamień spadł im z serca. Rozpromienili się.

- I będziemy spali na ziemi, tak? - spytał Meagher.
- I będziemy jedli to, co zdobędziemy - dorzucił St. Léger.
- Dlaczego nie? - powiedziałem. - Jest *polowanie i polowanie*. W dzisiejszych czasach za często się strzela siedząc w bujanym fotelu. - Ogarniając ruchem ręki luksus obozowiska, dodałem: - Ktoś wam sprzedał masę ekwipunku.

- Ha! Idealnie pan to określił - powiedział Meagher. - Wyposażył nas taki elokwentny spryciarz z Pretorii. Nie przestawał gadać, więc kupiliśmy wszystko. Tak najłatwiej, wie pan.

- Cóż - odrzekłem - skoczę jutro do Maun i wybiorę wóz. Jest zbyt mokro, żeby pójść na bagna. Właśnie skończyła się pora deszczowa. Ruszymy w stronę Daki, przez trawy, zarośla i piaszczysty teren. Ilu macie ludzi?

- Dwudziestu ośmiu.

- Dwudziestu czterech zostawimy tutaj. Sprowadzę z Maun białego, żeby przypilnował obozowiska.

- Mamy tu zostawić nosicieli broni?

- Tak. I zostawcie też całą broń poza dwiema .450.

Przyjęli to jak prawdziwi dżentelmeni.

Meagher wyjął z kredensu trzy szklanki. Napełnił je po brzeg Haig & Haigiem i rozdał. - No to - powiedział, wypijając pół szklanki - zdrówko.

Załadowaliśmy wóz masą koców, kukurydzy, soli, cukru, mleka, alkoholu, lamp naftowych, garnków i kempingowymi gratami. Wybrałem kucharza Bantu, chłopca obozowego, poganiacza wołów i *voorlooper*a, który miał poprowadzić zaprzęg. Miałem własnych tropicieli: Zulusa Ubusuku oraz drugiego Bantu o imieniu Jantje. O świcie trzeciego dnia po moim przybyciu ruszyliśmy na północny wschód. St. Léger i Meagher kroczyli z powagą obok wozu. Myśleli, że się nie poznam, ale ja wiedziałem, że są podekscytowani jak harcerze na pierwszym w życiu biwaku.

Bardzo polubiłem tych starych nicponi. Wóz pokonywał około dwudziestu mil dziennie, ale my trzej wraz z tropicielami przemierzaliśmy sawannę we wszystkie strony, czasami robiąc trzydzieści mil, zanim nocą docieraliśmy do zaprzęgu.

Ku memu zaskoczeniu potrafili strzelać. Sumienni, wytrwali, poważni. Pierwszego ranka rzucili monetą, żeby wylosować, który strzeli

pierwszy do pierwszego zwierzęcia. Od tej chwili zmieniali się, a ten, który nie strzelał, sprawował funkcję myśliwego ubezpieczającego.

Przez pięć dni wędrowaliśmy przez zwierzęcy raj. Nie było tam niezmiernych stad jak w Afryce Wschodniej, ale mniejsze, bardziej podniecające stadka oryksów, bawolców, szpringboków, zebra, ridboków i dujkerów. Raz lub dwa razy dziennie widzieliśmy strusie; a piątego dnia, u wylotu jaru, znaleźliśmy odchody lwa. To wystarczyło. Stare nicponie dostały lwiej gorączki i od tej chwili nic innego ich nie zadowalało. Założyliśmy tam obóz wyjściowy.

Minęły niemal dwa tygodnie, nim strzeliliśmy lwa. Przez ten czas zobowiązałem St. Legera i Meaghera do dostarczania mięsa dla obozowiska.

Ci dwaj pełni zapału myśliwi długo przed świtem zwijali swe koce, układali je schludnie na łózkach w wozie i pomiędzy łykami herbaty z wielkich, niebieskich, emaliowanych kubków czyścili z luf sztucerów smar, który nazbierał się tam przez noc.

Uczyłem ich trochę tropienia; byli zafascynowani, ile można się dowiedzieć ze śladów. Tropienie nie jest trudną sztuką, jeśli ktoś się przykłada do nauki. Bywałem świadkiem, jak nowicjusz po kilku miesiącach dorównywał przeciętnemu miejscowemu tropicielowi.

Podczas gdy Ubusuku, Jantje i ja staliśmy przy ogniu, St. Léger i Meagher krążyli wokół obozowiska w świetle poprzedzającym świt, szukając w mokrej trawie ciemnych, suchych tropów zwierząt. W poszukiwaniu odchodów, najlepszej wizytówki zwierząt, chodzili na czworakach. Robili zapiski tego rodzaju:

„*Odchody szpringboka* - kształtem i rozmiarem przypominają pociski .500.

Ridbok - czasami jak małe orzechy włoskie, czasami jak pociski .600.

Buszbok - na ogół podłużna rzecz przypominająca wafel, ale czasami wafel jest pokruszony”.

Tego dnia gdy znaleźliśmy pierwsze odchody lwów, dokonali następującego zapisu:

„*Lew* - wygląda jak włochaty migdał wielkości cytryny”.

Jest to dobry opis dla kogoś, kto widział różne odchody, ale dla nikogo więcej.

Nauczyłem ich wypatrywać oskubanej i połamanej trawy, upuszczonych kęsów; sprawdzać wilgotność odcisków racic; zwracać uwagę na to, czy odciski rozszczepionych kopyt antylopy są rozstawione szeroko, co wskazuje na bieg, czy też nie; ponadto mieć otwarte oczy na setki innych znaków, które zamieniają sawannę w czytelną księgę - o ile ktoś się nauczy czytać. Czynili szybkie postępy, przede wszystkim dlatego, że ze szczerym zainteresowaniem koncentrowali się na nauce.

Pewnego ranka Jantje chrząknął i wskazał przed siebie na kępę trzech kolczastych akacji. Lew z żółtą grzywą właśnie wstał i przeciągał się ospale, z paszczą rozwartą w szerokim ziewnięciu. Wiatr wiał w naszą stronę, więc powiedziałem do St. Legera i Meaghera:

- Nieźle trofeum. Jakies sto pięćdziesiąt jardów. Jeden z was go weźmie.

Wyglądali, jakby ich coś bolało. - Tak się nie da, chłopie. Przecież on stoi spokojnie.

- Psiakrew - powiedziałem - to idźcie do niego, a gdy zaatakuje, strzelajcie szybko i pewnie.

Ruszyli ramię w ramię z .450 przy brzuchach. Lew spojrzął na nich bez zainteresowania i znów się położył. Ale nie samica, która kryła się w cieniu drugiego drzewa. Rzuciła się szybko, skacząc nisko, bezdźwięcznie.

Miałem ją na muszce - na wszelki wypadek. Ale St. Léger strzelił z przykłęku. Wielka lwica wykonała salto, kilka razy pacnęła ogonem i legła bez ruchu. Samiec podniósł się i zniknął za trzecim drzewem. Na kilka minut straciłem go z oczu. Po czym zobaczyłem, jak ucieka w kierunku odległych o pół mili zarośli.

Lwica leżała nieruchomo. St. Léger i Meagher popatrzyli na mnie. - Podejdźcie bliżej i wsadźcie w nią jeszcze jedną kulę - powiedziałem. - Nigdy nie wiadomo.

Drugi strzał nie był potrzebny. Strzał St. Legera był jednym z najlepszych, jakie widziałem. Nisko w pierś, przebił płuca, serce, żołądek i wątrobę. Staruszek stał obok martwej sztuki, z przesadnym spokojem gładząc się po wąsie, ale zauważyłem, że drżały mu palce.

Meagher nabił i zapalił fajkę. Pyknął kilka razy i powiedział: - Niezła robota, stary Asie.

Nigdy wcześniej nie słyszałem przydomka St. Legera. Widać było, że mimo opanowania, Meagher też jest mocno poruszony. To byli dwaj zdyscyplinowani starzy blagierzy, skromni jak uczniacy.

Meagher strzelił lwa jakiś tydzień później. Samca z kusą grzywą. Stwierdził ponuro, że będzie musiał kupić perukę, zanim zawiesi ten łeb w swoim gabinecie. Położył zwierzę ładnym strzałem w pierś przez łopatkę.

Do tej pory ci dwaj goście, którzy w chwili, gdy ich poznałem, mieli nadwagę i kiepską kondycję, stali się szczupli i prężni. Przez następne dwa tygodnie włóczyli się po sawannie, strzelając zwierzęta to tu, to tam. Zanim dni stały się piekielnie gorące, a trawa urosła wysoko i zbrązowiła, mieli na rozkładzie jednego szpringboka, jednego ridboka, dwa bawoły, jedno małe kudu, dwie zebry i te dwa lwy.

Pewnego ranka na miękkim podłożu przy wodopoju byk kudu zostawił czysty, głęboki ślad kopyta. Od końca do końca mierzył niemal sześć cali, co najmniej jedną trzecią więcej niż którykolwiek trop kudu z tych, jakie do tej pory widziałem. Nawet ja się rozochociłem. To mógł być rekordowy byk, z sześćdziesięciosiedmiocalowym porożem, gdy je zmierzyć po prostej. Stwierdziłem, że przy takim kopycie może ważyć ponad pięćset funtów. Jego świeży trop był dobrze widoczny w trawie. Pozwoliłem St. Legerowi i Meagherowi prowadzić. Ruszyli jak setery.

Byk przemieszczał się z wiatrem. Tymczasem trawa zmieniła się z sięgającej kolan na sięgającą bioder, aż w końcu dorastała nam do ramion. Lwy mogły być tutaj niebezpieczne, ale stwierdziłem, że kudu nie poruszałoby się tak beztrąsko, gdyby w pobliżu znajdowały się któreś z wielkich kotów. Jednak byłem niespokojny.

Nagle nie wiadomo skąd rozległ się przeraźliwy ryk i lew z krwią kapiącą z pyska skoczył na St. Legera. Po raz pierwszy od lat usłyszałem prawdziwy ryk lwa. St. Léger rzucił się w bok i wściekły lew miął go o kilka cali. Strzeliłem z biodra. Broń Meagera huknęła mi tak blisko ucha, że przez chwilę wydawało mi się, że dostałem. Lew zniknął w wysokiej, ostrej trawie.

St. Legerowi nic się nie stało, ale po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą. Powtarzał bez przerwy: - Na Jowisza! Och, na Jowisza!

- Jakieś trzydzieści stóp dalej znaleźliśmy wytarmoszone przez lwa ciało byka kudu. Miał takie poroże, jakie sobie wyobrażaliśmy. Nie żył dopiero od kilku minut. Z okropnych ran wciąż sączyła się krew.

Wróciłem do miejsca, w którym strzelaliśmy do naszego kota. Obydwa strzały były zdecydowanie trafne, gdyż zobaczyłem pienistą plamę krwi, wskazującą na przebicie płuc, a obok drugą kałużę, o normalnym czerwonym kolorze. Powiedziałem:

- Podczas gdy Jantje oprawi kudu, ochłoniemy trochę i poczekamy, aż lew się wykrwawi. Wtedy ruszymy do niego z Ubusuku.

- To nasze zadanie - odrzekł St. Léger.

Uśmiechnąłem się. - Zabiły was. Ubusuku zakradnie się na brzuchu. Potrafi się czołgać bezszelestnie. Ja pójdę po tropie lwa. Będę mógł ocenić po krwi, jak szybko traci siły. Nie, wy zostańcie tutaj i pomóżcie Jantjemu przy kudu.

- To nasze zadanie - powtórzył uparcie St. Léger.

- Nie, zostańcie tutaj. Nie chcę zyskać opinii, że moi klienci giną.

Nadal oponowali. Powiedziałem:

- Posłuchajcie. Biały myśliwy, mój przyjaciel o nazwisku van der Wall, pozwolił jednemu z amatorów ruszyć w zarośla za rannym lwem. Mówił mu, że to bardzo nierozsądne. Błagał go, żeby przynajmniej poczekał, aż zwierzę zdąży osłabnąć z upływu krwi. Wyjaśniał, że ranny lew kładzie się, gdy tylko ma sposobność, i że po jakimś czasie się wykrwawia. Powiedział: „Gdy usłyszysz, że nadchodzisz, przestanie jęczeć. Będzie wiedział, gdzie jesteś, ale ty nie będziesz wiedział, gdzie on jest. Nie rzuci się na ciebie pędem. Poczeka, aż znajdziesz się w odległości kilku stóp”. Ten facet nie chciał słuchać. Oświadczył, że przyjechał do Afryki dla mocnych wrażeń, a to było szczególnie atrakcyjne. Zaczął podchodzić wśród krzaków. Przeszedł tuż obok lwa, który leżał przywarty do ziemi w gęstwinie. Lew zaatakował go z tyłu. Złamał mu kark i przegryzł czaszkę. Van der Wall położył lwa na jego ofierze, ale to już nic nieszczęśnikowi nie pomogło.

Słońce było gorące. Kleszcze gryzły mnie zawzięcie w plecy. Odezwałem się do Ubusuku: - Chodźmy w cień tego krzaka i wypalisz mi z pleców kilka kleszczy.

Kleszcze głęboko wtykają główki. Jeśli się je odrywa, główki zostają w ciele i trzeba je wygrzebywać nożem. Jeśli przytknie się im do zadka płomień zapalki, spiesznie wyciągają łebki. Ubusuku porządnie wykurzył kleszcze i właśnie wkładałem koszulę, gdy Jantje krzyknął:

- Staruszkowie poszli dochodzić lwa, *Baas*.

Jęknąłem z przerażenia. Ubusuku chwycił swój dzirynt i już go nie było. Gdy przystanąłem koło Jantjego, żeby zabrać swą .303, zobaczyłem, jak Ubusuku nurkuje w trawie. Sprawdziłem naboje w komorze i w magazynku i pobiegłem tropem lwa. Martwiłem się, że zatoczy koło i kiedy ci dwaj będą szli jego śladem, zajdzie ich od tyłu.

Trop prowadził szerokim łukiem. Gdzieniegdzie trawę pokrywała spieniona farba. Wyżej czerwone smugi wskazywały, że zwierzę dostało też wysoko, prawdopodobnie blisko zadu. Farba nie była rozmazana, jak to jest w przypadku strzału w przód, kiedy lew, idąc, ociera się ranami o rośliny.

Krzyknąłem kilka razy do St. Legera i Meaghera, żeby na mnie poczekali. Nie odpowiedzieli. Nagle wszystko stało się naraz. Usłyszałem wrzask Ubusuku. Usłyszałem kasznięcie lwa. Usłyszałem pisk jednego ze staruszków. Zobaczyłem sztucer wirujący w powietrzu, jak śmigło helikoptera. Rzuciłem się przez trawę w stronę tego zamieszania i serce mi zamarło.

St. Léger, czerwona miazga, leżał połamany. Meagher był pod lwem, a lew, z dzirytem Ubusuku wystającym jak drugi ogon, kasłał wielkimi, spienionymi grudami krwi. Trzema strzałami strzaskałem mu łeb.

St. Léger miał złamany obojczyk, skomplikowane złamanie kości łokciowej i kilka połamanych żeber. Krew, którą był pokryty, to była krew lwa. Meagher, gdy wyciągnęliśmy go spod lwa, był rozdarty pazurami od ramienia do kostki. Miał zerwane ubranie. Przerazające ciosy przednich łap uderzyły jak pioruny. Gdyby lew w momencie ataku znajdował się o cal bliżej, wyprułyby z Meaghera flaki.

Po jakimś czasie zatamowaliśmy krwawienie u Meaghera, który kłął, gdy polewaliśmy mu rany jodyną. Poszedłem do St. Legera

z apteczką i obandażowałem go tak dokładnie, jak tylko się dało. Siedem dni zajęło nam przetransportowanie tych dżentelmenów do Maun, skąd prywatny samolot zabrał ich do Livingstone. Dwa tygodnie później odwiedziłem ich w szpitalu. Gdy wchodziłem do ich pokoju, słyszałem, jak Meagher nazywa St. Legeera staruszką o kruchych kościach. St. Léger uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Rzuć monetą, chłopie, dobrze? Jak wyjdzie reszka, to ja biorę łeb lwa, a ten Podrapany Kuper bierze kudu.

Rzuciłem monetę.

Wyszła reszka.

Jeszcze o pawianach

Po raz pierwszy zobaczyłem tę farmę, gdy polowałem na pawiany w Magaliesbergu. Był wczesny ranek i już od ponad trzech godzin gramoliłem się grzbietem pasma pagórków zatrzymując się, zęby popatrzeć, jak słońce wstaje z ciemności i zamienia ponure opary nad ziemią w fioletową mgiełkę całą nakrapianą perłowymi i srebrnymi plamkami - żeby się przyjrzeć, jak mokre od rosy skały na dole zboczy zmieniają się pod wpływem ciepła porannego słońca z czarnych w brązowe i w rdzawoczerwone.

Nagle mgły zniknęły i brunatna równina, usiana zielonymi krzakami i czarnymi drzewami cierniowymi, lśniła i drżała w załączkach upalnych miraży. W miarę jak promienie słońca rozżarzały się, wiatr przesuwiał coraz cieplejsze warstwy powietrza, a wtedy drzewa i krzaki rozpoczęły dziwny taniec kołysząc się, płynąc kilka stóp nad ziemią i zmieniając kształty - jak odbicia widziane w pomarszczonej wodzie

Czterystufuntowy bawolec wyszedł z cienia w ciepłą mgiełkę i natychmiast stał się większy od słońca. Uniósł się powoli, poszybował, rozciągnął się i skurczył.

Nagle z buszu zrodził się bliźniak, który zawisł na niebie do góry nogami; trawa, krzaki, drzewa i bawolce - wszystko miało swe dokładne odbicie. Miraż zniknął powoli a busz zmęczony tą fantazją, zrobił się gorący, cichy i senny. Farma leżała prosto pode mną, przytulona do podnóża *kopje*. Dom był biały i niski i wydawał się mały pod grubą strzechą ze spłowiałej trawy. Obora miała ściany wyplatane

z trzciny, przykryte płaskim dachem z karbowanej ocynkowanej blachy. Porośnięta winoroślą wygodka z trzech stron była otoczona żywopłotem z opuncji.

Na farmie panowało lenistwo, ponieważ słońce pięło się wysoko, a w pobliżu nie było białych ludzi. Nastawiłem ostrość lornetki na tylne drzwi domu. Były to drzwi holenderskie i ich górna część była otwarta. Zza rogu wyszedł obszarpany samiec strusia, wysoko stawiając nogi. Wetknął głowę przez otwarte drzwi. Błysnęło białą płótna, gdy ścierka do naczyń pacnęła go w łeb. Cofnął się ze złością, tańcującym krokiem, z na wpeł rozpostartymi skrzydłami. Zuluska kobieta wystawiła głowę i wrzasnęła : - *Voetsak* [wynoś się]!

Trzy żółte krowy wyszły z obory i stały cierpliwie, gdy doił je młody Kafr, który miał na sobie jedynie ciemne krótkie spodnie i damski czerwony kapelusz słomkowy. Zaniósł wiadro z mlekiem do tylnych drzwi. Wysunęła się czarna ręka i odebrała je. Chłopak, podobnie jak struś, wsadził głowę przez drzwi i odskoczył, gdy biała ścierka strąciła mu z głowy kapelusz. Nałożył go z powrotem, wszedł do obory, wyszedł z batem na woły o długim uchwycie i rzemieniu i krzycząc „Iijak!”, smagnął nim krowy po grzbietach. Zagnał je do zagrody i zamknął furtę. Następnie położył bat na ziemi, wyciągnął się na plecach, skrzyżował stopy, nasunął kapelusz na twarz i leżał spokojnie.

Za domem drzewa w małym sadzie pomarańczowym odbijały złote błyski lśniących liści. Nad szerokim, płytkim strumieniem wśród kilku wołów pasły się dwa amerykańskie muły. W połowie drogi między domem i oborą stały trzy tyczki, każda z małą deską umieszczoną na górze. Przy każdej z tyczek, jak pies przy budzie, siedział przykuty łańcuchem pawian.

Od obory wiała się pylista droga, która przecinała strumień po moście z bali i wchodziła do gaju drzew *moepel*, dzikich fig i nieszpulek. Z gaju wyszła szara małpa wielkości jednej ósmej pawiana i usiadła na drodze. Przez chwilę drapała się w bok, po czym wstała i wróciła do cienia.

Nawiedziło mnie dziwne uczucie, że już to kiedyś widziałem. Poczuję się, jakbym „jako duch krążył wokół miejsc z dzieciństwa”. Była to oczywiście czysta fantazja, ponieważ urodziłem się w Illinois,

a wychowałem w Michigan. Jednak wszystko wydawało mi się znajome, nawet ta mała i struś.

Kilka minut po tym, jak zacząłem dziesięciomilową wędrówkę z powrotem do swojego namiotu w wąwozie obok *kopje*, gdzie polowałem na pawiany, zatrzymałem się i spojrzałem za siebie. Dym z kolumny kuchennego przywarł do strzechy, jakby nie chciał odejść. Powiedziałem do siebie: - Kiedyś tu wrócę i kupię tę farmę.

Tak się stało. Ale dopiero po trzech latach samotnych wędrówek po bezdrożach Rodezji, niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, Konga, Tanganiki, Kenii i pozbawionej wody, piekielnej krainy na północ od Uaso Nyiro. W końcu znużeni zabijaniem ruszyliśmy z Ubusuku na południe. W Bulawajo odebraliśmy czek bankowy z ogrodu zoologicznego w Berlinie i z muzeów w południowej Europie - czek, które gromadziły się tam od dwóch lat. Ubusuku wrócił do domu, do Natalu, żeby kupić sobie kilka żon i żeby „pilnować, by były pełne dzieci”. Ja kupiłem silnego konia i ruszyłem do Magaliesbergu - na farmę.

Rose, właścicielka, sprzedała mi wszystko - ziemię, zwierzęta, meble, wschody i zachody słońca, fiolet nocy, krzyk „nocnych” małp w gaju, odbicie płomienia świecy na polerowanej, czarnej jak heban podłodze z błota i łajna, bezgłose tęsknoty, głębokie wiersze, dla których nigdy nie można znaleźć słów, i spokój nieskończonego czekania, które przypada w Afryce samotnym.

Siedziałem sam na werandzie długo po tym, jak zaszło słońce i jak wyszły gwiazdy i zawisły na srebrnych niciach w bezksiężycowym niebie - niczym odbłaskowe pająki. Potem wszedłem do domu i siedziałem przez chwilę w kompletnej ciemności.

W końcu Kafr przyszedł z obory, zapalił świece i zrobił kawę; nie lurę z zaparzacza, ale aromatyczną, ciemnobrazową, gorzką, pożywną kawę, gotowaną w litrowym, niebieskim, emaliowanym garnku, okopconym od dymu, nigdy nie mytym. Przyniósł puszkę dżemu jagodowego, talerz pulchnych herbatników i kawałek sera gorgonzola.

Natarczywy powiew, który wtargnął przez otwartą górną część frontowych drzwi w drodze do tylnego wejścia, poruszył płomieniami świec i cieniami w kątach.

Odstawiłem pustą filizankę po kawie i powiedziałem do czekającego Kafra: - Jak się nazywasz?

- Jim, *Baas*.

- W porządku, Jim. Idź spać.

Uśmiechnął się i wszedł w cienie. Z mroku dobiegł jego głos: - *Shlala gaashly, Baas*.

- *Hamba gaashly, Jim*.

Rano stanąłem na klepisku frontowej werandy i patrzyłem na wschód słońca ponad drzewami pomarańczy. Obszarpany struś wyszedł z sadu i zniknął za domem. Pospieszyłem do kuchni, chwyciłem ścierkę i gdy wsadzał łeb do środka, pacnąłem go nią. Obruszony cofnął się tanecznym krokiem. Zaśmiałem się w głos. Wszystko było takie, jak sobie wymarzyłem. Rzuciłem strusiowi bochenek chleba.

Spojrzałem na *kopje*. Na grzbiecie, gdzie stałem tysiąc mozolnych wędrowek temu, widać było rząd sylwetek pawianów. Moje pawiany - moje *kopje*!

Niewiele się zmieniło. Ten sam Kafr doił trzy żółte krowy przed oborą. Miał teraz kapelusz ze zniszczonego filcu. Tylko dwa pawiany były przykute do drągów na podwórku; stary samiec i niemal dorosła samica. Muły też wciąż tam były, podobnie jak woły. Wszedłem do sadu i policzyłem drzewa pomarańczowe - równo sto. Na uboczu samo z siebie wyrosło drzewko *naarjie* (mandarynki); zbyt plebejskie, by się mogło zbratać z arystokratycznymi pomarańczami.

W małym stawie moczyły się jutowe worki wypełnione tytoniem; mokre liście kiedyś miały zostać nanizane na sznury i wysuszone, by w ten sposób zmienić się w najohydniejszy tytoń fajkowy znany człowiekowi.

Poszedłem z powrotem na tyły domu i tam zatrzymałem się z przerażenia. Samiec pawiana leżał na boku, a w ramionach trzymał sześciomiesięczne dziecko Kafrow. Cofnąłem się, żeby mnie nie zobaczył, pospieszyłem wokół domu, wszedłem od frontu, wziąłem sztucer i stojąc dość daleko za otwartymi drzwiami kuchennymi, przyłożyłem kolbę do ramienia.

Opuściłem broń, gdy żona Jima, dziewczyna o udach jak pnie drzew, przyniosła wielką pustą skrzynkę i postawiła ją na ziemi obok pawiana. Zdjęła z siebie pled, złożyła go, wymościła nim skrzynkę, zabrała dziecko pawianowi i położyła je na pledzie. Pawian wszedł do

skrzynki i ponownie objął dziecko ramionami. Czarna kobieta przytaknęła, jakby była zadowolona, i odeszła.

Odłożyłem sztucer i zwołałem Jima. Gdy się pojawił, dygotałem z gniewu.

- Do licha - powiedziałem. - Jim, czyś ty oszalał?

Jim był zaskoczony. - *B-baas?* - zaczął się jąkać.

- Idź i zabierz to dziecko pawianowi. Pospiesz się!

- *Ja, Baas* - odparł Jim i odwracając się, krzyknął kilka zuluskich słów do żony.

Kołysząc wielkimi piersiami, podbiegła do skrzynki, wzięła dziecko i odeszła poza zasięg łańcucha pawiana. Patrzyła na mnie przestraszonym wzrokiem.

- Jim, wypuść tego pawiana - nakazałem. - Zagnaj go do jego kumpli na *kopje*. Pospiesz się, Jim.

- *Baas*, proszę...

Wziąłem sztucer i powiedziałem: - Uwolnij go, albo go zastrzelę.

Z markotną miną Jim odpiął pawianowi obrozę. Pawian siedział bez ruchu.

- Pogoń go, do licha! - powiedziałem. - Zagnaj go na *kopje*.

Jim zamachał rękoma i wrzasnął. Pawian otworzył pysk, jakby ziewał, po czym powłókł się do wygodki, wdrapał się po winorośli i ukucnął na dachu.

- To dobry pawian, *Baas* - powiedział Jim. - On jest jak sługa. Nie może iść na *kopje*. Dzikie pawiany go zabijają.

- Zabijają go? Dlaczego?

- Bo cuchnie człowiekiem, *Baas*.

Po namyśle oznajmiłem: - Dobrze, może tu zostać, ale już nigdy nie dopuszczajcie go do dziecka. Jeśli to się powtórzy, możecie się wynosić z powrotem do krainy Zulusów.

Gdy Jim się oddalił, usiadłem na krześle i słuchałem, jak wali mi serce. Po chwili wyszedłem na dwór. Pawian był z powrotem na łańcuchu.

Przez kilka następnych dni Jim pomagał mi poznać moją farmę. Jego żona miała na imię Selina. Dziecko nazywało się Mafuta (Tłuścioch). Kafr, który doił krowy, był chłopakiem z ludu Soto i miał na imię Charlie. Stary samiec pawiana wabił się Predikant (Kaznodzieja).

Samica nosiła imię Tante (Ciocia). Struś nazywał się Oskar. Były tam kaczkę i kaczątka, kury i kurczęta. Była samotna stara maciora, która na pół zdziczała i mieszkała w zaroślach nad strumieniem.

Wszystkie czternaście długorogich wołów nosiło imię Góra z przedrostkiem oznaczającym kolor zwierzęcia. Oczywiście w języku afrikaans. Był Rooiberg (Czerwona Góra), Swartberg (Czarna Góra), Witberg (Biała Góra) i tak dalej, poprzez niebieski, brązowy, dere-szowaty i różnorodne odcienie.

Wraz z Jimem obchodziłem farmę od końca do końca. Jedną z jej granic wyznaczała krawędź *kopje*. Z drugiej strony linia biegła przez płaski busz tysiąc jardów poniżej domu. Naszą jedyną uprawę stanowiły pomarańcze i było ich zaledwie tyle, że dochód wystarczał tylko na pensje dla tubylców.

Uprawialiśmy własne warzywa i tytoń. Mieliśmy mleko. Było mięso z odstrzału - bawolców, dujkerów, *lagavaanów* (dużych wodnych jaszczurek) i wodnych szczurów. Selina robiła dżemy i marmolady z dzikich fig, z dzikich daktyli, z dzikich brzoskwiń i z wielkich, soczystych jagód.

Pawiany były moje, podobnie jak zające skalne i króliki, lamparty, pytony i chłodne słodkie jeziora w wąwozach, podobnie jak małpy w gaju, antylopy na polach, sekretarze, które gnieździły się na szczytach drzew cierniowych, i ptaki, które śmigały w sadybie niczym świetliste klejnoty.

Bardzo niewiele się na tej farmie działo. Całą pracę wykonywali Selina, Jim i Charlie. Ja, gdy miałem odpowiedni nastrój, co nie zdarzało się często, pisałem artykuły o zwierzętach i polowaniu. Wiele czasu spędzałem obserwując nasze dwa pawiany, jak głaszczą i tulą kaczkę i kurczęta, które znalazły się w ich zasięgu; patrzyłem, jak układają małe sterty kamyczków, żeby mieć je pod ręką i rzucać w Charliego, gdy będzie przechodził; patrzyłem, jak dręczą głupie kury.

Codziennie rano Tante i Predikant zostawiały kilka ziaren kukurydzy ze swojego śniadania i udawały, że śpią. Kury, które chyba nigdy nie wyciągały wniosków z nauki, zbliżały się niezdecydowanie, zatrzymując się co krok lub dwa, by przyjrzeć się pawianom najpierw jednym okiem, a potem drugim. Pawiany, uśmiechając się ospale, przyglądały się kurom spod przymrużonych powiek. Kury nerwowo

dziobały kilka pierwszych ziaren, po czym, zapominając o ostrożności, zaczynały jeść żarłocznie. W kolejnej sekundzie, gdy okolicą wstrząsały dwa ryki, jakich nie powstydzilby się lew, kury niczym wirujące liście z trzepotem skrzydeł uciekały we wszystkie strony, gdcząc histerycznie. Pawiany to uwielbiały.

Predikant i Tante - samiec i samica. Żyły obok siebie; czasami siałady jednocześnie na drągach. Jednak absolutnie się ignorowały. Być może Tante nie miała potrzeb seksualnych. Ale Predikant je miał. Nigdy nie starał się ukryć swego szatańskiego pożądania, gdy pojawiała się w pobliżu dzika maciora.

Pewnego dnia powiedziałem do Jima: - Miło by było, gdyby pojawił się u nas młody pawian. Przywiążmy Predikanta i Tante do jednego drąga i zobaczymy, co się będzie działo.

- Już próbowaliśmy, *Baas*. Nic się nie działo.

- To spróbujmy jeszcze raz. Dzikie pawiany parzą się na *kopje*. Może to nasunie Tante jakąś myśl. Zdaje się, że myśli Predikanta już się na tym skupiają.

- Tante go nie interesuje, *Baas*. Ani żadna inna samica pawiana. On się interesuje jedynie świnia. - Jim splunął z niesmakiem.

Miał rację. Przykuliśmy Predikanta do drąga Tante na ponad miesiąc. Nawet się nie kwapił, żeby ją iskać z pcheł.

Predikant tęsknił za Mafutą, dzieckiem Jima. Za każdym razem gdy Selina pojawiała się w drzwiach chaty, pawian patrzył tęsknie. Gdy Selina niosła dziecko niedaleko niego, kołysał się na stopach i napinał łańcuch. Kiedyś się zerwał i znaleźli go, jak stał i zaglądał przez okno do wnętrza chaty.

Dzikie pawiany bawiły się i poszczekiwały na *kopje*, niekiedy trzysta jardów od domu. Predikant odwracał się do nich plecami. Tante przyglądała im się z zainteresowaniem.

Pawiany w niewoli są jak woda. Pawiany na wolności są jak whisky.

Zacząłem coraz więcej czasu spędzać z dzikimi pawianami. Szybko przekonały się, że staram się z nimi zaprzyjaźnić, i zjadały suszoną kukurydzę, którą rozrzucałem, podchodząc blisko stada. Kiedyś znalazłem w spiżarni nieco popsutej kukurydzy prażonej. Domieszałem ją do karmy i pawiany były zachwycone. Wysłałem Jima do Pretorii, żeby kupił sto funtów kukurydzy, i wieczorami prażyłem ją na przykrytej patelni.

Ilekoć miałem przy sobie prażoną kukurydżę, młodsze pawiany szły za mną, jak dzieci za wózkiem z lodami. Czasami, gdy nie przyniosłem kukurydzy i zdały sobie sprawę, że tego dnia nie będzie przysmaku, zachowywały się niegrzecznie. Rzuciły się na mnie z wyciągniętymi sztywno ramionami, zatrzymywały się nagle i podskakiwały w miejscu, mamrocząc do mnie. Następnie odwracały się tyłem i stroiły do mnie miny z głową pomiędzy nogami.

Jak mówiłem wcześniej, życie na farmie płynęło leniwie i ja też byłem rozleniwiony, pomijając chwile, gdy włączyłem się po pagórku i dolinie ze sztucerem lub z aparatem fotograficznym. Miałem sposobność stać się ekspertem od pawianów czakma - dobra wymówka, żeby się wymigać od pracy. Całymi tygodniami żyłem praktycznie między tymi fascynującymi hultajami.

Pewnego dnia zauważyłem, że wśród trzystu - a może było ich więcej - pawianów w stadzie, które obserwowałem, zapanował dziwny spokój. Na ogół o tej porze dnia pawiany hałaśliwie uganiały się pośród skał, wzdłuż urwiska i w gęstych zaroślach wąwozu.

Tkwiałem u podnóża *kopje* niemal od godziny, przyglądając się przez lornetkę kilku rozbawionym młodzikom. Nagłe ustanie szczełnięć i ryków na zboczu zdumiało mnie i gdy w tej ciszy rozległ się pojedynczy głos - rozpaczliwe wycie - poczułem, jak po karku przeszły mi ciarki.

Wycie przerodziło się w długi, przeciągły jęk, po którym nastąpił rozdzierający pisk. Wtem zobaczyłem coś, czego wcześniej nigdy u pawianów nie widziałem. Samce ze wszystkich stron *kopje* zaczęły się przemieszczać *w ciszy* w stronę, z której dobiegał krzyk. Wyczułem, że to samica krzyczy w nieopanowanej rozterce. Jej wezwanie było tak ludzkie, tak naglące, że bezwiednie ja też ruszyłem ku niej, z dłonią na rewolwerze przy boku.

Zatrzymałem się po kilku krokach, gdyż milczenie zdążających w jednym kierunku samców było złowieszcze. Widziałem już wielokrotnie, jak to stado podchodziło do straszliwych pytonów, lampartów, a często i ludzi, ale zawsze przy tym rozbrzmiewały ryki, szczełnięcia, piski i gwiekliwe zaczepki.

Spojrzałem tam, gdzie - zanim rozległo się zawodzenie - na martwych drzewach i na szczytach skał byli rozstawieni strażnicy. Wszyscy dołączyli do grupy maszerujących samców. Samice i młode zniknęły.

Badając zachowanie tych pawianów już od ponad czternastu tygodni i sądziłem, że po rodzaju wrzawy nauczyłem się rozpoznawać, jakie niebezpieczeństwo im zagraża. Tym razem nie miałem pojęcia, na czym polega zagrożenie.

Zawodzenie ustało, gdy samce zgromadziły się w pobliżu skały wystającej w połowie zbocza. Siedziały bez ruchu, nie kręcąc nawet głowami. Obserwowałem je, aż ciepło bijące od mojej twarzy zaparowało szkła lornetki.

Gdy przecierałem soczewki, zauważyłem głównego przywódcę stada, który wychodził zza skały niecałe trzydzieści stóp ode mnie. Usiadł przodem w moją stronę, z opuszczonymi luźno ramionami, i patrzył ponad moją głowę. Nagle zza tej samej skały wyszło pięciu innych przywódców stada; usiedli w rzędzie kilka stóp za swoim przełożonym, też spoglądając nade mną w dal.

Ta sytuacja nie tylko nie mieściła się ramach moich doświadczeń, ale przerastała granice mojej wyobraźni. Stary „wódz” był pawianem wojownikiem; w każdym stadzie jest przynajmniej jeden taki osobnik. Niewiele wcześniej widziałem, jak zabił psa dzikarza, trzymając go za uszy i tylnymi łapami wypruwając wnętrzności. Widziałem, jak wraz z dwoma innymi samcami zabił lamparta. Teraz siedział nieruchomo, przyglądając mi się kątem oka, ale nie patrząc wprost.

Nie wiedziałem, co robić. Poczulem, jak lekki powiew schłodził mój nerwowy pot na czole i na górnej wardze. Rewolwer był bezużyteczny przeciwko takiej liczbie pawianów. Obawiając się spuścić je z oczu, cofnąłem się powoli, po kilka cali za każdym krokiem.

Wtedy przywódca pawianów spojrzał na mnie. Na ogół nie można sprokocować pawiana do kontaktu wzrokowego z człowiekiem, ale ten wielki, stu pięćdziesięciofuntowy samiec patrzył mi prosto w oczy. Jego oczy były żółte, z czerwonymi błyskami. Nie było w nich gniewu, podniecenia - jedynie dziwny *wysitek*, jakby desperacko próbował przebić się przez ciemność dzielącą nasze umysły.

- Dobry Boże! - powiedziałem cicho. Pot spłynął mi po bokach. Cofnąłem się o kilka kolejnych cali i pawian przeniósł wzrok na punkt ponad moim ramieniem.

Na *kopje* rozległ się kolejny przeraźliwy skowyt. Wszystkie sześć pawianów wstało i ruszyło prosto pod górę. Nie oglądały się za siebie, ale *wiedziałem*, że chcą, żebym poszedł za nimi.

Poszedłem. Moimi myślami targają sprzeczne uczucia ciekawości, zdumienia, niedowierzania i strachu. Chciałem się odwrócić i uciec, a jednocześnie coś zdawało się mnie popychać, kazało zbadać tę sprawę.

Gdy okrążyłem ogromny ostaniec, siedzący przy nim krąg samców odsunął się. Przywódcy uszli jeszcze kawałek, po czym przysiedli na zadach i patrzyli tak jak poprzednio. Samica, która wcześniej zawodziła, oddaliła się o kilka jardów, usiadła i siedziała spokojnie.

Na ziemi, niemal u moich stóp, wił się i skręcał młodziutki pawian. Chciałem go podnieść - pomóc mu jakoś - ale się nie ośmieliłem. Gdy się przestraszy albo choćby dotknie dziecko pawiana, to tak, jakby się prosiło wszystkie samce w stadzie, żeby rzuciły się na was we wściekłym gniewie. Parę osób i setki psów zostało rozerwanych na strzępy za taką zuchwałość.

Spojrzałem na krąg milczących samców. Spojrzałem na sześciu skupionych przywódców. Zdawali się zupełnie ignorować moją obecność. Zerknąłem na matkę dziecka. Ona też wpatrywała się w dal.

Jako myśliwy nieraz stawałem oko w oko z niebezpieczeństwem. Wiedziałem, czym jest strach i jak na niego reaguję. Ale ta wewnętrzna rozterka - z jednej strony chciałem pomóc małemu pawianowi, a z drugiej miałem ochotę wynieść się stamtąd jak najszybciej - była dla mnie czymś nowym. Gdy lew atakuje, powstrzymuje się go pociskiem - albo nie powstrzymuje wcale. Albo ja, albo lew. Ale ta sytuacja, w której nie mogłem uczynić nic, żeby sobie pomóc, zdawała się kompletnie beznadziejna.

Zrobiłem ostrożny krok ku cierpiącemu młodemu i spojrzałem na pawiany. Nawet nie przesunęły wzroku. Zrobiłem następny krok i znów się zatrzymałem. Nadal żadnego ruchu. Spojrzałem na matkę.

Miała obnażone kły, ale nie patrzyła na mnie. Gdy od malca dzielił mnie już tylko jard, dostrzegłem powód jego rozpaczliwej choroby. Obok niego leżał niewielki stosik ziaren kukurydzy, poplamiony na zielono trutką na mrówki. Dwa lub trzy ziarenka widać było w pianie wokół ust małpki.

Od razu zrozumiałem, co się stało. Charlie, chłopak, który zajmował się moimi krowami, zatrul ziarna i zostawił je na stoku. Nienawidził pawianów. A one nienawidziły jego. Zatruta kukurydza nie przyciąga dorosłych pawianów, ale młode nie wiedzą wszystkiego.

Strach odszedł w przyływie gniewu i przyklęknąłem przy ciężko dyszącym malcu. Miałem manierkę pełną mocnej, gorzkiej kawy. Otworzyłem malcowi usta i wlałem mu kawę do gardła. Bronił się słabo. Jego matka wydała chrapliwy, ale stłumiony skrzek. Naciśnąłem malcowi na brzuch i z ust wyleciały mu cuchnące zielone grudki. Wlałem w niego więcej kawy. Leżał bez ruchu i pomyślałem, że zdechł. Sapnął i poruszył się. Więcej kawy. Leżał i dyszał ciężko. Przyglądałem mu się, zdając sobie sprawę, że jeśli umrze, mnie spotka prawdopodobnie ten sam los. Rzuciły nim drgawki, ale zdarzały się coraz rzadziej. Zaczął cicho skomleć. Matka ruszyła ku mnie. Odsunąłem się. Spiesznie podniosła dziecko i trzymając je jedną łapą, odeszła chwiejnie na pozostałych trzech.

Mój pot wydawał tę charakterystyczną woń powodowaną strachem. Ugięły się pode mną nogi i wydawało mi się, że za chwilę upadnę. Stopą wtarłem zatrute ziarna w ziemię i popatrzyłem na pawiany, które zajęły się swoimi sprawami. Nim dotarłem do podnóża *kopje*, znów szczekały i pohukiwały na całym wzgórzu.

Strach szybko mi minął, ale nigdy nie zapomniałem tego uprzedniego „błagania” w oczach przywódcy pawianów. Od tamtej pory wiem, że szare pawiany są bliższe myśli ludzkiej, niż sądzi większość osób.

Zostaliśmy przyjaciółmi - ci „ludzie gór o twarzach psów” i ja. I żyliśmy w przyjaźni, aż sprzedałem farmę i ponownie, wraz z Ubusuku, ruszyłem na polowanie.

Bawoły

Ruszacie na bawoły afrykańskie. Czytaliście o nich dużo i bez wątpienia jesteście podnieceni perspektywą mrożących krew w żyłach starć. Uspokójcie się. Szansa, że natkniecie się na któregoś z tych szeroko opisywanych byków o morderczych instynktach, wynosi pięć tysięcy do jednego. Jest bardziej prawdopodobne, że zobaczycie spiesznie znikające zady setek wstydlivych, lęklivych stad.

Dziesiątki zawodowców całe lata polowało na bawoły i myśliwi ci nigdy nie musieli staczać pojedynków z samotnikami. Jednakże gdyby spotkało was to szczęście (lub pech) i natknęlibyście się na takiego samotnika, pamiętajcie, że to niebezpieczne zwierzę. Jeśli nie wiecie nic o jego wzorcach zachowań, może się okazać, że wdaliście się w najbardziej wyrównany pojedynek między człowiekiem i zwierzęciem, jaki można stoczyć w Afryce. Z drugiej strony, jeśli macie specyficzny rodzaj odwagi i rozumiecie, czym kieruje się bawół, możecie zmienić nawet najokrutniejszego potencjalnego zabójcę w potulnego baranka.

Bawoły w stadzie tak boją się człowieka, że uciekają przy pierwszej oznace jego obecności. Niebezpiecznymi zwierzętami mogą być samotne byki i krowy odłączone od swoich cieląt.

Bawoły są inteligentne. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale nie aż tak inteligentne, jak by mogło wynikać z wielu opowieści myśliwskich. Reakcje bawołu na różne bodźce są niemal zawsze jednakowe. Zwierzę zazwyczaj ucieka po pierwszym strzale, niezależnie od tego,

czy jest ranne, czy nie. Czasami zatacza szerokie koło i wraca, szukając guza. Nawet wówczas - jeśli tylko pozostawicie bawołu w spokoju - jest bardzo prawdopodobne, że zrezygnuje i odejdzie. Jednakże drugi strzał potrafi go naprawdę rozjuszyć. Jak bardzo się zezłości, zależy od tego, gdzie trafi go kula.

Jeśli rana jest bolesna, bawół najprawdopodobniej zaatakuje, ponieważ ból napawa go taką złością, że zwierzę traci rozsądek. Z drugiej strony, jeśli dostanie na miękkie lub po mięśniach, raczej popędzi z prychem pod wiatr i zniknie tak szybko, jak tylko się da.

O ile tak się zdarzy, to macie wroga. Uważajcie. Możecie być niemal pewni, że bawół będzie zataczał koło, aż trafi na swój własny trop. Następnie wybierze miejsce odległe o dziesięć, dwanaście jardów od śladów, położy się i pozostanie bez ruchu, czasami godzinami, czasami przez kilka dni. Jedynym sposobem, żeby się przekonać, czy żyje, jest wypatrywanie ruchów nozdrzy i uszu, ponieważ bawół bez przerwy węszy i nasłuchuje odgłosów zbliżającego się zagrożenia.

Czasami zdecyduje się zacząć w gęstych zaroślach. Ale nie zawsze. Równie dobrze może się położyć na otwartej przestrzeni, na ciemnym tle, być może tak, żeby jakiś pojedynczy krzak przed nim łamał jego zarys. W obydwu przypadkach, dopóki się nie poruszy, jest niewidoczny dla niewprawnego oka.

Niektórzy myśliwi opowiadają, iż bawół zawsze kładzie się po tej stronie tropu, od której nadszedł. To nieprawda. Równie często kryje się po stronie przeciwnej. *I nie czeka na faceta, który go zranił.* Czekają tam, ponieważ instynkt podpowiada mu, że to jest dla niego najbezpieczniejsze miejsce. Leży jak najspokojniej, by broczące krwią rany mogły się zacząć goić i żeby być niewidocznym dla wroga. Kładzie się blisko swego tropu, ponieważ wyczuwa, że jeśli będzie musiał atakować w takim stanie, atak musi być przeprowadzony z prędkością błyskawicy.

W połowie przypadków gdy myśliwy mija kryjówkę bawołu, zwierzę pozwala mu iść dalej w błogiej nieświadomości, że śmierć była odległa ledwie o kilka stóp. Kiedy indziej rusza tak gwałtownie, że ofiara frunie w powietrzu, jak wirująca swastyka, zanim się zorientuje,

czyja to napaść. Jeśli nieszczęśnik rusza się spadłszy na ziemię, bawół podrzuci go ponownie - lub stratuje.

Stada bawołów nigdy nie atakują ludzi, ale czasami człowiek wchodzi na linię galopady. Wtedy należy się zachowywać w następujący sposób: trzeba się położyć i leżeć do chwili, gdy stado znajdzie się w odległości stu jardów, po czym zerwać się na nogi i stojąc, lekko machać rękoma. Nie za bardzo, gdyż któreś z przemykających zwierząt może się przestraszyć i dźgnąć was rogami.

Komandor Attilio Gatti, włoski badacz, znalazł się kiedyś na brzegu jeziora Kivu w Kongu pośród galopujących trzystu bawołów. Nadciągnęły z loskotem. Gatti wrzeszczał, krzyczał i dziko wymachiwał kurtką. Stado rozdzieliło się i minęło go z dwóch stron, niektóre zwierzęta zaledwie o kilka cali. Gattiemu się udało, ale byłby bezpieczniejszy, gdyby stał nieruchomo. Ocalił go Anioł Stróż, gdyż ta szalona gimnastyka mogła przestraszyć któreś ze zwierząt i spowodować je do ataku.

Bawoły mogą napytać człowiekowi sporo kłopotu, ale są też sposoby, żeby człowiek napytał kłopotów bawołowi. Jednym z nich jest wykorzystanie taktyki corridy. Weźcie koc i tuż przed tym, jak szarżujące zwierzę opuści głowę do ciosu, przytrzymajcie koc przed sobą, a potem szybko ustąpcie na bok. Bawół zaatakuje płachtę. Jeśli tylko byście mieli na to ochotę, możecie wykonać kilka prostych ruchów torreadora i spowodować bawołu do serii bezowocnych ataków.

Innymi słowy, można dać sobie radę z bawołem, podobnie jak matador radzi sobie z bykiem. Widziałem coś takiego. Nie w wykonaniu białego, lecz Hotentota. Drażnił byka bawołu, wystawiał koc i uskakiwał na bok w ostatniej chwili. Gdy bestia atakowała koc, Hotentot wprawnym ruchem zarzucał go jej na głowę. Następnie wbijał w bawołu dwie, czasami trzy dzidy i zmykał jak antylopa. Byk strząsał koc, podrzucał go, tratował, prychał, znęcał się nad nim - po czym padał martwy.

Bawół nie weźmie na rogi ani nie stratuje martwego człowieka, którego sam nie zabił. W okolicach Jeziora Edwarda w Ugandzie wielu miejscowych jest mistrzami w udawaniu nieboszczyka. Skradają się do stada pod wiatr, podchodzą blisko, wybierają zwierzę

i posyłają mu dwie lub trzy zatrute strzały. Następnie padają w trawę i leżą bezwładnie, ledwie oddychając. Nie odważają się uciekać, bo to otwarty teren, a nawet najszybszy tubylec nie prześcignie rozjuszonego bawołu.

Na ogół ranny zwierz denerwuje się i wścieka z powodu bólu wywołanego strzałami, ale nie usiłuje zlokalizować myśliwego. Zdarza się jednak, że zwierzy albo usłyszy człowieka i wtedy rusza na niego z rykiem. Niekiedy zaryje się w miejscu przednimi nogami, obracając leżącego krajowca. Zdziwiony bawół przysuwa nos do ciała, prycha i stęka. Odchodzi, odwraca się nagle i przygląda się „trupowi”. Czasami wraca i znów węszy i prycha. W końcu trucizna zaczyna działać. Bawół oddala się, pada, stęka i zdycha.

Bawół ma jedną słabość, w którą trudno jest uwierzyć nawet starym zawodowcom. Odkryłem ją przypadkowo i jej znajomość okazała się później przydatna ze dwa lub trzy razy. Oto ona: *Dobry, mocny cios w koniec nosa bawołu odbiera zwierzęciu całą wolę walki.*

W 1921 roku, gdy wyjeżdżałem z Bulawajo na krótki wypad nad rzekę Sabi, dwudziestodwuletni chłopak z Yorkshire, Frankie Manley, błagał mnie, żebym go zabrał. Powiedział mi, że za ostatnie pieniądze przywłókł się z Anglii, żeby fotografować zwierzęta. Jego majątek stanowiły dwa podniszczone aparaty fotograficzne i żałośnie skromny zapas filmów. Będąc bez grosza, chciał własną pracą zapłacić za swój udział w wyprawie.

- Będę twoim białym Kafrem - powiedział. - Będę pracował do utraty tchu, jeśli tylko mnie ze sobą weźmiesz.

Miał tyle zapędu, że serce się krajało. Cóż mogłem zrobić?

- Dobrze - zgodziłem się.

Frankie był najbardziej nerwowym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem. Wystarczyło go dotknąć, z przodu lub z tyłu, gdzieś pomiędzy szyją i stopami, a wrzeszczał jak opętany i uderzał lub kopał cokolwiek, co znajdowało się przed nim. Od naszego wyjazdu z Bulawajo nie minęła jeszcze godzina, gdy Jomo, mój woźnica, niechcący zadrapał Frankiego końcem długiego bata na woły. Frankie szedł obok chłopca kuchennego imieniem Jappie. Z okrzykiem,

od które-go wszystkie szesnastcie wołów zaplątało się w uprząż, Frankie kopnął Jappiego, że ten legł jak długi. Następnie odwrócił się w półskoku i z opuszczoną głową zaczął obiema pięściami boksować powietrze.

Na wozie była niewielka klatka z czternastoma kurami. Pewnego dnia jedna z kur wydostała się i gdacząc, sfrunęła ślepo, uderzając Frankiego od tyłu w kolana. Wierzcie mi, myślałem, że wóz rozjechał hienę.

Na szczęście nikogo nie było w pobliżu tego dzieciaka, bo podskoczył ze sześć razy, przy każdym skoku kopiąc z całej siły.

Żaden z Kafrów nie chciał się zbliżyć do Frankiego na mniej niż pięćdziesiąt jardów. Jego kopnięcia były niebezpieczne. Frankie ważył niemal sto dziewięćdziesiąt funtów.

Pewnego dnia, tuż przed południem, natknęliśmy się na stado bawołów pijących z płytkiego strumienia. Frankie chciał zrobić zdjęcie, więc przywołałem jednego z chłopaków, żeby wziął mój sztucer, i nieuzbrojony podszedłem z Frankiem do spokojnego stada. Opowiedałem mu wiele historii i wiedział, jak krajowcy z Ugandy udają nieboszczyków, gdy nie mają innego wyjścia.

Podeszliśmy blisko i Frankie zrobił kilka zdjęć. Kafr ze sztucерem był tuż za mną. Stado wydawało się potulne, jak stado krów jersey. Nagle, bez ostrzeżenia, jeden z byków uniósł łeb, ryknął i ruszył przez wąski strumień - prosto na Frankiego. Szybko odwróciłem się, żeby sięgnąć po sztucer. Kafr i sztucer byli odlegli o sto jardów i oddalali się coraz bardziej. Rzuciłem się ku niewielkiemu drzewku. Frankie potknął się i upadł jak długi.

Leżał tak nieruchomo, iż myślałem, że stracił przytomność. Byk zatrzymał się gwałtownie, że aż przysiadł z rozpędu, wyciągając sztywne przednie nogi nawet nie sześć cali od Frankiego.

Byłem zapędzony w kozi róg. Nie miałem broni. Nie wiedziałem, co robić.

Byk potrząsnął łbem, aż zatrzepotały mu uszy, po czym przyłożył mordę do ud Frankiego i... prychnął.

Frankie zerwał się z ziemi, świszcząc jak rakietą V-2. Odwrócił się i wyrznął bawołu pomiędzy nozdrza. Byk, cofając się ku rzece, prychnął

z nosem przy ziemi, aż wzbijał w powietrze kłęby piachu. Ale gdy zobaczył, jak Frankie galopuje w stronę mojego drzewa, ruszył za nim. Wdrapałem się na drzewo, a Frankie tuż za mną. Było to dość niepewne schronienie. Drzewo kołysało się niebezpiecznie pod naszym ciężarem. Jednak wysiedzieliśmy na nim przez ponad godzinę, podczas gdy byk, wydając najokropniejsze odgłosy, krążył wokół pnia. Chodził w kółko, zatrzymywał się pod wiatr, wystawiał nos, węszył i parskał, po czym zaczynał tę karuzelę od nowa.

W końcu zrezygnował i odbiegł kłusem.

Znalazłem swój sztucer zapchany ziemią. Już nigdy więcej nie widziałem tego nosiciela broni.

Bawół afrykański bywa szczególnie paskudnym przeciwnikiem w wysokiej trawie, trzcinie lub zaroślach. Jeśli jest w sile wieku, waży około tysiąca sześciuset funtów, a rozstaw jego rogów wynosi trzydzieści sześć do pięćdziesięciu czterech cali. Miernikiem niebezpieczeństwa grożącego z jego strony ludziom jest liczba pocisków dużego kalibru, które może przyjąć tak, żeby wciąż być w stanie walczyć.

Widziałem kiedyś, jak trzech myśliwych amatorów wsadziło pięcioletniemu bykowi w bok cztery pociski .450 i jeden .510. Zwierzę kłusowało bokiem do myśliwych, w odległości około osiemdziesięciu jardów. Gdy dostało piątą kulka, skierowało się w stronę strzelców i ruszyło wściekłym galopem, stękając przy każdym susie. Dwaj mężczyźni klapnęli na zadki, gdy zderzyli się, próbując zwiać w pośpiechu. Trzeci przebiegł kilka kroków, zatrzymał się, przyklęknął, przyłożył broń do ramienia, ale nie strzelał, dopóki bawół nie znalazł się w odległości dwudziestu jardów.

Ja stałem trzydzieści jardów za nimi i w tej samej sekundzie wypaliłem ze swojej .303. Obydwa pociski trafiły byka u nasady gardła. Fiknął kozła i wylądował na brzuchu z wyciągniętą szyją i podkurczonymi nogami. Mimo że dostał tyle ołowiu, jeszcze żył, gdyż kiedy do niego podeszliśmy, wydał niski, jękliwy ryk, zanim zdechł.

Energia uderzenia kuli to dla bawołu nic wielkiego. Albo wcelujecie we właściwe miejsce, albo nie zdobędziecie trofeum bez walki. Gdy bawół atakuje na wprost, strzał w głowę jest bezskuteczny.

Zwierz nadciąga z zadartym nosem, obserwując was cały czas. Jest tak wytrzymały, że nawet złamana łopatką nie powstrzyma jego ataku, dopóki cała obolała noga nie wykręci się i nie ugnie pod nim.

Wierzę, że do polowań na wszystkie zwierzęta nadaje się .303, .30/.06, .270 lub podobne kalibry. Jednak czasami, gdy patrzę na kapiące wydzieliną nozdrza szarżującego czerwonoookiego, szaroczarnego bawołu, żałuję, że nie mam przy sobie potężniejszej broni.

Kolor bawołu może dużo powiedzieć. Młode, jurne byki są szaroczarne i bujnie owłosione. Zwierzęta liczące sobie do dwóch i pół roku mają odcień gniady. Stare, na wpół głuche i na wpół ślepe zwierzęta są jasnoszare, mają niewiele sierści i starte lub połamane końcówki rogów. Stare byki są wciąż szybkie, ale to żadna frajda się z nimi zmagać, ponieważ każdy, kto nie jest chromy, może je podejść niepostrzeżenie. Większość tych staruszków mogłaby was nie dojrzeć, nawet gdyby nosiła okulary o podwójnej ogniskowej, i prawdopodobnie nie słyszałyby was, nawet gdyby miała trąbki słuchowe. Nie drażnijcie tych starych szarych diabłów. Można podejść do nich i kropnąć je z bliska. Wystarczy jeden pocisk w skroń za okiem. Albo kula w żyłę szyjną. Strzał na komorę jest niezły, ale nie zabija od razu - dopiero po minucie lub dwóch.

W polowaniach na grubego zwierza zdaje się istnieć jakiś związek między absurdem i dramatem. Znam okoliczności śmierci wielu ludzi zabitych przez zwierzęta i niemal za każdym razem nieszczęście poprzedzał jakiś śmieszny lub groteskowy incydent. Dwukrotnie widziałem na własne oczy, jak człowiek został ubodzony przez bawołu, i w obu przypadkach wszyscy poza ofiarami śmiali się na kilka sekund przed tragedią.

W lipcu 1922 wyruszyłem z Luandy z portugalskim urzędnikiem państwowym o nazwisku Avila. Nigdy dokładnie nie poznałem celu jego wyprawy, ale gdy dotarł do miejsca, gdzie rzeka Zambezi opuszcza terytorium Angoli i wpływa do Rodezji Północnej, wraz ze swoimi krajowcami zaczął prowadzić gorączkowe pomiary. Domyślałem się, że chciał rozwiać jakieś wątpliwości mające związek ze sporem granicznym.

Przywiózł ze sobą kilka sztucerów, między innymi zupełnie nowy ekspres Holland & Holland kalibru .450. Z broni tej nikt jeszcze nie strzelał, a ponieważ trzymano ją na wilgotnym wybrzeżu, była dosłownie unurzana w wazelinie. Lufy były nią zatkane.

Do tubylczych pomocników Avili należał Mulat Mbunda o imieniu Mao. Nie był zły, ale bywał wścibski i zuchwały. Pewnego wieczoru Avila kazał mu wyjąć H. & H, i wyczyścić go dobrze.

Następnego ranka, gdy słońce zaczynało palić, stary, jednorogi byk bawołu przyszedł do drzewa *moyela* jakieś siedemdziesiąt pięć jardów od obozowiska i ułożył się do długiej, południowej drzemki. Avila był w terenie ze swymi ludźmi. Ja pisałem artykuł na mojej wysłużonej maszynie do pisania marki Yost. W maszynie było pełno piasku i wydawała dźwięki jak gromadka chrząszczących żuków. Jim, mój osobisty kuchcik, szturchnął mnie w ramię i powiedział:

- Mao wziąć broń.

Gdy spojrzałem, zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak Mulat wkłada nabój do jednej z komór ekspresu Avili. Wrzasnąłem na niego, gdyż to niesłychane, żeby krajowiec używał bez pozwolenia broni białego. Mao nie zwrócił na mnie uwagi i pobiegł do bawołu. Chwyliłem sztucer i ruszyłem za nim. Był około trzydziestu pięciu jardów od byka, gdy ten zaczął się podnosić.

Mao wycelował szybko i strzelił.

Rozległ się huk jakby pocisku armatniego z pierwszej wojny światowej. Mao runął nogami do góry. Tyłem głowy mocno uderzył o ziemię. Lufa .450 przez chwilę mknęła prosto w niebo, po czym opadła łukiem, jak wyrzucona dzida.

Bawół odbiegł kłusem cały i zdrowy.

Mao zerwał się na nogi, kwiląc jak przestraszony góralek. Jego ciemna skóra zbladła do odcienia brudnego ciasta. Z ust i z nosa płynęła mu krew. Jedno oko puchło szybko. Powiedział drżącym głosem: - Zapomniałem ten tłuszcz w lufie.

Duma Mulata pękła jak bańka mydlana i chłopcy obozowi ze śmiechu tarzali się po ziemi. Ja też się śmiałem.

Ktoś krzyknął. Odwróciłem się i zobaczyłem byka nadciągającego jak lokomotywa. Starczyło mi czasu zaledwie na jeden szybki strzał z

biodra, gdy bestia minęła mnie i natarła na Mao. Ten padł na kolana, jakby się modlił. Byk uderzył go nisko i podrzucił wysoko. Mao z łoskotem spadł na ziemię. Trafiłem zwierzę w skroń, ale wcześniej byk zdążył wbić swój pojedynczy róg w szyję Mao. Szybkie oględziny wykazały, że Mao zginął już od wzięcia na rogi, a nie od przebiccia szyi.

Dzień był niezwykle gorący, więc pochowaliśmy Mao, gdy tylko Avila wrócił do obozu na popołudniową herbatkę.

W listopadzie 1939 roku wydarzył się drugi nieszczęśliwy wypadek. Obijałem się po Johannesburgu. Pewnego dnia brytyjski wyższy urzędnik państwowy poprosił mnie, żebym poprowadził profesora Lennerta Cashmore'a do krainy Barotse w północno-zachodniej Rodezji. Powiedziano mi, że to entomolog pasjonujący się owadami afrykańskimi. Gdyby celem tej wyprawy miała być jakakolwiek inna część kontynentu, nie zgodziłbym się. Ale kraina Barotse jest moim ulubionym miejscem polowań w Afryce.

Wbijcie ostrze cyrkla w miasteczko Sekoski i zarysujcie krąg o średnicy trzystu mil. Wewnątrz tego kręgu leżą najlepsze tereny łowieckie na świecie. Jest tam wszystko: słonie, lwy, lamparty, hipopotamy, krokodyle, nosorożce, antylopy i bawoły. Ryby, o jakich nie marzył nawet Izaak Walton*; dzikie kaczki, gęsi i dropie - bardziej smakowite od indyków. Są piękne krajobrazy: trawiaste równiny, pustynie, bagna, miękkie, gąbczaste płaszczyny, cudowne, ukryte doliny, wzgórza, lasy i busz. Znajdziecie tam trawę wysoką na dziesięć stóp i przypominające parki tereny, gdzie murawa wygląda jak porządnie przystrzyżone trawniki w starej Anglii.

* Izaak Walton - (1593-1683) pisarz angielski, którego najbardziej znanym dziełem był traktat o łowieniu ryb i życiu na wsi.

Jest tam upał i są chłodzące powiewy, gdy po deszczach wiatr wieje znad wypełnionych wodą nizin. Ten krąg obejmuje część Rodezji Północnej, Angoli, Beczuanii i krainy Damara w Afryce Południowo-Zachodniej. Pamiętajcie, żeby załatwić formalności, które pozwolą wam krążyć pomiędzy wszystkimi czterema krajami. Wszystkie cztery rządy są przychylnie i nie zedrą z was skóry za zezwolenia na odstrzał.

Znajdowaliśmy się na płaskim, porośniętym zaroślami terenie nad rzeką Lunga. Zbliżało się południe i panował upał, gdyż deszcz jeszcze nie spadł. Wraz z Cashmore'em siedzieliśmy w cieniu kępy drzew cierniowych i obserwowaliśmy stado ponad stu bawołów, które jeden za drugim ciągnęły starym szlakiem. Udawały się na sjęstę pośród gęstych chaszczy nad rzeką.

Jakieś trzydzieści jardów przed nami rósł krzak, wysoki może na trzy stopy. Nagle zza krzaka powstała stara krowa bawołu, pokazując swój czarny zad. Wyszła na otwarty teren, machnęła ogonem, przeciągnęła się i wydała stłumiony ryk, który zabrzmiał jak ziewnięcie.

Cashmore powiedział: - Uważaj! - i jak wiewiórka zaczął się wspinać na drzewo cierniowe. Nie wszedł na nie nawet na wysokość czterech stóp, gdy ubranie tak mu się zaplątało w kolce, że nie mógł się ruszyć. Zaczął krzyczeć.

Krowa skoczyła, jakby jej osa wleciała pod ogon. Odbiegła może z pięćdziesiąt stóp, odwróciła się i z wahaniem skierowała ku nam. Wydawała się nieco rozdrażniona i niezwykle zaciekawiona. Nagle mnie zaatakowała. Strzeliłem do niej tuż poniżej rogów. Jęknęła i ruszyła galopem. Schowałem się szybko za drzewo Cashmore'a. Krowa zatrzymała się przy Cashmore, wbiła róg w jego dyndającą nogę i zdechła.

Ściągnąłem Cashmore'a, odcinając przytrzymujące go gałęzie. Krwawił obficie. Rozciąłem mu ubranie i wodą z manierki przemyłem paskudną dziurę z boku uda. Gdy zacząłem bandażować ranę, odkryłem, że ma złamane biodro. Osiemnaście miesięcy później wciąż chodził o kulach.

Bawoły występują niemal w całej Afryce. Strzelałem je w krainie Owambo, Angoli, Kongu, Rodezji, Tanganice, Kenii, Etiopii, Somali i w obu Kamerunach. Spotyka się je na bagnach i trzęsawiskach, w buszu i na trawiastych równinach. Poluje się na nie mniej więcej identycznie w każdym terenie, poza moczarami i grzęzawiskami, gdzie ciężkie podłoże spowalnia myśliwego, ale gdzie bawoły potrafią się przemieszczać niemal równie szybko jak gdzie indziej.

Bawoły boją się człowieka i uciekają przed nim, ale go nie rozpoznają. To ludzki zapach je niepokoi - i sposób, w jaki człowiek się do nich zbliża. Większość nowicjuszy podchodzi bawoły skradając się, czołgając, ukrywając za krzakami, przykucając w trawie - jakby

naśladowali Indian z *Pięcioksięgu przygód Sokolego Oka* Coopera.

Nic dziwnego, że bawół ucieka. Żadne inne zwierzę, nawet lew, nie zbliża się do niego w tak dziwaczny sposób.

Zawodowiec po prostu podchodzi do stada. Idzie wolno, nie czyniąc hałasu i nie odzywając się. Gdy stado okaże zdenerwowanie, myśliwy zatrzymuje się, żeby zwierzęta się uspokoiły, i kontynuuje marsz. Większość afrykańskich zwierząt pozwoli wyprostowanemu człowiekowi podejść na mniej więcej sześćdziesiąt jardów, zanim zdecydują, że lepiej chronić swą prywatność. Dotyczy to antylop, lwów, nosorożców i hipopotamów. Ale nie lampartów.

Kiedy zawodowcowi zależy na trofeum bawołu, przystaje na chwilę w odległości stu jardów i przez lornetkę wybiera tego osobnika, którego chce strzelić. Rogi muszą być duże, o potężnej rozłódze i symetryczne. Im lepsza linia, tym wyższa cena. Gdy myśliwy już wybierze zwierzę, szuka miejsca, w które będzie mógł celnie strzelić tak, jak lubi. Niektórzy celują w kręgosłup tuż przed biodrami. Inni wybierają miejsce nisko na komorę, na szerokość dłoni lub więcej za przednią nogą - w serce! Oczywiście nie usiłują strzelać w łeb. Zniszczyliby trofeum.

Drugi wymierzony strzał oddają po mniej więcej trzech sekundach. Tak długo trwa przeładowanie broni i ponowne wycelowanie. Również tak długo zajmuje bawołowi otrząśnięcie się ze wstrząsu po pierwszym pocisku, jeśli go nie położy. Większość zawodowców drugi pocisk umieszcza w piersi lub w łopatce.

Żaden profesjonalista nie próbuje sobie utrudniać strzelania do zwierzyny. Jeśli trawa nie jest zbyt wysoka, leży na brzuchu. Ewentualnie strzela na klęcząco, z łokciem na kolanie. Jeśli może przystawić lufę do pnia drzewa, to tak robi. Jeśli musi strzelać stojąc bez podpórki, nie przyjmuje nonszalanckiej postawy kogoś, kto strzela do pióra. Lewa ręka będzie wyważona, a nie wyciągnięta niemal na całą długość. Lewy łokieć wspiera się o wyższe żebra. Sztucer pewnie leży w dłoni. Myśliwy lewą ręką przyciąga kolbę do ramienia, a prawą repetuje broń. Nie puszcza kolby z ramienia. Przesuwa brodę o tyle, żeby nie zawadzała o odciągnięty zamek.

Jeśli bawół zaatakuje, zawodowiec oddaje *wymierzone strzały* co trzy sekundy, póki zwierzę nie padnie. Gdy zwierzę opuści łeb do ataku, myśliwy uskakuje w bok. Im szybciej bawół nachodzi, tym lepiej, gdyż szybka szarża przenosi zwierzę na tyle daleko, że łowca może przygotować się do następnego strzału, gdy bestia zawraca.

Ktoś kiedyś zarobi na bawołach masę pieniędzy, gdyż wbrew powszechnemu mniemaniu bawołu łatwo oswoić. Jest z niego pracowite zwierzę robocze i potrafi uciągnąć ładunek dwukrotnie większy niż wół. W rejonach, gdzie nie strzela się bawołów, czasami dają się one we znaki farmerom. Wchodzą na pola, a nawet pasą się w pobliżu domów i obór. Wśród ludu Owambo z Afryki Południowo-Zachodniej i wśród tubylców z południowo-zachodniej Etiopii bawoły są czasami wykorzystywane jako woły wierzchowe. Sztuka polega na tym, żeby schwytać takiego bawołu za młodu, traktować go dobrze i cierpliwie tresować.

Mięso młodego bawołu smakuje równie dobrze jak wołowina hereford. Między innymi dlatego sądzę - podobnie jak wielu starych wygów - że kowboje będą kiedyś doglądać stad mięsnych bawołów, jak teraz pilnują bydła w Teksasie.

Lwy też uważają, że bawoły są smaczne. Jednak nie przypuszczam, by narodził się lew wystarczająco nieroztropny, żeby sam zaatakował bawołu. Czasami spotyka się martwego lwa i martwego bawołu leżących obok siebie, co każe wierzyć, że lwom zdarza się atakować samotnie. Trzy lub cztery razy natknąłem się na takie ścierwa, ale za każdym razem tropy wokół miejsca walki wskazywały, że lew miał pomoc. W jednym przypadku dwa lwy zaatakowały bawołu. W drugim pięć lwów współpracowało przy ataku. W trzecim były trzy lwy.

Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego lwy, które przeżyły, nie zjadły padłego bawołu. Może były za mocno ranne, żeby pozostać na miejscu. Nie tropiłem ich zbyt daleko po śladach krwi, ale było wiele dowodów, że niektóre z wycofujących się lwów zostały mocno poturbowane.

W moim pierwszym roku, 1911, gdy przyuczałem się do zawodu myśliwego, mój mistrz, Nicobar Jones, leżał w gorączce i musiałem

polować sam. Moim tropicielem był stary Zulus zwany Umgugundhlova (ryk słonia). Znajdowaliśmy się nad rzeką Chobe, w rejonie Caprivi Stripe, wąskiego kawałka ziemi, który wcina się w Rodezję Północną wzdłuż granicy z Angolą. Obszar ten ma około dwudziestu pięciu mil szerokości i stu siedemdziesięciu pięciu długości. Zdarzało się, że zwierzyna, którą strzelałem w Afryce Południowo-Zachodniej, padała w Angoli lub w Rodezji. Z tego rodzaju incydentów wynikały dziwaczne komplikacje, ale to już inna historia.

W każdym razie był styczeń. Padały ulewne deszcze i zamieniały niziny w jeziora. Lwy polowały całymi nocami. Ryczały w burzliwe noce. Był zmierzch. Przemoknięty i przygnębiony szedłem za Umgugundhlova wzdłuż zalesionego urwiska, kierując się do obozu.

Nagle Umgugundhlova zatrzymał się i wskazał w dół stoku. Samica lwa, czarna w nikłym świetle, skradała się na brzuchu, jak kot domowy podchodzący ptaka. Uniosłem sztucer, ale Umgugundhlova potrząsnął głową i wskazał przed siebie. Nic nie dostrzegłem. Przyłożył kciuki do uszu, wystawiając palce wskazujące jak rogi. Chodziło mu o bawołu. Przyglądałem się mrocznemu zboczowi, aż wszędzie zacząłem widzieć bawoły. Pytającym gestem pokazałem na dwa lub trzy punkty, ale Umgugundhlova wystawił jeden palec - jeden bawół.

Lwica tak mocno przygłnęła do ziemi, że musiała sobie otrzeć brzuch. Tylne łapy podciągnęła pod siebie, zbierając się do skoku. Ogon sterczał jej jak sztywna lina. W tej samej chwili zaryczał inny lew. Bawół ryknął z przerażeniem. W ułamku sekundy ujrzałem straszną akcję - tańczące groteskowo czarne sylwetki nagłej śmierci.

Lwica skoczyła na bok bawołu, niemal na nim jadąc. Samiec stał na zadnich nogach i atakował łeb. Ryczący bawół padł na kolana, ale natychmiast się podniósł, wierzgając wysoko, wymachując kopytami w powietrzu. Rzucił zadem, skręcił ciało i natarł na samca obiema przednimi nogami, kładąc wielkiego kocura na ziemi. Następnie, z wciąż drapiącą i gryzącą go lwicą, przyklęknął i ruchem głowy w bok wbił róg w pierś swej ofiary.

Przez chwilę miał kłopot z wyciągnięciem rogu, ale gdy mu się to udało, zatoczył całym ciałem szaleńczy krąg. Strącił lwicę, lecz ta ponownie wskoczyła mu na grzbiet i wgryzła się weń jak ogromny

kleszcz. Nie wiem, co by się mogło dalej wydarzyć, bo strzeliłem lwicy w łeb. Na dźwięk wystrzału bawół ruszył z kopyta i niemal natychmiast pochłonęła go ciemność.

Samiec lwa jeszcze żył, ale zdychał szybko. Umgugundhlova skrócił mu cierpienie kilkoma pchnięciami krótkiej włóczni. Powiedział po zulusku:

- Puste brzuchy sprawiają, że lwy są zbyt odważne. Samiec lwa bał się bawołu, ale samica nakłoniła go do zdobycia pożywienia.

To prawda. Samice wszystkich wielkich zwierząt mają więcej odwagi niż samce.

J. Fred Russell był aktorem. Przyjechał do Afryki z jakąś ekipą filmową i wyleciał z pracy. Nie chciał wracać do domu, do Hollywood, bez dowodów, że sprawdza się jako myśliwy. Wynajął mnie, żebym zabrał jego i jego operatora, Schmidta, na polowanie, by można go było sfilmować jako bohatera.

Russell udawał bez przerwy, jak to aktorzy. Schmidt wyglądał jak zbir.

Strzelałem lwy, lamparty, nosorożce i kudu, a Schmidt robił zdjęcia Russellowi pozującemu przy każdej zdobyczy.

Pewnego dnia Russell skierował .375 w stronę bawołu, zamknął oczy i pociągnął za spust. Bawół padł na miejscu. Russell był pijany ze szczęścia. Kazał Schmidtowi przygotować kamerę. Następnie ułożył pewien scenariusz. Spogląda spod palmy jak Indianin w filmie *End of the Trail*. Mierzy ze sztucera. Podbiega do martwego zwierzęcia.

Martwy bawół leżał płasko na boku. Russell skoczył z rozpędu i dwiema nogami wylądował na piersi zwierzęcia. Bawół wydał agonalny ryk, który zamarł ze świstem. To ciężar Russella wypchnął powietrze z płuc.

Ale nim głos bawołu ucichł, Russell, rzuciwszy sztucer na bok, uciekł w zarośla. Zmykał w podskokach jak kangur. Schmidt cały czas filmował.

Schmidt odmówił oddania tego filmu. Trzymał go w swoim namiocie i dawał do zrozumienia, że po powrocie do domu ma go zamiar pokazać światu. Russellowi udało się jednak zdobyć taśmę i pewnej nocy zniknął z dwoma masajskimi chłopakami. Słyszałem,

że później widziano go w Nairobi, więc pewnie jakoś się wydostał z Afryki.

Jeśli chcecie zarobić trochę grosza, strzelcie bawołu z rozłogą pięćdziesiąt siedem cali lub większą. Po barach w Nairobi i w Johannesburgu zawsze kręci się ponad setka myśliwych-pozerów, którzy zapłacą wam tysiąc dolarów za rekordowe rogi bawołu. Słyszałem, że ostatni rekord to pięćdziesiąt sześć i pół cala. Ci bogaci myśliwiczajpiarze naprawdę płacą za trofea, które mają świadczyć, jacy wspaniali z nich łowcy.

Dwa lub trzy lata temu proponowano mi pięćset dolarów za parę rogów elanda o długości trzydziestu ośmiu cali, mierzoną po prostej, i czterysta dolarów za parę rogów antylopy końskiej o długości trzydziestu sześciu cali, mierzoną po łuku. Pięćdziesięcioczerocalowe rogi szablrogiej są warte pięćset dolarów, a para sześćdziesięciosiedmicalowych rogów kudu - dwa tysiące dolarów.

Jednak rekordowe rogi są rzadkością.

Węże

Pewnie jest to odruch obronny, ale ludzie na ogół wyśmiewają przerażające historie o węzach jako fantazję. Jednak chyba nawet obdarzony najbujniejszą wyobraźnią kłamca miałby problemy ze stworzeniem bajek, które mogłyby się równać z zadziwiającymi, śmiertelnymi poczynaniami afrykańskich pytonów, żmij, kobr i mamb.

Jeśli wybieracie się na polowanie w Afryce, prawdopodobieństwo, że zostaniecie ukąszeni przez węża, jest *trzy razy większe* niż to, że zabije was dzikie zwierzę. Trzeba być niezwykle zwinnym, żeby uniknąć szybkiego jak błyskawica ataku rozzłoszczonej, syczącej kobry. Nikt nie potrafi uciekać tak szybko, by umknąć przed napaścią dwunastostopowej błyszczącej czarnej mamby, „Węża, Który Chodzi Na Ogonie” lub, jak mówią o nim Zulusi, *Muriti-Wa-Lesu* (Cienia Śmierci). Na szczęście ten zabójca, występujący głównie w południowej i środkowej Afryce, rzadko atakuje ludzi poza okresem godowym i sytuacją, gdy odetnie mu się drogę do kryjówki.

Zapiski wojskowe armii brytyjskiej z czasów wojen zuluskich wspominają o oficerze jadącym konno, który został ukąszony przez czarną mambę i zmarł po kilku minutach.

Jest też zielona mamba, mająca sześć stóp długości, wyglądająca jak rzemień mieszkanka drzew, która zwisa z gałęzi nad szlakiem i wbija wam zęby w kark, gdy pod nią przechodzicie. Nie znam nikogo ukąszonego przez tego małego napastnika, kto by przeżył dłużej niż godzinę.

W Afryce Południowej występuje wąż plujący jadem, czarna kobra z dwiema białymi obrączkami na piersi. Jest szybka i drapieżna; zapata zęby w ciele i wgryza się - pięć ugryzień jedno po drugim w jedną sekundę, podwójny rząd pięciu ran. A za każdym ugryzieniem wstrzykuje w ranę jad. Jest bardziej niebezpieczna niż inne kobry, ponieważ nie zawsze czeka, aż się zbliżycie, ale cienkimi strumieniami strzyka ku wam jadem. Dobrze celuje i może trafić człowieka w oko z odległości sześciu jardów. Gdy mierzysz się z kobrami, zawsze miej na sobie gogle lub okulary przeciwsłoneczne. Kiedy jad dostanie się do oka, można oślepnąć albo umrzeć.

Większość znawców gadów klasyfikuje zieloną i czarną mambę jako różnych członków tej samej rodziny. Nie zgadzam się z tym. Nigdy nie widziałem czarnej mamby krótszej niż pięć stóp ani zielonej mamby o długości ponad sześciu stóp. Uważam, że mamba do pewnego wieku jest zielona, po czym zmienia barwę na oliwkowo-czarną. W chwili zmiany koloru zmienia również zwyczaje, przenosząc się z drzew na wzgórza i równiny. Jednakże w dorosłym, czarnym stadium również nieźle sobie radzi na drzewie.

Jak szybka jest czarna mamba? „Eksperci” (Boże, miej ich w swojej opiece!) prowadzą wielkie dyskusje na ten temat. Ocenia się, że może poruszać się z prędkością od czterech do trzydziestu pięciu mil na godzinę.

Według mnie maksymalna szybkość czarnej mamby to około dwudziestu pięciu mil na godzinę. Nigdy nie mierzyłem mambie czasu stoperem, ale mierzyłem go jaszczurce, która biegła nieco ponad dwadzieścia mil na godzinę. Pewnego letniego popołudnia w okręgu Potgietersrust w Transwalu widziałem, jak czarna mamba gonila taką samą jaszczurkę. Jaszczurka w chwili startu miała pięćdziesiąt stóp przewagi, ale ten zmykający mały łobuziak znalazł się w paszczy węża, zanim zdążył przebiec siedemdziesiąt jardów.

Jak mocno mamba uderza? Tak mocno, że jest w stanie powalić na ziemię człowieka. Wiem o jednym białym osiemnastolatku, którego atakująca czarna mamba przewróciła i który zmarł w ciągu godziny. Wiem o piętnastoletnim czarnym chłopcu, który również został przewrócony i umarł w ciągu dziesięciu minut.

Jak drapieżna może być rozczłuszczona czarna mamba? Oom Paul Kruger, pierwszy prezydent Republiki Transwalu, opowiadał mi, że pewnego dnia, gdy prowadził patrol przeciw Brytyjczykom, czarna mamba wskoczyła pomiędzy jego ludzi, trzech ukąsiła śmiertelnie, po czym odwróciła się w stronę dwóch psów, które ją goniły, i je też ugryzła. One również pożegnały się z życiem. Mamba uciekła.

W krainie Zulusów krąży taka historia: pewna mamba zabiła tyłu ludzi, którzy przechodzili pod drzewem, skąd atakowała, że zwołano naradę wojenną, by wymyślić, jak ją zgładzić. Próbowano bezskutecznie kilku metod, a ludzie nadal ginęli od ukąszeń mamby w twarz lub w szyję. Problem rozwiązała kobieta.

Ugotowała duży gar kukurydzianej papki i gdy strawa była jeszcze gorąca, umieściła rondel na zawiniątku na głowie i poszła na szlak. Mamba wepchnęła głowę w gorącą papkę i natychmiast była *pelele* (skończona).

W Port Elizabeth jest farma węży, gdzie ponad dziesięć tysięcy odwiedzających miesięcznie przygląda się, jak miejscowy personel, ubrany w rękawiczki, obchodzi się z różnymi rodzajami jadowitych węży - żmijami, mambami, *boomslangami* i całą masą innych niebezpiecznych stworzeń. Niekiedy ktoś z personelu zostaje ukąszony. O ile od razu nie wstrzyknie mu się ogólnej surowicy przeciwko jadowi węży, umiera. Jeśli iniekcja po ukąszeniu mamby jest spóźniona choćby o minutę, jest ono śmiertelne. Jad żmii nie działa tak szybko. Można ocalić życie, jeśli zastrzyk jest opóźniony o kilka minut, pod warunkiem jednak, że z rany upuści się krew i ustami wysse jad.

Ludzkie usta ocaliły więcej ludzi ukąszonych przez węże niż wszelkie surowice. I tak będzie nadal, gdyż miliony krajowców prawdopodobnie nigdy nie usłyszą o surowicy.

Zanim wynaleziono ogólną surowicę skuteczną przeciwko jadom wszystkich węży, „jad nerwowy” mamby wymagał innej surowicy niż „jad krwi” żmij. Ludzie nosili obydwa rodzaje, ale czasami nie potrafili rozpoznać, jaki wąż ich ukąsił - i używali niewłaściwej surowicy. Znam przypadek mężczyzny z Afryki Zachodniej, który woził ze sobą jedynie surowicę przeciwko kobrze, a który zmarł na skutek ukąszenia przez żmiję nosorogą.

Surowice sporządza się pobierając jad od węży, a następnie podając go w małych ilościach koniom, aż staną się na niego odporne. Potem z kolei pobiera się krew koni i osocze tej krwi jest lekarstwem na ukąszenia węży.

Pobieranie jadu od węży to paskudna praca. Osoba, która to robi, chwytła węża za szyję, a jego ciało unieruchamia pod pachą. Drugą ręką trzyma blisko pyska węża duże szklane naczynie. Wąż atakuje. Jego jad spływa do naczynia - 1/250 uncji. Ponieważ jad od węży pobiera się tylko raz w miesiącu przez siedem miesięcy w roku, by uzyskać funt jadu, potrzeba wielu węży.

Samo wstrzyknięcie surowicy nie wystarcza, aby zapobiec śmierci. Trzeba krępulcem wstrzymać krążenie krwi między ranami i sercem. W każdej ranie należy wykonać dwa nacięcia pod kątem prostym na głębokość wbicia zębów i wyssać zatrutą krew ustami lub odpowiednią ssawką. Za każdym razem gdy się wypluwa jad, powinno się przepłukać usta roztworem nadmanganianu potasu. Gdy rana już jest wyssana i przemyta, można usunąć krępulec.

Jest niemal pewne, że pacjent będzie okazywał oznaki zawrotów głowy i osłabienia. Alkohol nie jest lekiem na ukąszenia węży, ale - w małych dawkach - stymuluje pracę serca, więc rekonwalescentowi można podawać od czasu do czasu małe porcje whisky lub brandy.

Należy trzymać rany otwarte i upuszczać krew przez piętnaście dni, nawet jeśli wszystkie objawy zatrucia jadem ustąpiły.

Chyba do śmierci będą się zlewał potem za każdym razem, jak sobie przypomnę poranek, gdy zabiłem swoją pierwszą mambę. Było to w 1909 roku, miałem wtedy szesnaście lat. Mojego ojca wezwano do Potgietersrust, żeby zobaczył, co można zrobić, by opanować epidemię gorączki, która zapanowała pośród plemienia Szangaan zamieszkującego ten okręg. Nie pamiętam, dlaczego zabrał mnie ze sobą - pewnie, żebym nie narobił jakichś kłopotów.

Któregoś ranka osła z naszej karawany ukąsiła mamba. Osioł spuchł tak, że stał się dwa razy większy, i zdechł w nocy. Nabrałem chętki, żeby zabić jednego z tych zdradzieckich węży, i pożyczyłem dubeltówkę od farmera, który się nazywał Philip Amm.

Wiedziałem, że nie powinienem nic wspominać na temat mamby, więc dałem do zrozumienia, że idę na dujkera - niewielką, trzydziestopięcioletnią antylopę. Następnego ranka, cztery godziny i jakieś sześć mil po tym, jak wyruszyłem, wszedłem w trawę o wysokości dwóch stóp. Zacząłem się denerwować. Gdy dojrzałem w pobliżu płaską skałę, wysoką na jakieś cztery stopy, skierowałem się ku niej z zamiarem zaczerpnięcia oddechu, zanim ruszę w drogę powrotną.

Znajdowałem się kilka kroków od skały, gdy obok mnie stanęły dwie mamby - jedna uniosła głowę o stopę ponad trawę, druga niemal dwie stopy. Byłem tak przerażony, że nawet nie wiem, jak strzeliłem - ale strzeliłem. Obydwie mamby zniknęły. Pamiętam, że potem znalazłem się na szczycie skały i patrzyłem, jak mniejszy z węży się miota. Po drugim nie było śladu. Ponownie strzeliłem do rannej mamby. Wstrząsana serią słabych konwulsji przekręciła się brzuchem do góry. Później jedynym ruchem było drganie jej ogona.

Przerażony niemal do utraty zmysłów, siedziałem na tej skałe chyba z godzinę. Nie ośmielałem się z niej zejść ze strachu, że wróci druga mamba.

Usiłowałem się uspokoić obserwując, co dzieje się wokół mnie. Nektarnik krążył z wrzaskiem. Jakiś żuczek stukał odwołaniem w ziemię obok zabitego węża. Trawa uginająca się od wiatru zmieniała barwę z brązowej na srebrną, po czym, gdy powiew ustał, znów na brązową. Widoczne poprzez mgiełkę upału wzgórze chwilami były ciemnofioletowe, a chwilami w ogóle zniknęły. Odchyliłem głowę i spojrzałem na niebo. Nie było ani jednej chmurki.

Znów popatrzyłem na lśniący brzuch węża i pot strugami zalał mi dłonie. Druga mamba - samiec, jak sądziłem po jej rozmiarze - okręcała się wokół martwego osobnika, popychając go pyskiem.

Zadrżałem tak mocno, że lufa dubeltówki szczęknęła o skałę. Szybciej, niż myślałem, ta czarna mamba, wijąc się, uniosła głowę na cztery stopy. Pisnąłem i cofnąłem się na sam brzeg skały. Mamba rzuciła się do przodu i przyglądała mi się, wystawiwszy ponad krawędź skały jedynie głowę.

Strzeliłem. Głowa zniknęła. Przez długą chwilę bałem się porużyć. Wiedziałem, że wąż potrafiłby się wślizgnąć na skałę w niecałą

sekundę. Po jakimś czasie, z bronią gotową do strzału, stawiając niepewne kroki, ruszyłem po powierzchni głązu. Samiec, pozbawiony głowy, leżał w poprzek ciała swej partnerki.

Wciąż bałem się zejść ze skały. Było już późno po południu, gdy zdecydowałem się zaryzykować. Chciałem jeszcze raz spojrzeć na mamby. Obydwie zniknęły!

Pewnie bym umarł z głodu na tym kamieniu, gdybym nie zobaczył pięciu przechodzących Kafrów. Zawołałem ich. Kiedy zbliżyli się na tyle, że rozumieli, co mówię, opowiedziałem im o wężach. Natychmiast rozproszyli się i od tego momentu szli ku mnie, krzyżąc i mówiąc trawę maczugami.

Wciąż siedząc na szczycie skały, spytałem, gdzie podziały się węże. Jeden z Kafrów sięgnął do podnóża skały i wyciągnął węże za ogony. Powiedział, że szakal je ściągnął. Być może, ale gdy śnią mi się nocami, wciąż mam wrażenie, że zniknęły za sprawą czarów.

Powszechnie przyjęta, a nieprawdziwa opinia na temat węży jest taka, że osobniki jadowite mają szerokie, płaskie głowy i grube ogony. Niektóre owszem, szczególnie żmije, ale wiele śmiertelnie groźnych węży ma szczupłe ciało, małą główkę i spiczasty ogon. Na świecie nie ma pewnie zgrabniejszego węża niż mamba.

Innym nieporozumieniem jest to, że wszystkie kobry mają rodzaj kaptura, który nadyma się, gdy wąż jest rozgniewany. To również nie jest prawdą. Mamby należą do tej samej rodziny co kobry, a nie mają nawet namiastki kaptura, mimo że potrafią nieco nadać szyję poprzez rozszerzenie tchawicy.

Kobry są najbardziej agresywnymi i najbardziej nieposkromionymi ze wszystkich węży. W Afryce jest ich dziewięć gatunków: kobra egipska, przylądkowa, czarno-biała, czarnoszyja, „żółtogłowa”, kobra Golda, kobra Günthera oraz oczywiście mamba i kobra plująca.

Wielekroć stałem z dubeltówką dwunastką mniej niż dziesięć stóp od kobry plującej, a fotografik Bob Schlick robił tryskającemu jadem potworowi zdjęcia przez szklaną płytkę przymocowaną z przodu aparatu.

Schlick zerkał uradowany zza szerokich gogli za każdym razem, gdy kobra stawała sztywno, rozkładała kaptur i cofała dolną szczękę,

tak że zęby sterczały obnażone do ataku. Schlick machał ręką. Wąż odchyłał łeb, kierował końcówki zębów w stronę aparatu i wypuszczał dwa wąskie strumienie jadu. Czasami opryskiwały szklaną tarczę aparatu, czasami gogle Schlicka, czasami jedno i drugie.

Te fotografowane kobry wyglądały tak złowrogo, tak szatańsko, że trudno mi było się powstrzymać, żeby nie roznieść ich na strzępy. Niekiedy istotnie nie wytrzymałem, ku rozdrażnieniu Schlicka.

Często natykałem się na kobry czarnoszyje. Słyszałem o licznych krajowcach, których te kobry uśmierciły, ale o niewielu białych. Krótkie zęby kobry nie są w stanie przebić ubrania odpowiedniej grubości. Niemniej jednak jest to niebezpieczny gość. Czasami rzuca się niesprowokowany. Jest jak błyskawica i może się zwinąć, wspiąć, zaatakować i odskoczyć w czasie krótszym od sekundy. Wszystkie kobry kęsają jak buldogi: wbijają zęby i *zaczynają żuć*.

Ich dolna szczęka to dwie w zasadzie proste kości, połączone na końcach wiązadłem przypominającym elastyczną gumkę. Każda ze stron tej szczęki może się poruszać niezależnie i żucie odbywa się poprzez przesuwanie zagiętych zębów po ciele ofiary. Przy każdym ruchu wylatuje jad. Węże zwalniają uchwyt po czterech czy pięciu sekundach, gdy dokładnie wypełnią swe zadanie.

Chyba żadne inne stworzenie nie ma tak ohydneho usposobienia jak kobra. Kobra królewska z Indii jest najbardziej znana z powodu charakterystycznego fantazyjnego wzoru na kapturze, ale mniej spektakularne kobry afrykańskie są równie złośliwe.

Pewnego dnia, gdy szedłem przez dżunglę w Ugandzie, początkowo w ogóle nie czułem, jak kobra zaczęła mi się wgryzać nad kostką w prawą nogawkę spodni. Kopnąłem gwałtownie. Kobra nie spadła. Zakołysałem nogą. Wąż wciąż się trzymał, a jego ciało wirowało jak bat. W końcu przytrzymałem go, nadeptując mu na ogon. Wyrwałem mu nogawkę z zębów. Wąż jak strzała zniknął w poszyciu.

Minutę później znów mnie atakował. Uniósł się z boku ścieżki, nadał kaptur i zasyczał, jak pęknięta rurka z parą. Wiedząc, że moje ubranie stanowi wystarczające zabezpieczenie, ruszyłem ku niemu.

Zaatakował bezskutecznie, ale siła, z jaką się rzucił, sprawiła, że pojechał kilkanaście cali brzuchem po ziemi. Natychmiast zwinął się ponownie, wspiął i natarł jeszcze raz. Cofnąłem nogę poza jego zasięg. Atak ponownie nie odniósł skutku i kobra podpełzła ku mnie. Nastąpiła powtórka akcji, aż wąż przeleciał w poprzek ścieżki.

Odszedłem kilka kroków, a kobra rzuciła się za mną. Gdy była blisko, zatrzymała się, wspięła wysoko i zasyczała nienawistnie. Zdzieliłem ją lufą sztucera.

Ci śmiałkowie, którzy wędrują przez Afrykę w krótkich spodniach i z odkrytymi kolanami, sami proszą o kłopoty. I czasami te prośby zostają spełnione. W Afryce jest więcej jadowitych węży, niż się powszechnie uważa. Starzy myśliwi utrzymują, że liczba węży afrykańskich jest przynajmniej dziesięciokrotnie większa, aniżeli wykazują powszechne dane.

Nikt, bez względu na narodowość, nie chce przyznać, że w jego kraju jest znacznie więcej węży, niż mogłoby się wydawać. Anglicy często są zaszokowani, kiedy im się mówi, że ich piękną wyspę zamieszkuje śmiertelna żmija zygzakowata. Irlandczycy zaprzeczają zawzięcie, klnąc przy tym czasami, by w ich rzekomo pozbawionej węży Irlandii często zabijało się żmije.

Pod koniec drugiej wojny światowej polowałem na jelenie w południowej Kalifornii. Wszyscy uczestnicy polowania byli doświadczonymi myśliwymi, którzy przewędrowali cały zachód ze sztucерem i z wędką. Pewnego wieczoru przy smażonych ziemniakach i pieczonym króliku rozmowa zeszała na grzechotniki. Jeden posiwały Nemrod* oznajmił:

* Nemrod - postać biblijna, w Księdze Rodzaju pierwszy król ludzkości, słynny łowca; uosobienie zagorzałego i niezrównanego myśliwego.

- W Ameryce występują trzy gatunki grzechotników.
- Pięć - sprzeciwił się ktoś.

Spierali się i nie mogli dojść do porozumienia. Ktoś zwrócił się do mnie:

- Są grzechotniki diamentowe, rogate, górskie, pospolite i kalifornijskie. Znasz jeszcze jakieś inne?

- Cóż, zajmowałem się grzechotnikami - oznajmiłem - i według książek w Ameryce występuje ich dwadzieścia sześć gatunków, z czego przynajmniej trzynaście tutaj, w Kalifornii.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jeśli chodzi o węże, ludzie na ogół są niedowiarkami.

Jednak książki się nie mylą. W Ameryce Północnej występuje dwadzieścia sześć gatunków grzechotników.

Kobry afrykańskie składają jaja, około dwudziestu jednocześnie, i nowo wyklute potomstwo jest zupełnie samodzielne. Udowadnia to, znikając natychmiast. Młode wiedzą, że są małe i przez to stanowią łatwą zdobycz dla wrogów, między innymi dla węży - kanibali. Póki nie urosną, człowiek rzadko ma możliwość je oglądać. Wszystkie żmije, oprócz żmii przyładkowej, rodzą żywe młode, na ogół piętnaście naraz. Te śmiertelne małe lotry znikają podobnie jak młode kobry.

Pomijając porę łęgu, niewiele węży pokazuje się człowiekowi, o ile mogą umknąć niezauważone. Jestem pewien, że na każdego węża, którego się widzi, przypada z tuzin takich, które się mija, nawet o tym nie wiedząc.

Kiedyś w południowej Etiopii tropiłem rannego lamparta i wszedłem do suchego, niemal pozbawionego roślinności, skalistego wąwozu, który kończył się ślepo jakieś siedemdziesiąt pięć jardów od wejścia. Lamparta nie było. Gdy tam wchodziłem, zobaczyłem, jak wąż wwierca się w szczelinę w ścianie wąwozu. Spostrzegłem drugiego, który nikał za skałą. To wszystko. Dwa węże.

Następnego ranka, gdy wróciłem do wąwozu, zobaczyłem że krajowcy wzniecili w jego końcu ogień. Powiew z gór popychał niewielki płomień ku ujściu wąwozu. Płomień przeskakiwał z nagłymi rozbłyskami z jednej lichej kępy trawy na drugą. Gdzieniedzie zatrzymywał się, żeby pofiglować na kawałku wyschniętego drewna czy na liściach. Przed pełzającym ogniem wiły się węże duże i małe, nieszkodliwe i jadowite. Niektóre ześlizgiwały się po ścianach wąwozu, inne skakały. Jaszczurki pędziły jedna przez drugą. Żuki i robaki szaleńczo przebierały nogami. Węże przewalały się nad nimi.

W poprzek wlotu do wąwozu tubylcy wykopali rów głęboki mniej więcej na trzy stopy, a szeroki na dwie. Węże wpadały tam i podskakiwały, aż było ich w rowie ze dwieście. Ogień wygasł, ale dym nadal unosił się nad ziemią. Węże wiły się. Niektóre kulily się w kłębek. Co dziwne, żaden nie usiłował się wydostać.

Tubylcy, w większości Kafrowie, zasypali dół, chowając węże żywcem. Powiedzieli, że dwa lub trzy dni wcześniej jakiś mężczyzna został ukąszony w tym wężoziole i to jest ich odwet.

Rzecz sprowadza się do tego, że w miejscu, gdzie widziałem zaledwie dwa węże, było ich dwieście.

Człowiek może podziwiać grację i odwagę kobry, ale niewielu jest takich, którzy nie wzdrygają się na widok wielkogłowej, grubej żmii o krótkim ogonie. Moim zdaniem żmije są najbrzydszymi stworzeniami na ziemi, mimo że niektóre są pięknie ubarwione. W przeciwieństwie do kobry, która kąsa i wgryza się, by swymi krótkimi zębami wyrządzić jak najwięcej szkody, żmija rozdziawia szeroko szczęki - na jakieś cztery cale. Jej długie zęby jadowe odginają się i kierują na zewnątrz. Żmija, poprzez nogawkę spodni i bieliznę, wprowadza je głęboko w ciało. Następnie zamyka szczęki, ściskając gruczoły z jadem i wstrzykując go do rany przez kanaliki w zębach.

Widziałem jedynie cztery gatunki żmij: trzystopową, cienką, jajorodną, żywiącą się żabami żmiję przyładkową; pięknie wzorzystą i ubarwioną, czterostopową żmiję nosorogą; żmiję gabońską z ohydłą głową oraz syczącą głośno, płowoczną, czterostopową żmiję sykliwą, występującą niemal w całej Afryce.

Tym, co mnie przeraża u żmij, jest fakt, że atakują z szybkością światła, chociaż normalnie poruszają się ospale i niemrawo.

W krainie Herero w Afryce Południowo-Zachodniej miałem przygody z poruszającą się bokiem żmiją gabońską. Pierwsza, jaką w życiu zobaczyłem, leżała zwinięta w piasku, a na powierzchnię wystawały jej jedynie białawe, kocie, sterczące w górę oczka. Próbowała mnie przetrzymać wzrokiem. Wytrzymałem. Poczula się nieswojo i uciekła groteskowymi bocznymi zakolami, z ciałem przesuwającym się ukośnie w stosunku do kierunku ustawienia głowy.

Żmija gabońską jest stonowaną paletą koloru płowego, brązowego i fioletowego. Pod oczami ma dwa ciemne paski. Jej paskudna, płaska, ciemnobezowa głowa jest niemal okrągła; wygląda jak potworna, złośliwa, uśmiechająca się zimno grudka, która wyduje się o wiele

za ciężka dla cienkiej szyjki. Raz zmierzyłem trzydziestocalowego osobnika, który miał sześć i pół cala obwodu w brzuchu, trzycalowy ogon, a resztę, pomijając głowę, stanowiło opasłe ciało.

Większość węży jest gładka w dotyku. Oprócz żmii nosorogiej z zachodniej części Afryki Środkowej. Jej łuski są zakończone małymi kolcami. Kiedyś taka żmija owinęła mi się wokół ręki i kolce pokancerowały mi skórę niemal równie boleśnie, jak niegdyś język żyrafy.

Żmija nosoroga ma na nosie dwa rogi. Z powodu zachwycających barw jest ulubienicą ludzi badających gady. Nie da się jej dobrze opisać. Jaskrawe plamy błękitu, oranżu, żółci, ciemnej czerwieni i czerni! Głowę ma niebieską. Czarna strzałka na głowie jest skierowana ku żółtym rogom. Temperamentem i zwyczajami przypomina inne żmije.

Żmije sykliwe są podobne do grzechotników. Można się na nie nakłuć w całej Afryce tropikalnej. Ponieważ są najliczniejszymi z węży jadowitych, od ich ukąszeń zginęło najwięcej ludzi.

Żmija przyładkowa występuje przede wszystkim na południowym krańcu Afryki i jest przykładem złych wyobrażeń na temat węży niejadowitych: ma cienkie ciało, wąską głowę i spiczasty ogon. Wygląda niewinnie, ale to niebezpieczny łotr.

Największym i najbardziej fascynującym wężem afrykańskim jest pyton skalny, długi na osiemnaście stóp. Jest to dziwny stwór, czasami bardziej złośliwy niż znerwicowany szerszeń, a czasami łagodny jak królik. Niekiedy zabija ludzi, ale nigdy ich nie połyka. Są zbyt wielcy. Według krajowców, czasami robi sobie ucztę z dziecka, ale na ogół żywi się małymi antylopami, zającami, młodymi dzikimi świniami i wszelkimi gryzoniami i ptakami, jakie uda mu się złapać.

Jak wszystkie duszyciele, zabija poprzez ściśnięcie ofiary. Potrafi tak skutecznie zgnieść trzydziestopięcioletnią świnię, że nie ma problemu z przepchnięciem jej przez swój elastyczny przełyk. Połyka ofiarę głową do przodu, wciągając ją do otworu gębowego zakrzywionymi zębami. Później następuje seria skurczów szczęk, szyi i górnej części ciała. Czasami, gdy ofiara jest zbyt duża, żeby ją łagodnie

przelknąć, pyton wytrzeszcza oczy, a boki szyi nadymają mu się, jak kaptur kobry. Niekiedy przestaje, żeby zaczerpnąć oddechu poprzez wentyl, który tworzy sobie pomiędzy dolną szczęką i zdobyczą trzymaną w paszczy. Gdy ofiara w końcu spocznie w brzuchu pytona, wąż ziewa jak człowiek gwałtownie wyrwany ze snu, umieszcza na miejscu przesuniętą szczękę i przez dwa tygodnie nie potrzebuje jedzenia.

Dawno, dawno temu pytony poruszały się na nogach. Wciąż je mają w postaci dwóch rogowych wyrostków w miejscu, gdzie powinny się znajdować tylne kończyny. Wykorzystują je nawet, szczególnie do wspinaczki. Podobnie jak wszystkie węże, pytony nie mają uszu, słuchają językiem. Nie tylko słyszą, ale wychwytyją drgania dźwiękowe, niewyczuwalne przez ludzi.

Pytony składają jaja i tworzą gniazdo owijając się wokół jaj i utrzymując ich temperaturę w wysokości siedemdziesięciu pięciu stopni Fahrenheita*. Niektórzy myśliwi utrzymują, że widzieli legi liczące dziewięćdziesiąt do stu jaj. Ja nigdy nie widziałem powyżej sześćdziesięciu; zazwyczaj dwadzieścia pięć lub trzydzieści.

* Tj. ok. 24°C.

Pewnego popołudnia w 1922 siedziałem na ziemi w ponurej, skalistej dolinie w Rodezji Północnej niemal bezradny, ze zwichniętą kostką, a Ubusuku, mój zuluski tropiciel, staczał śmiertelną walkę z największym pytonem, jakiego widziałem.

Spadłem z wysokiej skały, celując do dzikiej świni. Kostka bolała mnie tak, że ledwo mogłem mówić. Ubusuku, chcąc mnie gdzieś ulokować na noc, wybałał pobliskie nadbrzeżne urwisko i znalazł jaskinię. Zaniósł mnie do jej wejścia, posadził i wszedł do środka. Niemal natychmiast wybiegł, zataczając się w uścisku pytona.

Pyton owinał się wokół Zulusa pojedynczym zwojem, unieruchamiając mu jedną rękę. Palce wolnej ręki Ubusuku zaciskały się wokół grubej szyi węża. Jakimś trafem dziryt Ubusuku zaklinował się między zwojem pytona a plecami Zulusa. Ostrze sterczało mu nad głową jak indiańskie pióro.

Przy tak gwałtownej szarpaninie mój sztucer był bezużyteczny. Rewolwer przydałby się jeszcze mniej, gdyż nigdy nie potrafiłem z

niego celnie strzelać. Gdyby Zulus nie był silny jak bawół, pyton szybko zmiażdżyłby mu kości. Wąż uderzał pyskiem w twarz Ubusuku, ale napięte mięśnie prawego ramienia czarnego sprawiały, że uderzenia te nie odnosiły skutku.

Wokół rosły pojedyncze, karłowate krzaki cierniowe. Pyton wywijał ogonem, szukając punktu oparcia. Wiedziałem, że gdy chwyci się czegoś, będzie już po Ubusuku. Obydwaj walczący skakali dziko. Wyciągnąłem z pochwy nóż i przykucnąłem najbliżej, jak mogłem, jednak poruszali się o wiele za szybko, jak na moje możliwości.

Ogon węża zahaczył o krzak. Pyton natychmiast zacieśnił uchwyt. Usłyszałem jęk Ubusuku. Dosłownie rzuciłem się na krzak i ze świstem obciąłem nożem ogon węża. Pyton wypuścił Ubusuku, zawirował i uderzył pyskiem w krwawiącą końcówkę ogona. Zulus zachwiał się, podniósł dziryty i gdy pyton ponownie ruszył w jego stronę, wbił mu ostrze w szyję. Następnie odskoczył w tył i patrzył z uśmiechem, jak wielki wąż rzuca się na oślep, z dyndającą włócznią, aż zdechł, wydając dziwne, syczące dźwięki.

Ten pyton ważył co najmniej dwieście funtów - mniej więcej tyle samo co Ubusuku.

To od Ubusuku dowiedziałem się, że jeśli wąż ma do wyboru dwa cele, zaatakuje ten, który jest cieplejszy. Nauczył mnie też zawsze dbać o ochronę nóg przed węzami. Jednak sam niezmiennie chodził półnagi; miał na sobie jedynie krótkie spodnie. Nawet nie nosił butów.

Hipopotamy

Praca podprowadzającego myśliwych amatorów jest często irytującym zajęciem. Nawet jeśli w grupie są tylko dwaj klienci, gdy jednemu dopisuje większe szczęście w łowach, a drugiemu mniejsze, wybucha uczucie zazdrości i żalu. W grupach trzyosobowych niemal nieuchronnie dochodzi do niesnasek, kiedy jednemu myśliwemu udaje się strzelić najwięcej zwierząt lub największe sztuki. W grupach cztero- lub pięcioosobowych - szczególnie jeśli jest niesprzyjająca pogoda - zwady, wzajemne oskarżenia i ostre sprzeczki są na porządku dziennym. Żaden doświadczony biały myśliwy, jeśli tylko ma na to wpływ, nie zabierze na polowanie więcej niż dwie osoby. A najlepiej, jeśli może wyruszyć tylko z jedną.

Najwięcej nieprzyjemności powoduje fakt, że amatorzy nie potrafią się zdecydować, jaką przyjąć zasadę własności trofeum. Czy zwierzę ma należeć do człowieka, który pierwszy je ranił, czy do tego, który je dobił? Zawsze starałem się ustalić tę sprawę przed wyruszeniem, ale niestety amatorzy, gdy już trafią zwierzę, często zapominają o zawartych umowach.

Pierwszymi oznakami niezadowolenia są na ogół narzekania na pająki w kocach, mrówki w dżemie i inne drobne niedogodności. Od tego momentu zaczynają się kłopoty.

Narodowość myśliwych nie ma większego znaczenia. Amerykanie awanturują się głośno. Anglicy tracą humor. Francuzi i Włosi dąsają się. Norwegowie stają się uparci. Portugalczycy rezygnują. Niemcy mamroczą pod nosem. Prusacy są wyniośli.

Przewodnik dogląda wszystkiego, jak najlepiej potrafi, mając nadzieję, że następna grupa będzie składała się z osób bardziej dojrzałych. Odzywa się jedynie wtedy, gdy musi utrzymać swój autorytet, wyprawa za wyprawą łąmsi osobiste niechęci, aż w końcu nadchodzi moment, kiedy może zamknąć interes i udać się na hulankę do Luandy, Bulawajo, Mombasy czy gdziekolwiek indziej, gdzie się zaszycwa w oparach alkoholu, by zatrzeć wspomnienia o myśliwych-turystach. Lub jedzie do domu i uprawia warzywa.

Gdy już nie mogłem dłużej znieść niańczenia turystów, moim re-medium było samotne polowanie na hipopotamy.

W strzelaniu hipopotamów nie ma nic sportowego. Jest ich pełno w wielu afrykańskich rzekach i łatwo je zabić nawet małokalibrowym pociskiem w łeb. Nie trzeba ich tropić ani podchodzić czołgając się na brzuchu. Gdy się je rani na łądzie, ruszają do wody i drugi strzał jest łatwy.

Nosorożec, który wygląda idiotycznie, mocno ludzi rozśmiesza. Z hipopotama też można się nieco pośmiać. Monstrualna paszcza, mały ogonek, niewielkie, ruchliwe uszy; jego zadziwiające miny, dziwaczne pochrząkiwania, ryki, beknięcia, sapania i siorbania - to wszystko łaskocze ludzkie poczucie humoru.

Gdy hipopotam wykręci jakiś paskudny numer, nie można się na niego długo gniewać. Nawet gdy jest agresywnie nastawiony, jest śmieszny. Mimo licznych plotek na temat jego ataków szału, którym towarzyszą tubalne odgłosy, naprawdę nie jest groźniejszy niż domowy knur rasy berkshire. Niemal wszyscy lubią hipopotamy.

Więc dlaczego się je zabija?

Dla myśliwego oznaczają pieniądze. Za głowę hipopotama z trzydziestocalowymi lub dłuższymi kłami dostaje się dobrą cenę. Głowa z dwoma kłami pięćdziesięciocalowej długości jest warta fortunę, nawet z tysiąc dolarów. Głowa z przynajmniej jednym niezwykle długim kłem jest również nie do pogardzenia.

Kły i siekacze hipopotama rosną bez przerwy. Na ogół ich odpowiednia długość jest utrzymywana poprzez tarcie górnymi zębami o dolne. Jednak jeśli górny kieł się złamie, nic nie hamuje wzrostu dolnego, toteż rośnie on swobodnie. Wydaje mi się, że rekordowy kieł

miał długość sześćdziesięciu czterech cali, mierząc po łuku.

Zęby hipopotama są niezwykle twarde i w dawnych czasach wykorzystywano je do wytwarzania sztucznych szczęk. Obecnie wielu myśliwych amatorów wybiera się na polowanie na hipopotama, mając w ustach zęby, które niegdyś należały do któregoś z przodków zwierzęcia.

Jeśli hipopotam ma niewygodnie długie kły lub siekacze, staje się złośliwy, ale o ile znacie hipopotamy, to wiecie, że nawet najzłośliwsze nie są zbyt niebezpieczne. Powiedzmy, że hipopotam zaatakuje waszą łódkę, wyróci ją i wyrzuci was do wody. Weźcie głęboki wdech i płyńcie do brzegu pod wodą. Ten stary gbur będzie parskał na powierzchni w pobliżu łódki, czekając, aż wypłyniecie. Jednakże niewielkie jest prawdopodobieństwo, że hipopotam zaatakuje. Większość łodzi wyróconych przez hipopotamy przypadkowo znalazła się w miejscu, gdzie kolos właśnie się wynurzał. Oczywiście jeśli trzy- lub czterotonowy „koń rzeczny” uderzy grzbietem o stępkę, macie gwarantowaną kąpiel. Raz mi się to zdarzyło i nie starałem się zobaczyć, jaką hipopotam ma minę. Praktycznie popelzłem na czworakach po dnie rzeki.

Kiedyś stałem na brzegu rzeki i zobaczyłem, że czołno dwóch moich przyjaciół zderzyło się z hipopotamem. Aż dziwne, jaki człowiek potrafi być spokojny, gdy jest tylko świadkiem niebezpiecznego epizodu, a niejednym z jego aktorów. Nie zwracałem uwagi na ludzi, tylko przyglądałem się hipopotamowi. Przez chwilę dreptał w wodzie i poruszał uszami jak szalony. Przewrócone czołno płynęło w jego stronę. Zacerpnął powietrza i zszedł na dno, jak nurkujący wieloryb. Wyłonił się kilka minut później pośrodku skupiska pływających liści lilii wodnej, wystawiając jedynie głowę. Wytrzeszczył oczy i nadal strzygł uszami, wyraźnie przerażony. Moi przyjaciele wyszli na brzeg i zamierzali go zastrzelić, ale ich sztucery leżały na dnie rzeki. Nie chciałem im pożyczyć swojego, gdyż uważałem, że przerażenie hipopotama jest dla niego wystarczającą karą za nieostrożność.

Czytałem i słyszałem wiele opowieści o hipopotamach atakujących łodzie i rozgniatających je szczękami. To się zdarza. Ilekroć miałem okazję, sprawdzałem wiarygodność tych historii. Za każdym razem

odkrywałem występowanie dwóch czynników: (a) w pobliżu były młode hipopotamy i (b) wokół było wiele krokodyli.

Hipopotam nie wie, co to jest łódź. Wie jedynie, że łódź wygląda jak krokodyl i zdaje się zagrażać potomstwu. Złości się potwornie, gdyż pomiędzy hipopotamami i krokodylami istnieje rodzaj paktu, który pozwala krokodylom żyć pośród hipopotamów, *ale tylko wtedy, gdy hipopotamy nie mają młodych*. Gdy krokodyl łamie pakt, nie ma wymiany not dyplomatycznych, rozmów na temat rozejmu. Hipopotam, który znajduje się najbliższej napastnika, samiec czy samica, niezwłocznie przegryza go na pół.

Roztropny, spokojny hipopotam na ogół nie ma morderczych instynktów. Nie posiada nadmiernej ambicji i raczej się wycofuje, niż walczy. Jednak przed krokodylem się nie cofnie.

Dzieci wszystkich zwierząt są urocze. Lwiątko i młode lamparty to słodkie szkraby. Cielaki bawołu i gnu są łagodne i ufne. Żrebaki zebry i żyrafy są przepiękne. Słoniątka to sympatyczne małe pajace. Ale moimi ulubieńcami są wielkogłowe, grube prosięta hipopotama, o krótkich ogonkach. Kobiety zawsze mówią o nich „śliczności”.

W wodzie, przede wszystkim dla ochrony przed krokodylami, białawe młode hipopotamów jeżdżą na szyjach matek. Gdy stają się starsze, przenoszą się na ich grzbiety. Na lądzie te małe tłusciuchy na ogół idą kilka stóp chwiejnym krokiem, padają na brzuch, składają głowę na przednich łapach i zasypiają. Można by pomyśleć, że to zwykle prosięta.

Hipopotamy uwielbiają jeść i spać. Żywią się głównie trawami i ziołami rosnącymi na brzegach rzek. Czasami w poszukiwaniu jakiegoś przysmaku idą pół mili w głąb lądu. Zazwyczaj przemieszczają się dobrze wydeptanymi ścieżkami o głębokich koleinach, przy czym koleiny biegną obok siebie, jak ślady ciężarówki o wąskiej osi. Często pomiędzy koleinami powstałymi od łap hipopotama biegnie trzecia, płytsza. To ślad po ciągniętym po ziemi, zbyt napchanym brzuchu.

W porze suchej hipopotamy zawsze odnajdują drogę do rzeki, nawet jeśli zбочą ze znanego im szlaku. Węszą w powietrzu, ustalają kierunek, w którym znajduje się woda, i ruszają do domu. Jednakże

podczas obfitych opadów, kiedy zapach rzeki zlewa się z aromatem ulewy, te wielkie zwierzaki się gubią. Wtedy czasami wpadają w panikę, opuszczają głowy i przedzierają się na oślep przez zarośla. Jeśli człowiek nie zejdzie im wówczas z drogi, to go stratują. To mało elegancka śmierć - zostać nadepnętym przez trzy- lub czterotonowego hipopotama.

Hipopotamy jedzą również młode trzciny i wodorosty, które rosną na dnie rzek, ale gdy na brzegu jest bujna roślinność, zawsze wychodzą z wody, by żerować na lądzie. Żerują głównie nocą.

Nigdy nie widziałem człowieka, którego zabił hipopotam, ale widziałem ludzi niemal śmiertelnie przerażonych przez to zwierzę. Jednym z nich był mały Szkot o patykowatych nogach i wielkiej głowie. Nazywał się Peter Stephens. Pochodził z Aberdeen i po spotkaniu z hipopotamem wrócił prosto do swego rodzinnego miasta.

Polowaliśmy na młode hipopotamy i wędziliśmy szynki dla zamoznego smakosza, L. Sama Marxa. Stephens przyjechał, żeby zbudować wędzarnię i dopilnować, by szynki były zapeklowane dokładnie zgodnie z wymaganiami chlebodawcy. Marx był jednym z tych dziwnych smakoszy, którzy mają ciągoty do niezwykłych, niespotykanych potraw. Szef kuchni w Union Club w Johannesburgu, gdzie Marx często jadał, powiedział mi kiedyś, że pośród dań przygotowanych na pewną okazję specjalnie dla Marxa znalazły się:

Filety z pytona pieczone na ruszcie w podpalanym maśle

Zapiekanka z młodych jeżozwierzy i cynader w cieście

Portugalskie ostrygi z lodu przywiezione z Francji

Jajecznicza za strusiego jaja z serem gorgonzola, śmietaną, szczypiorkiem i anyżkiem

Szynka hipopotama duszona na parze w sherry i w brązowym cukrze

W Europie są setki bogatych smakoszy, takich jak Marx. Niektórzy jeżdżą do Afryki po prostu dla przyjemności skosztowania pewnych dań z dzikiej zwierzyny. Przywożą wszelkie niezbędne przyprawy i składniki i zazwyczaj sami przyrządzają potrawy. To dziwni

ludzie; często są tak wybredni w kwestii mięs, że wielu nie zje innej antylopy, jak tylko koziołka skalnego. Inni, widocznie o mniej wyrafinowanym podniebieniu, skosztują elanda i buszboka. Jednak wszyscy gardzą mięsem innych antylop. Niektórzy delektują się waranem w auszpiku podawanym z rybą z rusztu.

Stephens nie był mistrzem kucharskim. Był fachowcem od peklowania i wędzenia szynek. Marx nie jadał innych hipopotamów poza tymi, które żyją w gęsto zarośniętych odcinkach rzek Afryki Zachodniej. Twierdził, że mięso hipopotamów z suchych terenów nie ma aromatu.

Marx zaliczał szynki hipopotamów, młodego samca amerykańskiego dzikiego indyka, krewetki *alla fra diavolo* i szarlotkę z Iowa do najlepszych potraw pod słońcem. Przez lata trzymał peklowane szynki hipopotamów i wiele z nich posłał w prezencie wielkim tego świata. Słyszałem, że pośród obdarowanych znaleźli się Theodore Roosevelt i król Belgii, Leopold II.

To polowanie, o którym chcę napisać, odbyło się w 1912 roku - było to jedno z pierwszych zleceń, jakie przyjąłem samodzielnie. Była to również pierwsza podróż Stephena do Afryki. Otrzymałem od Marxa wytyczne, by udać się nad Zambezi, około siedemdziesięciu pięciu mil na zachód od Wodospadów Wiktorii, i strzelić pięć hipopotamów, których szynki ważyłyby nie mniej niż osiemdziesiąt, ale nie więcej niż sto dwadzieścia funtów. Oznaczało to hipopotamy mające poniżej trzech tysięcy funtów żywej wagi.

Pod koniec kwietnia Stephens, ja, trzech Hotentoci i dwaj niezwykle wysocy Buszmeni dotarliśmy do pięknego miejsca na brzegu jednego z dopływów Zambezi. Trzcina na nabrzeżach była gęsta, ale jeszcze się nie kładła w ten denerwujący sposób, na krzyż, co niemal całkowicie uniemożliwia przejście przez nią.

Deszcze padały nieregularnie, ale obficie. Na trzęsawiskach i nizinach wciąż stało dużo wody. Roślinność była urozmaicona, gęsta, o delikatnym odcieniu zieleni. Wszędzie widziało się tunele wydeptane w trzcinie przez hipopotamy. Było wiele ścieżek wydr, gdyż w płytkich wodach występowała obfitość ryb. Obrzeża moczarów porastała

trawa o krawędziach jak zęby piły, co utrudniało chodzenie bosonogim krajowcom.

Nocami rozlegały się odgłosy hipopotamów: chlapanie, dziwne pogwisdywania i pokasływania. Stephens każdego ranka stawał się bardziej nerwowy. Doszło do tego, że jeśli mógł tego uniknąć, to nie wchodził do wody, tylko stał nieco z tyłu i kiwał swoją wielką głową. Nie chciał też wchodzić w trawę o wysokości powyżej jednej stopy.

Na wóz załadował beczki, saletrę, sól, cukier i wielką skrzynię wypełnioną przyprawami i ziołami - szantą, miętą polejem, suszoną lawendą, przetacznikiem, hizopem, goździkami i dzikim majerankiem. Przywiózł również torby trocin do aromatyzowania dymu. Buszmeni mieli zbudować wędzarnię z przeplatanych trzcin i gałęzi, jednak w pobliżu niewielkiego wzniesienia, gdzie założyliśmy obozowisko, Stephens zauważył wydrążony baobab i zdecydował, że może on odpowiednio spełniać funkcję wędzarni.

Drzewo było duże - miało może sześćdziesiąt pięć stóp obwodu u podstawy. Dziupła sięgała wysoko w górę pnia i była wystarczająco duża, żeby pomieścić dwa hipopotamy obok siebie. Stephens tak długo przyglądał się drzewu, kiwając głową jak wahadłem, że spytałem go: - O co chodzi?

- Chciałbym w środku rozniecić ognisko. Czy sądzisz, że drzewo spłonie? - spytał z silnym szkockim akcentem.

- Baobabu nie dałoby się spalić nawet ogniem z benzyny - odparłem i niemal natychmiast pożałowałem, że się odezwałem, gdyż głowa zaczęła mu się kiwać jeszcze mocniej.

Ułożył wewnątrz stos suchej trawy, podpalił go i cofnął się, spoglądając w górę. Trawa paliła się bez dymu, więc Stephens rzucił na nią zielone gałęzie. Po kilku minutach dym zaczął się kłębić u wylotów wysoko nad ziemią.

- Dobry ciąg - stwierdził Stephens. - Bóg łaskaw.

Był niezwykle szczęśliwy, gdy wyładował beczki i zaczął odmierzać składniki zalewy. Nucił przez nos, gwizdał przez zęby i gadał do siebie.

Gdy ponownie zapewniłem go, że drzewo nie spłonie, rozpalili wewnątrz potężne ognisko i posypał płomień przyprawami, jak wyjaśnił, „żeby nadać spaleniznie przyjemny aromat”.

Kilka dni później wróciłem o zmierzchu do obozowiska w bardzo dobrym nastroju. Strzeliłem grubego rocznego hipopotama. Chłopcy go oparowali i szli niedaleko za mną, niosąc cztery tłuste szynki. Kafrowie też byli zadowoleni, gdyż niebawem mieli się delektować bez ograniczeń swym ulubionym mięsem.

Zawołałem Stephensa, ale nie dostałem odpowiedzi. Krzyknąłem na jego dwóch pomocników, Buszmenów. Żadnego odzewu. Podniosłem pokrywkę czterech beczek i czekałem na swoich ludzi. Zastanawiałem się nad Stephensem, gdyż wiedziałem, iż za bardzo bał się zwierząt, by opuszczać obozowisko, nawet z pomocnikami.

Gdy już wrzuciliśmy szynki do solanki i zakryliśmy beczki, podszedłem do drzewa-wędzarni. W odległości jednej stopy od otworu wejściowego, mającego kształt namiotu, widniały dwa tropy hipopotamów. Ślady wskazywały, że hipopotamy cofnęły się kilka jardów, odwróciły się i odbiegły kłusem w stronę trzęsawiska. Zdziwiony wróciłem do otworu w drzewie i zajrzałem do wnętrza.

Stephens leżał w środku - bez przytomności, jak zdmuchnięta świeczka.

Gdy go wyciągnąłem na zewnątrz i ocuciłem, usiadł, rozejrzał się wokół oszołomiony, następnie przerażonym głosem powiedział: - Nie, nie, nie, nie, nie! - i ukrywając twarz w dłoniach, legł z powrotem na ziemi.

Przez godzinę udało mi się jedynie dowiedzieć, że chce natychmiast wracać do Livingstone.

- Nie zniosę tego. Nie wytrzymam tego - powtarzał.

W końcu wszystkiego się dowiedziałem. Stephens był wewnątrz drzewa i zakładał poprzeczki, na których miały zawisnąć haki do mięsa. Buszmeni wälęsalil się na zewnątrz. Po jakimś czasie zawołał ich, a gdy nie odpowiadali, wyszedł, by ich poszukać. Nigdzie ich nie było. Stephensa to nie zdziwiło, gdyż ci dwaj często się wypuszczali na samodzielne wycieczki. Wszedł z powrotem do chłodnego wnętrza drzewa, zrobił się senny i zdrzemnął się.

Obudziły go chrząknięcia, stanął na czworakach i ostrożnie wysunął głowę na zewnątrz, w tej samej chwili, gdy hipopotam zaglądał do środka.

Stephens opisał tę scenę niemal histerycznie:

- Ta jego brudna, ogromna morda dotknęła mojej twarzy. Ten okropny, ośliniony pysk. Potem tak, jakby jęknął. Więcej nie pamiętam - opowiadał z twardym, szkockim akcentem.

Miałem chęć się roześmiać, ale ten człowiek był w szoku. Leżał kilka minut spokojnie, po czym zajęczał:

- Dobry Boże! Dobry Boże!

Gdy przemyślałem to wydarzenie, doszedłem do wniosku, że hipopotama zafascynował aromat przypraw i dlatego nie wywęszył zapachu człowieka.

W każdym razie rano Stephens nadal stanowczo chciał wracać do Livingstone, więc pokazał mi, jak przygotowywać mikstury do solanki i podtrzymywać dymiący ogień, i około południa wyruszył z jednym z Hotentotów.

Gdy chłopak wrócił do obozowiska, powiedział, iż Stephens radził mu, żeby „osiedlił się w Szkocji, gdzie człowiek nie jest narażony na takie makabryczne wydarzenia”.

Chyba dobrze poradziłem sobie z szynkami, gdyż kiedy je dostarczyłem w lipcu, Marx nie miał zastrzeżeń. Jednak o Stephensie od tej pory nie słyszałem.

Przez większą część roku samce hipopotamów przyjaźnią się między sobą, żerują na tych samych krzakach i wykorzystują się wzajemnie w charakterze poduszek w czasie popołudniowej sjeisty. Jednak w okresie rui staczają hałaśliwe bitwy o przywództwo w stadzie. Skóry niemal wszystkich dorosłych samców hipopotama, jakie widziałem, nosiły blizny po takich walkach.

Zdetronizowany przywódca traci wszelkie zainteresowanie samcami i - wiedzie żywot samotnika. Niekiedy staje się zgorzkniałym banitą i atakuje każdego. Uwielbia wyskakiwać zza krzaków, gdy obok przechodzą krajowcy, doprowadzając tych biedaków do hysterii. Większość niesamowitych opowieści o hipopotamach pochodzi od takich przerażonych Kafrów. Pewien Kasaj powiedział mi kiedyś, że gonił go hipopotam „o dwóch paszczach”.

Na ogół samotny hipopotam ugryzie was w tę część ciała, która mu się akurat nawinie. W wodzie jednak niemal zawsze rzuca się na nogi; pewnie dlatego, że wierzgają. Aby uniknąć szarży hipopotama na lądzie, wystarczy wejść za zwalony pień lub jakąkolwiek inną

niską przeszkodę. Hipopotamy rzadko przechodzą po czymś, co mogłyby im podrapać brzuch.

Struś, który kryje się przed niebezpieczeństwem, kładzie swą długą szyję na ziemi. Bardzo sprytnie. Hipopotam kryje się w listowiu i wystawia głowę na zewnątrz. To niemądre. Tak bardzo przypomina wtedy jarmarcznego klauna, w którego celuje się piłeczkami, że aż trudno się powstrzymać, żeby nie cisnąć w niego kamieniem. Kiedyś tak zrobiłem, gdy zobaczyłem, jak jedno z tych ogromnych zwierząt przygląda mi się spomiędzy krzaków. Gdy kamień odbił się od groteskowej mordy, zarysował się na niej wyraz przerażenia i, chrząkając wściekle, hipopotam pognął z wysokiego nabrzeża prosto do wody.

Złośliwe samotne hipopotamy są jednak nieliczne i napotyka się je rzadko. Większość tych biednych istot filozoficznie podchodzi do swego losu. Niektóre codziennie godzinami siedzą na zadach i patrzą, jak ich byli towarzysze baraszkują w rozlewiskach. Gdy stada wychodzą na brzeg, stare samotniki oddalają się, czasami wybierając się daleko na zwiedzanie świata.

Najsłynniejszym z wędrownych hipopotamów był Hubert, trzytonowiec, który w 1940 otrząsnął z łap błoto swego rodzimego bagna w Suazi i wyruszył podziwiać wspaniałości Afryki Południowej. Przez ponad trzydzieści miesięcy Hubert zadawał kłam teoriom zoologów i innych naukowców, wędrując ze stałym dziennym miążem po drogach i bezdrożach Transwału i Natalu. Przeszedł ponad tysiąc mil, odwiedzając kraale, wioski, farmy i miasta. Jego trasa była codziennie uaktualniana w większości afrykańskich i europejskich gazet.

Ponieważ często po przejściu Huberta w danym rejonie wkrótce zaczynało padać, Kafrowie zaczęli go czcić jako boga deszczu. Nawet niektórzy biali również. Jego wędrowka przerodziła się w triumfalny pochód. Farmerzy i wieśniacy witali wspaniałego „konia rzecznego” stosami smacznej kapusty, selera i trzciny cukrowej. Gdy taka uczta nie była przygotowana, Hubert wkraczał na pola i przy użyciu swych wielkich zębów sam sobie wygrzebywał obiad.

Lubił towarzystwo ludzi, ale samochodami wykazywał jedynie

umiarkowane zainteresowanie. Był chyba wierzący, gdyż na dziedzińcach kościelnych bawił dłużej niż w innych miejscach. Kiedyś zadomowił się w klasztorze buddyjskim i opuścił go dopiero po trzech dniach, gdy wyjadł większość krzewów i kwiatów w ogrodzie. Co jakiś czas spędzał dzień w świątyniach hinduistycznych.

W pobliżu Johannesburga, jakieś dwieście mil od Suazi, Hubert skierował się gwałtownie na południowy wschód i ruszył w stronę Durbanu, odległego o trzysta mil. Kontynuując marsz, zrobił sobie kilkudniową przerwę na bagnisku zwanym Strumieniem Miodowego Miesiąca. Romantycy upierają się, że Hubert zatrzymał się tam dla przygody miłosnej, ale zoolodzy uważają, że zabawił dłużej na bagnach po prostu po to, by ukoić odciski na stopach.

Durban zaplanował z okazji przybycia Huberta uroczystości miejskie; Hubert zatrzymał się na rogatkach, by spożyć wielki snop trzciny cukrowej podarowany przez ojców miasta. Wszystko mogłoby wypaść jak najlepiej, gdyby nie tablica na szczycie furazu, z napisem „Witaj, Hubercie”.

To, zdaje się, zdenerwowało honorowego gościa i chociaż został mianowany „podopiecznym prowincji Natal”, a ponadto przydzielono mu ochronę policyjną, wykreślił się od publicznego przyjęcia i wszedł do miasta okrężną drogą, przez Park Wiktorii. Tam posilił się egzotycznymi kwiatami tropikalnymi, po czym udał się na przechadzkę po West Street. Po drodze częstował się owocami gwajawy i nieśpliku ze straganów i długo stał przed kinem, wpatrując się w plakat Judy Garland.

Racząc się kapustą, Hubert uniósł swój wielki pysk i zaczął węszyc. Woda! Rozrzuciwszy resztki liści, pospieszył do miejskiego rezerwuaru z wodą i zafundował sobie kąpiel. Wywabiono go marchwią, selerem i sianem. Odświeżony i zmęczony w końcu ludźmi, którzy usiłowali podrapać go po grzbiecie, riksiami i trąbiącymi samochodami, opuścił miasto i skierował się do East London, położonego o dwieście pięćdziesiąt mil dalej, też na wybrzeżu. Przewędrował dwieście dwadzieścia pięć mil z tego dystansu i pewnego popołudnia, gdy stał pośrodku drogi, przyglądając się jaskrawoczerwonym kwiatom, jakiś biały łajdak strzelił i zabił go. Miejscowi twierdzili, że zabójcą Huberta był pewien burski farmer. Jednak policja nie była w stanie mu tego udowodnić.

W 1953 roku mieszkańcy Durbanu mają wznieść w Parku Wiktorii posąg Huberta naturalnej wielkości.

Hipopotamy są tajemnicze. Robią rzeczy, dla których nie ma wyjaśnienia. Na przykład podczas popołudniowych drzemek rozkładają się jeden na drugim. Stado dziesięciu przeciętnych dorosłych hipopotamów waży dwadzieścia ton. Jednakże na samym dnie tego stosu chrapiących potworów znajdują się młode, odpoczywając sobie bezpiecznie i wygodnie. Nigdy nie zostają zgniecione.

Inną zagadką jest to, jak trzytonowy hipopotam, który ma cztery i pół stopy wzrostu w kłębie, potrafi zniknąć w wodzie o głębokości zaledwie dwóch stóp. To oczywiście niemożliwe, a jednak ciągle tak robią. Jakoś się płaszcą. Nawet Marius Maxwell, prawdopodobnie najlepszy fotografik zwierząt wszech czasów, nie potrafi tego wyjaśnić.

Moim zdaniem płęć hipopotama powinna interesować jedynie drugiego hipopotama. Jednak dla pobudliwego meksykańskiego zoologa, Angela Galindy, miała ona niezwykle znaczenie. Galinda był zgrabnym, drobnym mężczyzną o jasnej cerze i prostych czarnych włosach. Nie mówił po angielsku. Ja nie mówiłem po hiszpańsku. Zwrócił się do portugalskich urzędników rządowych w Luandzie, żeby poszukali mu białego myśliwego, który pomógłby mu zdobyć okazy hipopotamów. Skontaktowali go ze mną. Zrozumiałem, że chce badać organy wewnętrzne tych zwierząt.

Jak wszyscy zoolodzy i preparatorzy zwierząt, których zabierałem na polowania, Galinda był wyposażony w cały asortyment pięknych noży, nożyczek, skalpeli, pił, igieł, rurek i innych drobiazgów. Wynająłem dwudziestu Lunda jako tragarzy i pomocników i 4 lipca 1912 roku wyruszyliśmy w stronę rzeki Cubango, jakieś dwieście mil na wschód od Bengueli. Rozbiliśmy obóz w miejscu, gdzie Cubango była głęboka i wąska. Rośliny wodne rosnące na dnie rzeki pokrywały powierzchnię wody wspaniałymi liśćmi i kwiatami. W łagodnym nurcie roiło się od hipopotamów.

Jeden czy dwaj z Lunda znali portugalski i mówili trochę po angielsku. Rozumieli bełkocący hiszpański Galindy. Gdy Galinda miał już ustawiony swój namiot-prosektorium, a jego instrumenty błyszcząły na przykrytym białą ceratą stole, dał znać, że jest gotów na

przyjęcie hipopotama. Objął mnie ramieniem w pasie i powtarzał coś, co brzmiało jak „lembra”. Przytaknąłem, sądząc, że ma na myśli hipopotama, i ruszyłem na brzeg rzeki. Z .303 strzeliłem czysto za uchem młodego samca, a tubylcy zaciągnęli go do obozowiska.

Galinda w pierwszej chwili wyglądał na zadowolonego, następnie podbiegł do martwego zwierzęcia, spojrzął na jego brzuch i zaczął podskakiwać i kłać. Łapał się za włosy, ciągnął za uszy, poklepywał poniżej paska i zachowywał jak człowiek, którego ukąsiła tarantula.

W końcu popędził do swojego namiotu. Spytałem Bahity, głównego chłopca obozowego, o co Galinda narobił tyle szumu. Chłopak odparł:

- On chceć mama. Ty zabić papa.

- Na miłość boską! - powiedziałem i udałem się do namiotu Galindy.

Nie chciał rozmawiać.

Tej nocy naszych dwudziestu krajowców pochłonęło co najmniej sto funtów dobrego czerwonego mięsa. Jedli, aż rozboleły ich brzuchy, leżeli, jęcząc, póki nie ustały im skurcze, po czym znów zaczynali jeść. Tak kilka razy, aż zasnęli kamiennym snem, żeby rano wstać i ponownie rozpocząć wyzerkę.

Po południu zastrzeliłem samicę hipopotama i Galinda rzucił się na nią z nożami o ostrzach jak brzytwa. Przez dwa dni pracował jak oszalały, tnąc wnętrzności hipopotama i czyniąc zapiski w małej brązowej książeczce. O zmierzchu drugiego dnia zaskrzeczał coś po hiszpańsku i zaczął słać pocałunki ku koronom drzew.

Następnego ranka mały Galinda wyruszył w towarzystwie pięciu Kafrów do Bengueli, zabierając w półgalonowym słoju jakiś paskudny, białawy preparat i zostawiając mnie z resztą ludzi, żebym zwinął obóz i zawiózł wszystko z powrotem na wybrzeże.

W Bengueli dowiedziałem się, że wypłynął statkiem do Ameryki Południowej, wciąż podniecony i wciąż ściskając ten słoje.

Hipopotamy fascynowały człowieka od zamierzchłych czasów. Stanowiły jedną z głównych atrakcji Chińskiego Parku Inteligencji, pierwszego ogrodu zoologicznego na świecie, założonego przez

cesarza Czou około 1100 roku przed Chr. Egipcjanie z wyspy Papremis czcili hipopotama od tysięcy lat. Starożytni Żydzi zwali go behemotem.

Hipopotam jest najłatwiejszym do schwywania z wielkich zwierząt afrykańskich. Łowcy żywej zwierzyny czasami wydają ogromne kwoty na pochwycenie tych wielkich bestii. Równie dobrze mogłoby tego dokonać dwóch nastolatków, wydając parę dolarów na sznur, płótno i kilka łopat.

Zamówienia na żywe hipopotamy na ogół dotyczą roczniaków i kontrakty przewidują kilkumiesięczny okres karmienia w lokalnym zwierzyńcu, zanim zwierzę zostanie przewiezione do Europy. To po to, by przyzwyczaić złapane zwierzęta do żywności, którą będą dostawały jako mieszkańcy zoo.

Samotni biali łowcy na ogół wykorzystują do chwytania hipopotamów swych krajowców. Czasami Ubusuku, mój wielki zuluski tropiciel, sam łapał hipopotama. Kopał w ścieżce hipopotamów głęboki na trzy stopy rów w kształcie stożka. Przykrywał go gałęziami i trzcina i czekał, aż zwierzę do niego wpadnie. Pochyłe ściany wykopu spinały mu nogi, tak że hipopotam był bezsilny. Ubusuku wówczas zakładał zwierzęciu na pysk linkę, zawiązywał mu oczy, przekładał długi sznur wokół brzucha i wykopywał ziemię z jednej strony rowu, aż mógł związać wszystkie cztery nogi. Podciągał do tyłu sznur pod brzuchem tak, że opierał się on o tylne nogi, i zaciskał go, aż hipopotam jęczał z bólu. Kafrowie wyciągali go z rowu do płótna, którym go owijano, tak że wystawał mu jedynie nos. Wtedy luzowało się linkę pod brzuchem i pan hipopotam był gotowy.

Krajowcy często atakują hipopotamy harpunami przywiązanyymi do sznura, na którego drugim końcu jest umocowany ciężki kamień. Po długiej, wyczerpującej szarpaninie, trwającej czasami godzinami, hipopotam zdycha. Widziałem nawet, jak kilku białych stosowało tę metodę, ale nigdy nie był to Amerykanin ani Brytyjczyk.

Pierwsi badacze Afryki, tacy jak Livingstone, Stanley, Speke, Du Chaillu, Burton, Grant i Baker, opisywali hipopotama jako wściekłego, okrutnego mordercę. Z pewnością napędził tym gościom stracha. Nie tylko źle ocenili jego charakter, ale przełknęli wszystkie opowieści o okrucieństwie hipopotamów przekazywane przez

krajowców. Co gorsza, rozpowszechnili te historie.

Kontakt z hipopotamem rzadko jest niebezpieczny. Jednak starajcie się unikać takiego spotkania w hipopotamim tunelu. Nad wieloma rzekami afrykańskimi, szczególnie na zachód od Wodospadów Wiktorii, rośnie wysoka i gęsta trzcina. Trudno jest się przedrzeć przez te szuwary, gdy stoją prosto, lecz gdy się pogną i położą we wszystkie strony, zmieniają się w gąszcz, który można pokonać jedynie przy użyciu siekier lub porządnych noży. Widziałem już takie miejsca, że trzeba było całego dnia, by przejść ćwierć mili.

W takich trzcinowych dżunglach hipopotamy przebijają tunele. Tunele pozwalają im na poruszanie się tam i z powrotem, ale rzadko bywają na tyle szerokie, żeby zwierzę mogło w nich zawrócić. W efekcie kiedy zwierzę wejdzie do tunelu, musi iść, aż dojdzie do drugiego końca. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuści się w taki korytarz, o ile nie będzie pewien, że nie ma w pobliżu hipopotamów. Jednak ludzie czasami korzystają z tych przejść. Mnie też się to zdarzyło - jeden raz.

I natknąłem się na hipopotama.

W 1922 byłem przewodnikiem portugalskiej grupy badawczej w południowo-wschodniej Angoli. Była to wyczerpująca praca i gdy nadarzyła się sposobność wzięcia dwóch tygodni wolnego, zdecydowałem się urządzić sobie ciche polowanko. Od dawna miałem zamówienie na czerwone rogi koba liczi, o długości trzydziestu pięciu cali lub więcej. Postanowiłem spróbować je zdobyć.

Zabrałem trzech chłopaków z plemienia Owambo w bagnisty rejon nad rzeką Chobe, gdzie występują te antylopy. Przejrzeliśmy kilka stad w poszukiwaniu odpowiednich rogów, na ogół brodząc po kolana w wodzie. W końcu ranilem wielkiego kozła z rogami, które wydawały się wystarczająco duże. Ruszyłem za nim w wysoką trawę i trzcinę, gdzie nie było wiatru i panował upał jak w piecu.

Po godzinie mozolenia się dotarliśmy do martwego liczi, który leżał z głową zanurzoną w wodzie. Rogi były o dwa cale za krótkie. Zniechęcony poleciłem Kafrom zabrać go do obozowiska, a sam, w nadziei na znalezienie nad rzeką chłodnego miejsca, gdzie mógłbym

spocząć na noc, zacząłem się przedzierać przez szuwary. Im dalej parłem, tym trudniej było iść. Z trzcina zaczęły się plątać papirusy. Pędy okręcały się wokół siebie, tworząc gąszcz niemal nie do pokonania.

Ubranie parowało, bolały mnie kości i mięśnie, wciąż zmagalem się z przeszkodami, aż w końcu przebiłem się do tunelu hipopotamów. Przepływało nim chłodne powietrze, więc usiadłem, chwytając je łapczywie. Przy okazji wysuszyłem łufę sztucera i wytarłem naboje. Następnie, nawet nie myśląc o hipopotamie, pochyłony, zacząłem brnąć tunelem.

Nagle usłyszałem za sobą parsknięcie hipopotama. Najwyraźniej moje odgłosy go wystraszyły i pędził do rzeki. Nic nie jest w stanie powstrzymać przerażonego hipopotama, gdy bieży ku schronieniu w wodzie. Zacząłem biec, potykając się i chyląc. Sztucer zahaczył o coś. Upuściłem go. Potknąłem się kolejny raz i rozłożyłem na brzuchu. Dalej uciekałem na czworakach, jak pawian. Ślizgałem się i gramoliłem, a hipopotam pędził tuż za mną.

Gdy wypadłem z tunelu, uskokczyłem w bok w chwili, gdy ta góra mięsa przemknęła obok mnie. Plasnął brzuchem w nurt Chobe.

W tunelu się bałem, ale teraz byłem obłąkany z przerażenia. Chwilę zajęło mi, zanim uświadomiłem sobie, że nie zostałem stratowany. Dłużej trwało, aż zebrałem się na odwagę, żeby tam wrócić i odzyskać sztucer.

Byłem głupi i o mało za to nie zapłaciłem. Potem naszła mnie myśl, która trochę poprawiła mi humor - hipopotam przeraził się równie mocno jak ja.

Antylopy

Polowanie na antylopy afrykańskie daje większą satysfakcję niż ta, jakiej zaznaje łowca grubego zwierza. Ponadto bywa nie mniej niebezpieczne, gdyż tnące kopyta i zamasyście rogi ranionych kudu, antylop szablrogich lub buszboków mogą zabijać równie dobrze jak kły i pazury lwa.

Tylko zatwardziali, starzy zawodowcy polują na grubego zwierza samotnie. Inni zatrudniają tropicieli i miejscowych myśliwych, żeby wystawili im zwierzynę, a im pozostawili jedynie strzelanie. Obecnie, jeśli chodzi o duże zwierzęta, w wielu częściach Afryki „turystyczne” safari zmieniły słowo „polowanie” w kpinę.

Inaczej jest w przypadku antylop. Podczas polowania na antylopy człowiek, jeśli chce, może przeciwstawić swój intelekt, wytrwałość, odwagę i kunszt łowiecki ostrożności, instynktom i czułym zmysłom zwierząt. Można samemu tropić i podchodzić, a są to najbardziej fascynujące etapy każdego polowania. Można się obyć bez pomocy krajowców, bo choć niektórzy w to wątpią, każdy cieszący się normalnym zdrowiem i inteligencją jest w stanie zostać porządnym łowcą afrykańskich antylop w ciągu sześćdziesięciu dni, nawet jeśli nigdy wcześniej nie strzelał ze sztucera ani nie polował nawet na króliki.

Oczywiście takiej osobie będzie potrzebny nauczyciel, najlepiej biały myśliwy starej daty. I trzeba będzie włożyć w to sporo pracy, gdyż dwa miesiące to niezbyt wiele czasu, żeby przyswoić sobie dużo wiedzy o zwierzętach i w odpowiednim stopniu nauczyć się posługiwać sztucerem.

Najzdolniejszym nowicjuszem, jakiemu kiedykolwiek wpajałem sekrety łowiectwa, był trzydziestopięcioletni Szwajcar z niemieckiej części tego kraju, geolog Luitpold Sachse. Był jednym z czterech poszukiwaczy, którzy przeczesywali złotonośne zagłębienia rzeki Luan-gwa, około stu mil na zachód od jeziora Niasa w Rodezji Północnej. Przemieszczali się od zagłębienia do zagłębienia w górę rzeki w nadziei, że napotkają źródła rzeczno-złoty. Przywiozłem im ekwipunek i szesnastu krajowców i zgodziłem się zostać, żeby zaopatrywać ich w mięso.

Sachse, który studiował kiedyś na uniwersytecie Columbia, dobrze mówił po angielsku. Nie wiedział nic o polowaniu i twierdził, że nie strzelał nawet z wiatrówki. Pewnego ranka zabrałem go, gdy szedłem po mięso. Szesnastu Kafrów i pięciu białych zjadało dziennie sto funtów mięsa antylopy.

Polowanie w celu zdobycia mięsa nie jest takie proste, jak się wydaje. Krajowcy zjedzą każde mięso, ale biali domagają się apetycznej strawy. Tylko kilka antylop afrykańskich uchodzi za „jedzenie białego człowieka”. Najsmaczniejszy jest koziołek skalny, niewielka, czterdziestofuntowa antylopa, która zamieszkuje wzgórze. Te antylopy strzela się dość rzadko, przez co są uznawane za przysmak.

Jako następna plasuje się pięćsetfuntowa antylopa szablroga, której mięso jest przepyszne. Po niej kolejny w klasyfikacji jest bawolec, a tuż za nim dujker, impala, szpringbok i buszbok. Mięso koba jest nie do przeżucia, nawet jeśli potnie się je w paski. Mięso puku je się tylko wówczas, gdy nie można zdobyć innego. Mięso innych rodzajów antylop jest zbyt twarde lub zbyt mdłe. Niewielu białych lubi mięso bawołu lub gnu. Jednak większości smakuje młoda zebra.

Podczas gdy tego skwarne, bezwietrznego poranka opisywałem Sachsemu problemy związane ze zdobywaniem mięsa, pośrodku szerokiej, bezdrzewnej polany natknęliśmy się na ślad bawolca konzi.

- Te odchody leżą tu od godziny - powiedziałem. - Tropy byka mają cztery cale od czubka do pięty. To znaczy, że waży ponad czterysta funtów. Zdaje się, że są z nim cztery krowy. - Wskazałem na szpaler drzew pół mili w stronę rzeki i dodałem: - Tam kryje się lew albo lampart.

- Skąd to wiadomo? - spytał Sachse.

- Na ogół podczas upalnego dnia bawolce pozostają w cieniu. Gdyby coś ich nie wystraszyło, raczej nie wyszłyby tutaj, na palące słońce. - Wróciłem nieco po tropie. - Widzisz, jak prosto wiodą te ślady od drzew do tego miejsca i jak stąd zaczynają się wic w stronę tamtych zarośli? Sądzę, że tam znajdziemy naszą zwierzynę.

- To jak powieść detektywistyczna - stwierdził Sachse.

- Pewnie nas zauważyły - powiedziałem - ale czasami okazują się głupie. Może którąś uda się strzelić.

Poruszając się powoli, zbliżyliśmy się z ukosa do gęstwiny krzewów i weszliśmy w nie jakieś pięćset jardów od miejsca, w którym według mnie mogło znajdować się stado.

- Nic nie mów - ostrzegłem. - Nie rób kroku, nim nie wyczujesz, czy nie masz pod stopą jakiejś gałązki albo kamienia. Nie kasłaj. Gdy uniosę rękę, stój.

Krok po kroku szliśmy przed siebie, zatrzymując się co kilka jardów na długie minuty i wypatrując ruchu ogona lub ucha. W ciągu następnej pół godziny przeszliśmy około trzystu jardów i już zaczynałem sądzić, że moje rachuby nie były zbyt trafne, gdy Sachse zanurkował twarzą w krzew cierniowy i wykrzyknął: - Au!

Bawolce wyskoczyły nam niemal spod nóg. Nie było szansy na strzał tuż za przednią nogą - taki strzał prawie zawsze kładzie bawolca - więc trafiłem małą łanię w brzuch. Ze wszystkich antylop bawolec najszybciej zwalnia od takiego strzału. Łania osłabła, nim zdążyła pokonać jedną ósmą mili. Zachwiała się lekko, po czym zatrzymała się ze zwieszoną głową. Podszedłem na sto pięćdziesiąt jardów, wyciągnąłem się na ziemi i położyłem zwierzę strzałem w łeb.

Sachse zastanawiał się, dlaczego nie strzeliłem byka; byk miał ładne rogi. Powiedziałem mu, że znacznie bardziej będzie mu smakowało mięso krowy. Zwróciłem również jego uwagę na fakt, że chociaż byk był duży, jego rogi miały nie więcej niż szesnaście cali. Rogi konzi nie są uznawane za wartościową zdobycz, o ile nie mają przynajmniej dziewiętnastu i pół cala, mierzone po przednim łuku.

Gdy tego wieczoru siedzieliśmy przy ognisku i pykaliśmy fajki, Sachse powiedział:

- Zawsze uważałem myślistwo za sport raczej niski. Wiesz, to całe zabijanie. Ale coś się ze mną stało po wydarzeniach dzisiejszego poranka. Odczuwam silną potrzebę polowania. Właściwie to chciałbym przejąć twoją funkcję myśliwego dostarczającego mięso. - Wydawał się zakłopotany.

- Nie ma sprawy - odparłem.
- Nauczysz mnie? To znaczy strzelać, i tak dalej?
- Jasne.
- Długo to potrwa?
- To zależy od ciebie.

Odwrócił się do swoich współników, którzy patrzyli na niego dziwnie. - To pewnie zabrzmiało śmiesznie, ale dzisiejszy poranek był dla mnie objawieniem... czytanie śladów i tak dalej. To fascynujące. Przy tym geologia jest bez wyrazu. Czy macie coś przeciwko, żebym tego spróbował?

- Nie krępuj się - odparli. - Rzeźnik Sachse - dodał jeden z trójki, śmiejąc się.

- Prawdziwe łowiectwo nigdy nie jest rzezią - zaprotestowałem. - To niemal stu procentowy sport. Porządny myśliwy ma dla zwierząt współczucie. Stara się zabijać szybko i czysto i nigdy nie pozwala, by ranne zwierzę długo cierpiało. Sachse właśnie powiedział o „potrzebie” polowania. To znaczy, że jest normalny. Polowanie to atawistyczna, na ogół zdrowa, potrzeba. Oczywiście zdarzają się zбочeńcy, którzy zabijają zwierzynę z sadystycznych pobudek, z żądz krwi. Tacy ludzie uśmiercają z miejsca, w którym są bezpieczni: z ciężarówek, dżipów lub z platform na drzewach. Zabijają lwy przy pomocy psów i rozjeżdżają żyrafy samochodami. To nie są myśliwi.

- Co się tak wściekasz? - spytał ktoś. - Nie przeczymy, że tak jest.
- Gdy w grę wchodzi rzeźnicy i zwierzęta - powiedziałem - jestem po stronie zwierząt.

- Wiecie, że zawsze byłem miłośnikiem natury - odezwał się Sachse. - To jest jeden z powodów, dla których szukam z wami złota. Ale dziś rano, gdy tropiliśmy bawolce, nagle uświadomiłem sobie to zjawisko, które ktoś nazwał „dziwną, kapryśną, zadumaną” Afryką. Wydaje mi się, że impuls dało właśnie polowanie. Gdy zatrzymaliśmy się na odpoczynek w cieniu drzewa, położyłem się, przytknąłem ucho

do ziemi i przysięgam, że słyszałem, jak rośnie trawa. Nawet zdawało mi się, że dociera do mnie, jak robaki przegryzają się przez ciemność i jak żuki kopią groby dla swoich ofiar. Innymi słowy uświadomiłem sobie w nowy, głębszy sposób wszechobecność życia. Jeden z mężczyzn parsknął.

- Wiem, o czym Sachse mówi - powiedziałem. - Czy siedzieliście kiedyś nad strumieniem i obserwowaliście, jak jego porośnięte trzciną brzegi drżą i trzęsą się, gdy niewidoczne dzikie świnię, młode krokodyle, żaby i wydry wiercą się i kręcą w cieniu? Więcej jest przyjemności w tygodniu polowania na antylopy niż w całym sezonie strzelania grubego zwierza. Po pierwsze na ogół nie ma pośpiechu. Zwierzyna będzie czekała dziś, jutro i pojutrze. Poza tym są miraży, którymi można się zachwycać, i jaskrawe ptaki. Są zapachy przypraw, cynamonowy aromat lili, ostra woń żywicy połamanych gałęzi i przyjemny odór łąna; zapachy słodkie i kwaśne. Każda woń przywodzi wspomnienia o odległych latach i dalekich miejscach.

- Wczoraj widziałem ptaka - powiedział Sachse. - Długi ogon płynął za nim, gdy skrzydła łopotały w bezskutecznym wysiłku lotu pod wiatr. Nagle ptak przechylił się, zawrócił i pomknął jak pędzący kwiat.

- Chodźmy spać - przerwał mu jeden ze współników.

Strzepnąłem koc, owinąłem się nim i położyłem stopami do ogniska. Sachse wpatrywał się markotnie w żar.

- Nie daj im się zniechęcić, Sachse - odezwałem się do niego. - Myśliwy jest zawsze poetą, przynajmniej w sercu.

Nazajutrz Sachse rozpoczął lekcje obchodzenia się ze sztucerem.

Niewiele jest sensu w długich, męczących godzinach tropienia i podchodzenia, jeśli w końcu dopadając zwierzynę, strzelacie niecelnie. Na ponad dwieście jardów nie można strzelać dokładnie nawet nowoczesnymi pociskami o płaskiej trajektorii, o ile nie potrafi się określić odległości od celu.

Na sawannowym płaskowyżu początkujący myśliwi niemal zawsze zaniżają odległość.

Pierwszego dnia ćwiczeń z Sachsem oddalałem się na pięćdziesiąt jardów i kazałem mu łapać piłkę do tenisa albo przynajmniej

przechodzić pod nią, kiedy rzucałem ją wysokim łukiem. Sięgał po piłkę, a ona spadała dziesięć jardów za nim. Czasami potrzeba dziesięciu lub piętnastu rzutów, zanim człowiek przestanie ulegać złudzeniu powodowanemu przez czyste, jasne powietrze.

Umieściłem tarczę o powierzchni sześciu stóp kwadratowych w odległości dwustu jardów i trenowałem Sachsego, aż strzelając z pozycji leżącej, potrafił zgrupować dziesięć pocisków w promieniu ośmiu cali. Nie jest trudno nauczyć przeciętnego człowieka, jak wygodnie trzymać sztucer, ustawiać przed sobą przyrząd celowniczy, naciskać spust i nie poruszać się przy oddawaniu strzałów. Kilku moich uczniów, którzy nie mogli pozbyć się odruchu wzdragania się i kulenia, gdy padał strzał, wyleczyło się z tego, kiedy kazałem im użyć broni mniejszego kalibru. Czasami wystarcza osada dłuższa o jakiś cal.

Po pojedynczych strzałach przeszliśmy z Sachsem do trzech szybkich wciąż na leżąco, przy czym miał starać się strzelić wszystkie trzy w dwanaście sekund. Musiały to być strzały wymierzone i zgrupowane w obrębie dwunastu cali. Większość ludzi uczy się szybkich strzałów łatwiej na sztucerach, które trzeba repetować ręcznie.

Z pozycji leżącej przeszliśmy do strzałów z przykłąku i w końcu na stojąco. Następnie przesunęliśmy cel na pięćset jardów i rozpoczęliśmy całą procedurę od początku, usiłując na leżąco strzelić serię w obrębie dwudziestu czterech cali. Ćwiczenia ze sztucerem zabrały nam około tygodnia.

Wieczorem pokazywałem Sachsowi rzeczywistej wielkości rysunki różnych tropów zwierzęcych i zwracałem jego uwagę na różnice. Grupowaliśmy rysunki, nakładając na siebie podobne tropy zaznaczone różnymi kolorami atramentu.

Na przykład tropy kudu, antylopy szablrogiej, antylopy końskiej i niektórych bawolców mają bardzo podobny rozmiar i kształt. Ale gdy się je nałoży, różnice stają się uderzająco wyraźne. Tropy elanda i bawołu są mniej więcej tej samej wielkości. Nowicjusze często je mylą.

Ridboki, szpringboki i puku zostawiają bardzo zbliżone ślady. Nawet doświadczeni zawodowcy mają czasami problemy z rozróżnieniem odcisków ridboka i szpringboka. Niektórym ciężko jest odróżnić tropy oribi i dujkera.

Ślady lwa, lamparta, słonia, żyrafy, gnu, nosorożca, hipopotama, hieny, koziołka skalnego, gazeli tomi i zebry są tak charakterystyczne, że każdy potrafi je łatwo rozpoznać. Nowicjusze czasami mylą trop świni rzecznej i guźca.

Gdy Sachse zapamiętał wizualną charakterystykę różnych śladów i dość mocno się tym pysznił, przekonał się, że w praktyce rzadko można zobaczyć idealny odcisk kopyta czy łapy, że większość śladów trzeba rozpoznawać jedynie po czubkach lub piętach i że w wielu przypadkach można zidentyfikować ślad dopiero po usunięciu ziemi lub piasku, który do niego wpadł. Nauczył się robić to piórem.

Pokazałem mu, jak odchylają się kopyta biegnącej antylopy; jak ślady chronione przed wiatrem i pyłem wyglądają na świeższe niż te, które nie są osłonięte. Nauczył się odgarniać splątaną trawę i liście i odszukiwać pod nimi trop. Powiedziałem mu o upuszczonych kawałkach przeżuwanej trawy i liści, zadrapaniach na gołych skałach, przesuniętych kamieniach i pokazałem, jak mrużyć oczy, żeby obraz nie rozmywał się w ostrym świetle. Chłonał wiedzę jak gąbka i w ciągu trzech tygodni był w stanie znaleźć i prześledzić w miarę widoczny trop.

Jednakże znajdowanie i śledzenie tropu nie wystarcza. Trzeba wiedzieć, czy ten trop jest świeży, czy nie. Nawet stare wygi czasami nie potrafią tego określić po samych śladach. Ale jest jeszcze jedna oznaka świeżości tropu, która rzadko zawodzi. Odchody!

O odchodach zwierząt można by napisać książkę. Nie ma dwóch zwierząt afrykańskich, które miałyby dokładnie takie samo łajno, choć odchody antylopy końskiej i szablrogiej różnią się jedynie wielkością. Najlepszym wskaźnikiem świeżości odchodów jest ich wilgotność, przy czym trzeba uwzględnić pogodę. Stan żdźbeł trawy walczących zapamiętałe pod starymi odchodami może pomóc dokładnie ustalić dzień, kiedy te odchody się tam znalazły.

Jak wyjaśniłem Sachsemu, ustne i pisemne opisy odchodów nie na wiele się zdają. Nawet ilustracje mało mówią. Żeby się nauczyć o łajnie, trzeba je obejrzeć.

Zazwyczaj elandy, antylopy szablrogie i końskie pozostawiają pojedyncze odchody przypominające łajno konia. Odchody koba są

niecو podobne, ale niekiedy występują w grudkach po trzy, cztery lub pięć. Odchody kudu są na ogół pojedyncze i na jednym końcu mają niewielkie stożki. Odchody buszboków są podłużne i przypominają wafel, ale czasami łamią się na małe kulki.

Pewnego dnia powiedziałem do Sachsego: - Bywa, że w tropieniu bardziej się liczy to, czego *nie widać*, niż to, co *widać*. Trop kryje też oznaki czegoś nienaturalnego lub dziwnego. Głębokość odcisku czubka palca czasami mówi, czy zwierzę było przestraszone, czy też biegło ot, tak sobie. Teren często wskazuje, dokąd zwierzęta się udają. Tropienie nieraz oznacza zostawianie urwanego śladu, pójdźcie dalej i przeczesywanie terenu, by ponownie znaleźć odciski. Ale przede wszystkim wymaga ono znajomości zwyczajów zwierząt, żeby tropiciel wiedział, *dlaczego* i *gdzie* zwierzęta robią to, co robią.

- Wspomniałeś o czymś nienaturalnym lub dziwnym - powiedział Sachse. - Nie rozumiem.

Dla przykładu opowiedziałem mu, jak zwykle łajno krowy kiedyś pomogło mi odnaleźć grób zamordowanego człowieka i jak gniazdo os, w nienaturalny sposób przytwierdzone do drzewa, doprowadziło mnie do ukrytego listu, za który ten człowiek został zabity.

A było to tak:

Pewnego października, na początku mojej afrykańskiej kariery, gdy przygotowywałem się do wyjazdu z Tsumeb w krainie Damara na polowanie w okolicach Matambanji w południowo-wschodniej Angoli, major Gordon, brytyjski oficer wywiadu, poprosił mnie, żebym po drodze zatrzymał się w faktorii lana McKinnona i odebrał od niego „ważny dokument”.

Domyślałem się, że ten dokument miał związek z handlem niewolnikami. Biali renegaci i Arabowie nawet dzisiaj ściągają niewolników przez Etiopię do portów Morza Czerwonego. McKinnon był religijnym staruszką i zacięłym przeciwnikiem handlarzy niewolników.

W faktorii przyjął mnie jakiś londyńczyk, mówiący z silnym akcentem z przedmieść. Przedstawił się jako Limey Scoggins i powitał stwierdzeniem: - Mac wyjechał w podróż. Ja tu teraz rządę.

- Od jak dawna nie ma Maca?
- Od kilku dni.
- Szkoda. Nie widziałem go dwa lata. Gdzie jego pomocnik, Hotentot Sekomi? Pomoże mi się rozpakować.
- Sekomi pojechał z Makiem. Przepraszam, ale lepiej będzie, jeśli pan się tu nie zatrzyma. Macowi mogłoby się to nie spodobać.

Roześmiałem się i ruchem ręki dałem Ubusuku znak, żeby ustawił mój namiot jakieś sto jardów na zachód od dwuizbowego domku Maca z karbowanej blachy.

Scoggins wzruszył ramionami i odszedł.

Krzyknąłem za nim: - Jak długo ma nie być Maca, Scoggins?

Nie odpowiedział. Obserwowałem go, jak szedł w stronę sklepu. Stwierdziłem, że Mac nigdy nie wynająłby takiego człowieka, jak ten londyńczyk.

Pomogłem Ubusuku dokończyć naciągania namiotu i powiedziałem: - Porozmawiaj z Kaframi i dowiedz się, co tu się dzieje.

Wrócił niebawem z wiadomością, że nigdzie nie ma żadnego krajowca. - Wszyscy zniknęli - oznajmił.

Sprawdziłem magazynek swojej .303, wsadziłem ją pod pachę i poszedłem się rozejrzeć. Krowa Maca, wielkie, wychudłe, czarno-białe zwierzę, leżała pod drzewem mimozy na skraju polany, przeżuwając i drapiąc się po grzbiecie długimi rogami. Z jakiegoś powodu obudziła we mnie instynkt tropiciela. Coś się nie zgadzało. Zbyt długo byłem myśliwym, by zlekceważyć to „przecucie”. Spróbowałem starej sztuczki przyglądania się terenowi kątem oka. Zerkając kątem oka, często można zaobserwować rzeczy, które umykają, gdy się patrzy prosto przed siebie.

Uczucie czegoś niejasnego było najsilniejsze, gdy patrzyłem na krowę. Wyglądała na kompletnie znudzoną. Żuła powoli i apatycznie, z zamkniętymi oczami. Ruszyłem w stronę sklepu Maca, stanąłem od frontu i zastukałem głośno w parapet holenderskich drzwi. Gdy Scoggins otworzył je, wszedłem do środka.

- Nigdzie nie widzę żadnego z Kafrów Maca - powiedziałem.

- Pojechali z nim.
- Jesteś tutaj sam?
- Samiuteńki. Cieszę się, żeś wpadł. Będę wreszcie miał towarzysztwo.

- Co Mac mówił, że dokąd jedzie?

- Powiedział tylko „na północ”. Wyglądał na zdenerwowanego.

Popatrzyłem na niego z uwagą. Scoggins zaczerwienił się i dodał: - Tak Mac powiedział. Mówię ci tylko, co powiedział. Nic więcej nie wiem, do diaska.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Na drucie wisiały pasy skóry hipopotama. Na podłodze piętrzyły się skóry lwów i lampartów. Na półkach spoczywały bele jasnego perkalu, słoje z paciorkami i szpule miedzianego drutu do robienia bransolet. Stały tam też puszkki owoców i warzyw. Przepchnąłem się obok Scogginsa do sypialni Maca. Łóżko było gładko zasłane. Ubrania wisiały na kołkach w ścianie. Nagle na podłodze w kącie zauważyłem Biblię Maca, leżącą okładką do góry, z pogniecionymi kartkami. Była to kieszonkowa Biblia i wiedziałem, że Mac nigdy nigdzie się bez niej nie ruszał. Wiedziałem również, iż Mac tak szanował swoją Biblię, że nawet nie położyłby na niej innej książki.

Zostawiłem Biblię tam, gdzie leżała, ale nabrałem obaw, że Mac nie żyje. Powiedziałem:

- Scoggins, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę tu do powrotu Maca.

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu?

- To tylko taki utarty zwrot - odparłem. - Jednak wiesz co, rozmyśliłem się, chyba nie zostanę. Maca może zbyt długo nie być.

Widziałem, że Scoggins odetchnął. - Czuj się tutaj jak u siebie, tak jakby Mac tutaj był - powiedział.

- To miło z twojej strony - odrzekłem i wyszedłem.

W namiocie szybko napisałem notkę do *chefe de posto* okręgu, który - miałem taką nadzieję - był w Bambe, około stu pięćdziesięciu mil na północny zachód. Znając opieszałość portugalskich urzędników w Angoli, zaryzykowałem i oświadczyłem, że znalazłem ciało McKinnona. Spodziewałem się, że to popędzi *chefe de posto*.

Wręczyłem wiadomość Ubusuku, który mógł pokonać sto pięćdziesiąt mil w dwa dni. Siedemdziesiąt pięć mil dziennie to dla niego była pestka. Ile czasu ta droga mogła zająć *chefe de poste* i jego oddziałowi krajowych żołnierzy, trudno było powiedzieć.

Kiedy Ubusuku wyruszył, zacząłem się denerwować. Obawiałem się, że jeśli Scoggins zabił Maca, mnie też prawdopodobnie będzie próbował uśmiercić. Wybrałem się do lasu, żeby trochę pomyśleć. Ruszyłem ledwo widoczną ścieżką, która najwyraźniej wiodła nad rzekę. Uszedłem ćwierć mili, a wtedy nagle znów ogarnęło mnie to dziwne uczucie, że coś jest nie tak. Gdy wzrokiem przeszukiwałem otaczające mnie drzewa, uderzyło mnie „coś sztucznego”. Chodziło o jedno z ponad dwudziestu gniazd os na drzewie cierniowym. Wyglądało dokładnie tak samo jak inne, tylko że zamiast być przymocowane do gałęzi, wisiało na cierniu.

Niewprawne oko nie dostrzegłoby w tym gnieździe niczego nadzwyczajnego, ale myśliwemu pasowało ono jak wół do karety. Zdjąłem gniazdo patykiem, otworzyłem je i znalazłem wewnątrz zrolowaną kopertę owiniętą w impregnowane płótno. Rozwinąłem ją. W lewym górnym rogu widniał napis: „W służbie Jego Królewskiej Mości”. Koperta była adresowana do wyższego urzędnika państwowego w Policji Południowoafrykańskiej.

Teraz byłem już pewien, że Mac nie żyje i że przeczuwał, iż może zostać zamordowany. Ukrył kopertę przy ścieżce nad rzeką, wiedząc, że jakiś doświadczony myśliwy kiedyś ją zauważy.

Zawinąłem kopertę z powrotem w płótno i zakopałem w pobliżu ścieżki. Następnie, mocno zafrasowany, wróciłem na polanę.

Gdy przechodziłem przez nią ukosem w stronę swojego namiotu, zauważyłem kilka okrągłych, białawych plam w miejscach, z których usunięto odchody krowy. Najpierw doszedłem do wniosku, że Kafrowie Maca zbierali suche łajno na opał. Nagle wróciłem myślami do krowy Maca. „Coś niejasnego”, co dotyczyło krowy, nagle przestało być tajemnicą. Przypomniałem sobie wyraźnie, że krowa leżała obok kupki łajna. *Niektóre wysuszone odchody spoczywały na wilgotnych.*

Przez jedenaście dni prawie cały czas chodziłem po lesie, zżerany przez niecierpliwość. Scoggins był zajęty w sklepie faktorii „sprzątaniami pomieszczeń na przyjazd Maca” - jak twierdził. Oczywiście wiedziałem, że przeszukuje domek, by znaleźć zaginioną kopertę.

Dwunastego dnia, dokładnie w południe, *chef e de posto* i jego ludzie prowadzeni przez Ubusuku wkroczyli na polanę. Scoggins wystawił głowę przez holenderskie drzwi.

- Cóż to, u licha! - powiedział.

Ciało Maca znaleźliśmy w płytkim grobie pod odchodami krowy. Nawet nie było zawinięte w koc.

Scoggins został wynajęty do kradzieży koperty przez kurdyjskiego handlarza niewolnikami o nazwisku Aliche. Uduł Maca. Zanim go pochował, spłacił Kafrów i odesłał ich do domów. Gdy zauważył na grobie świeże łajno, wpadł na pomysł, że dodatkowe, suche krowie odchody będą wskazywały, iż ziemia od dawna nie była w tym miejscu ruszana.

Gdy skończyłem opowiadać historię McKinnona, Sachse podsumował: - To ciekawe. Zgodnie z twoją teorią tropienie to przede wszystkim myślenie dedukcyjne.

- Poniekąd.

- Żeby przyjąć właściwe założenia co do zwierząt, należy znać ich zwyczaje i wzorce zachowań. Zgadza się?

- Nie bądźmy tacy naukowci - odparłem. - Po prostu trzeba o nich dużo wiedzieć.

Sachse przez jakiś czas się nie odzywał. Następnie powiedział: - Chyba teraz rozumiem, że prawdziwa wartość trofeum myśliwskiego leży w historii jego zdobycia, a nie w niezwykłości jego rozmiarów. Przypuszczam, że nie wrócę do Szwajcarii.

- Nie?

- Nie. Chyba osiedlę się w Afryce i zostanę zawodowym myśliwym.

Tak też się stało. Przez niemal trzydzieści lat Luitpold Sachse przemierzył z aparatem fotograficznym i ze sztucercem prawie całą Afrykę.

Jeszcze o antylopach

Mimo że wybieracie się do Afryki z nadzieją strzelania jedynie grubego zwierza, istnieje duże prawdopodobieństwo, że dziewięćdziesiąt procent czasu spędzicie polując na antylopy. I im dłużej będziecie na nie polować, tym bardziej będzie się to wam podobało.

Żeby stać się dobrym łowcą antylop, trzeba być prawdziwym mężczyzną. Na każdy oddany strzał przypadnie zapewne dwadzieścia pięć przewędrowanych mil. Napotkacie antylopy dwójkami, trójkami i w małych grupach; poza niektórymi rezerwatami nigdy nie ujrzycie liczących tysiące sztuk stad, jak na filmach.

Będziecie musieli chodzić po tak rozpalonej ziemi, że od czasu do czasu trzeba będzie zdjąć buty, by ochłodzić stopy; lub podczas pogody tak mokrej i zimnej, że tkwiące pod koszulą kleszcze będą się zwijać i odpadać. Będziecie się pocić i będziecie się trząść. Będziecie mieli dłonie pocięte trawą ostrą jak piła. Kłująca ostnica będzie wam dziurawić ciało. Będziecie się zaplątywać w trzcinach, grząź w trzęsawiskach, pławić w rzekach, wszystko będzie was swędziało, będziecie podrapani i pokryci pęcherzami. Lufa sztucera rozgrzeje się tak, że nie będziecie mogli jej dotknąć ręką, lub stanie się zimna jak sople. Broń, która na początku dnia zdawała się tak lekka i poręczna, będzie się robiła coraz cięższa. Jeśli włożycie do ładownicy lub do toreb zbyt dużą ilość naboju, z czasem to brzemień okaże się nieznośne. Będziecie mieli ochotę część amunicji wyrzucić - i tak pewnie uczynicie.

O ile nie zapewnicie sobie spożycia dużej ilości mięsa i dobrze osolonych potraw, w chwilach gdy najbardziej będzie wam potrzebna energia, poczujecie się dziwnie słabi i apatyczni. Jeśli odżywiacie się jedynie owocami, warzywami i zbożami, istnieje prawdopodobieństwo, że nie wytrzymacie trwającego dłużej afrykańskiego polowania. Afrykę zamieszkują „leniwi”, apatyczni, łatwo męczący się krajowcy, gdyż ludzie ci jedzą niewiele mięsa. Miliony krajowców spożywają ograniczoną ilość mięsa, ponieważ nie hodują bydła i żyją na terenach, gdzie trudno o dziczyznę.

Każdy doświadczony myśliwy powie wam, że gdy się wynajmie grupę Kafrów, na ogół są wynędzniali i łatwo się męczą. Po dwóch lub trzech posiłkach mięsnych - z jakiegokolwiek mięsa - stają się radośni, ruchliwi i pełni życia. Nigdy nie lubiłem Masajów z Kenii i z Tanganiki. Są zarozumiali, zbyt przekonani o swojej wyższości nad wszystkimi innymi, białymi i czarnymi. Ale Masajowie potrafią dłużej pracować bez odpoczynku, wytrzymują dłuższe polowania i męczą się mniej niż przedstawiciele pozostałych plemion. Codziennie rano podczas dojenia nacinają bydłu żyły (każdy Masaj ma spore stado), mieszają krew z mlekiem i piją ze trzy półkwarty tej mikstury. Nie jedzą owoców. Nie jedzą warzyw. Nie jedzą zbóż.

Niemal w bezpośrednim sąsiedztwie Masajów żyją Kikujusi i lud Kamba, wegetarianie z przymusu. Dręczą ich choroby, są ociążeni i bierni. Podczas mozolnego polowania robią się ponurzy i niechętni do współpracy. Jednak wystarczy ich karmić mięsem, a staną się gorliwi, pełni zapału i pracowici.

Wiem z doświadczenia, że jeśli myśliwy nie otrzymuje dostatecznej ilości soli mineralnych i protein mięsnych (proteiny warzywne i zbożowe są niewystarczające), załamie się w trudnych warunkach. Jeśli otrzymuje te sole i proteiny, bez problemu znosi trudy.

Lester Fletcher był wegetarianinem z Zioń City w stanie Illinois. Miał problemy z zatokami i cierpiał na ogólne osłabienie. Lekarz zalecił mu wyprawę na polowanie. Fletcher przywiózł ze sobą płatki zbożowe, owoce, warzywa, słowem „zdrową” żywność. Tak długo przeżuwał każdy kęs, że pokarm, jak mówił, wślizgiwał mu się do gardła, bez potrzeby przełykania.

Założyliśmy obozowisko w rejonie Enkeldoorn na wyżynie Maszona. Pierwszego dnia, gdy wybraliśmy się na szpringboki, nie przeszliśmy nawet pięciu mil, a Fletcher już oblał się zimnym potem i tak osłabł, że Kafrowie musieli go przenieść w cień. Podałem mu pigułkę solną „domowej roboty” i obficie napoiłem przegotowaną wodą. Przez jakieś dwadzieścia minut wstrząsały nim dreszcze, po czym zasnął. Po drzemce o własnych siłach wrócił do obozu i udał się prosto na spoczynek. Nad otwartym ogniem upiekłem na patyku stek antylopy i zaproponowałem mu poczęstunek. Z obrzydzeniem odwrócił głowę.

Przez cały tydzień Fletcher codziennie nie był w stanie wytrwać do wieczora. W niedzielę po południu popatrzyłem na niego, gdy jadł, i powiedziałem:

- Posłuchaj, Fletcher, albo zaczniesz jeść mięso, albo wracamy do Bulawajo. Masz teraz tak obniżoną odporność, że lada chwila może cię zmóc gorączka. Nie chcę, żebyś mi umarł na rękach.

Słowo „gorączka” odniosło skutek. Trzeba docenić tego człowieka, gdyż zapewne nigdy nie zjadł rzeczy, do której miałby większą awersję niż do tego kawałka wątroby szpringboka, który mu upiekłem. Dławił się kilka razy, w końcu przełknął, powiedział: - Niedobrze mi - i położył się pod wozem.

Na kolację mieliśmy udziec antylopy, który przez dwanaście godzin piekł się oblepiony gliną. Gdy zabrałem się do rozbijania gliny trzonkiem noża, Fletcher spał. Gdy w skorupie zrobiła się pierwsza szczelina, syknęła para. Powiew zaniósł zapach do Fletchera. Ten wyturlał się spod wozu, usiadł i zaczął pociągać nosem.

Zjadł kawałek udźca jak Kafr i wypił trzy kubki herbaty. Od tej pory zawsze jadał mięso i przemierzał dziennie dwadzieścia pięć do trzydziestu mil. Słabeusz, który rozpoczynał safari, zmienił się w twardego mężczyznę o doskonałym apetycie i zdrowym śnie. Nawet ustąpiły problemy z zatokami.

Mówi się, że antylopy afrykańskie to najwytrzymalsze zwierzęta świata. Wiele z nich ucieka nawet wtedy, gdy je się rani, o ile nie zostaną trafione w płuca lub serce. Najodporniejsze są małe dukery i duże koby. Te potrafią znieść ogromną ilość ołowiu. Często pokonują

pięćdziesiąt do stu jardów z przebitym sercem lub obydwoma płucami. Inne antylopy, które wyjątkowo trudno jest zabić, to bawolec, gnu, kob liczi, puku i sassebi.

Wielu amatorów podczas polowania na antylopy popełnia błąd polegający na tym, że nie planują oni pozyskania wyłącznie okazałych rogów, ale strzelają każde zwierzę, jakie się nawinie. Nie ma większego zawodu, niż gdy preparator z pogardą odniesie się do trofeum, gdyż długość rogów jest poniżej średniej.

Zapobiegłem wielu niepotrzebnym strzałom, wpytując klientów, jak wygląda pokój, w którym chcą powiesić trofea. Kazałem im rysować plany ukazujące proporcje miejsca na ścianach i sugerowałem następujące rozwiązania:

- Tutaj łeb kudu, tam szablrogiej, impala w tym miejscu, dujker tam, bawół nad kominkiem, gnu naprzeciwko, eland pod kudu, antylopa końska pod szablroga.

Kiedy klient zdecydował się, jakie trofea naprawdę chce zdobyć, wyruszyliśmy po nie, zabijając jedynie zwierzęta o rogach znacznie powyżej przeciętnej i zawsze wypatrując rekordowej pary.

Tak samo jak w przypadku łowów na grubego zwierza, istnieją zasady rozsądnego, bezpiecznego polowania na antylopy. Człowiek, który ich nie przestrzega, ryzykuje, że zostanie zabity, uderzony, pocięty kopytami lub stratowany, szczególnie przez ranną antylopę szablroga, końską lub oryksa.

Gdy sylwetka tropionego przez nas wielkiego, samotnego byka antylopy szablrogiej nagle zarysowała się wyraźnie na tle szarozielonych krzewów, doktor Sidney Woburn szybko przyłożył sztucer do ramienia i strzelił. Byk padł z wyciągniętą szyją i podkurczonymi nogami. Wyglądał na zupełnie martwego.

Przez kilka chwil staliśmy, podziwiając jego pięknie zawinięte rogi. Następnie Woburn podszedł bliżej. Ja, sądząc, że ma zamiar nożem sprawdzić, czy zwierzę nie żyje, oddałem swój sztucer pomocnikowi. Wtedy Woburn krzyknął. Odwróciłem się na tyle szybko, że jeszcze widziałem, jak pada, robiąc unik przed błyskawicznym ruchem rogów byka. Zwierzę wspięło się na kolana i z dziką werwą usiłowało podierać tylną część ciała. Sięgnąłem po .303, ale nim zdążyłem strzelić,

jęczący byk znów zaatakował Woburna i czubek jednego rogu rozciął połą koszuli doktora. Niewiele brakowało. Śmierć minęła mego towarzysza o cal.

Mój strzał w tylną część oka dobił byka, ale zniszczył trofeum. Nie odważyłem się ryzykować strzału w inne miejsce.

W ciągu kolejnych miesięcy doktor zebrał niezłą kolekcję trofeów, ale już nigdy nie podszedł blisko nawet do koziołka skalnego, nie upewniwszy się wcześniej, że zwierzę nie żyje. Ostre jak noże kopyta nawet tych małych antylop potrafią rozciąć człowiekowi brzuch.

Wielu amatorów wspomina wieczory spędzane przy ognisku znacznie czulej niż samo polowanie. Gdy pali się fajki, a płomienie odpędzają chłód, gdy ogień rozprasza mroki pełnej tajemnic afrykańskiej nocy, gdy po dobrze zasłużonym posiłku nadchodzi stan błogości - ludzie stają się skorzy do rozmowy.

Omawiają szczęście, które dopisało im tego dnia, i nadzieje na jutro. Snują wyssane z palca historie, a potem proszą o gawędy o dziwnych wyprawach i dziwnych ludziach.

Zwykłem opowiadać moim towarzyszom ciekawostki o zwierzętach, które mogliśmy napotkać. Na przykład jeśli tego dnia widziałem trop stemboka i dujkera, mówiłem coś takiego:

- Przerażony stembok ucieka tak szybko, że prawie niemożliwe jest strzelenie go ze sztucera. Dujker biegnie trzydzieści, czterdzieści jardów, zatrzymuje się i ogląda za siebie. Jest masa czasu na złożenie się do strzału. Oribi, ridboki i niektóre bawolce również przystają i oglądają się wstecz. Jednak niemal wszystkie antylopy, jeśli się ich nie goni, staną, gdy znajdą się już daleko poza zasięgiem strzału, i odwrócą się, by sprawdzić, co je wystraszyło.

Czasami bawiliśmy się w pytania i odpowiedzi:

Dlaczego twierdzisz, że łatwo jest iść tropem elanda?

Są to ciężkie zwierzęta, które mają przednie racice większe od tylnych.

Używasz określeń elandy „błękitne” i elandy „czerwone”. Dlaczego?

„Błękitne” to stare elandy. Są niemal pozbawione sierści i mają szarobłękitny odcień. Młodsze elandy są czerwonawe i mają ciemniejsze szyje i grzbiety.

Czy to prawda, że sitatungi nurkują pod wodą i jedzą rośliny rosnące na dnie?

Nigdy nie widziałem, żeby tak robiły, ale krajowcy przysięgają, że to prawda. Sitatungi spędzają wiele czasu na mokradłach, trzęsawiskach i w wodzie. Mają szerokie kopyta, więc łatwo jest im się poruszać po miękkim gruncie. Najlepsze sitatungi strzelałem z łodzi. Liczy też mieszkają na bagnistych, podmokłych terenach.

Jaka antylopa jest najbardziej rozpowszechniona?

Bawolec.

A jaką jest najtrudniej podejść?

Na odkrytym terenie wydaje mi się, że szprigboka. Rzadko można się do niego zbliżyć na mniej niż pięćset jardów. Jednak jeśli jesteście ukryci, nie trudniej go podejść niż jakąkolwiek inną antylopę. W zaroślach chyba najtrudniejszy jest buszbok.

Takie sesje były bardzo pouczające.

Puku jest dość łatwo podchodzić. Buszboki w upale dnia kryją się w chaszczach. Wychodzą na otwartą przestrzeń wczesnym rankiem lub późno wieczorem. Gdy się boją, szczekają. Gerenukowi i koziołkowi skalnemu wystarcza woda w postaci rosy na trawie. Gerenuki często pasą się stojąc na tylnych nogach. Na przypominających końskie łbach każdego z czternastu podgatunków bawolców rosną rogi o innym kształcie.

Zebry zawsze uciekają w tumanie kurzu i straszą inne zwierzęta, które podchodzą. Ridboki ostrzegają inne antylopy o myśliwym, becząc piskliwie. Rana, która jedynie spowolni dujkera, zabije ridboka. Szpringboki, gdy się przestraszą, na ogół wydają krótkie szczeknięcie i podskakują wysoko. Każdy osobnik skacze w tę stronę, w którą zamierza uciekać, więc często zderzają się ze sobą w powietrzu. Szpringboki wzbudzają największy podziw - ze względu na eleganckie poroże i gęste, ciepłe, kasztanowe runo.

Gnu są na ogół brązowe, z niebieskawym odcieniem, ale ich maść bywa różna. Gdy się je rani, czasami udają martwe, aż myśliwy się zbliży, następnie zrywają się, przewracają go i uciekają galopem. Sassemi potrafią biegać szybciej i na dalsze dystanse niż pozostałe antylopy. Występują głównie w północno-wschodniej Rodezji.

Kudu giną od ran, które dla niektórych z ich silniejszych krewnych nie byłyby śmiertelne. Kiedyś urządzono w Nairobi głosowanie pośród pięćdziesięciu pięciu myśliwych i w rezultacie rogi kudu zostały obwołane najefektowniejszymi rogami Afryki. Ja uważam, że rogi szablrogiej, gdy patrzy się na nie z boku, są ładniejsze niż poroże kudu. O wartości poroża kudu świadczy jego rozłoga mierzona pomiędzy końcówkami rogów. Myśliwi zawsze mają nadzieję na znalezienie kudu o rozłodze czterdziestu ośmiu cali.

Myśliwi-turyści niejednokrotnie dziwią się, że profesjonalni biali łowcy są często zagorzałymi obrońcami zwierząt, którzy złością się na barbarzyńskie przepisy, dopuszczające niepotrzebną rzeź. W związku z tym, że niedobór mięsa wpływa niekorzystnie na stan zdrowia tubylców w całej Afryce, rząd Tanganiki zezwala miejscowym czarnym na używanie strzelb „gazowych” i za mniej więcej piętnaście centów rocznie wydaje zgodę na zabijanie nieograniczonej liczby zwierząt *na własny użytek*.

Zbawienny pomysł, ale w praktyce się nie sprawdza.

Powód: Tanganika to kraj Hindusów. Jest tam około czterdziestu sześciu tysięcy Hindusów, a tylko szesnaście tysięcy białych. Hindusi, równie „obcy” jak biali, sprawują kontrolę niemal nad całością rynku nieruchomości i przeważającą częścią biznesu. *Prowadzą również bezpośrednio największy na świecie, nielegalny handel dziką zwierzyną*. Doświadczeni myśliwi oceniają, że co roku Hindusi odkupują od czarnych krajowców z Tanganiki mięso, skóry, kość słoniową i poroża przynajmniej stu dziewięćdziesięciu tysięcy dzikich zwierząt. Krajowcy wolą pieniądze od mięsa, a Hindusi im te pieniądze zapewniają, wiedząc, że i tak szybko je odzyskają.

Biali myśliwi twierdzą, że na każde zwierzę zabite przez krajowca dwa uchodzą ranne i pozostawione są na pożarcie lwom, hienom, dzikim psom, sępom i mrówkom. Krajowcy po prostu nie są w stanie nauczyć się dobrze strzelać, a nawet doborowemu strzelcowi trudno byłoby strzelić czysto z jednej z tych przestarzałych strzelb ładowanych odprzodowo, których używa miejscowa ludność.

Przez całe lata Rodezja pozwalała na rzeź dziesiątków tysięcy zwierząt łownych rocznie, w błędnym założeniu, że to wyeliminuje

muchę tse-tse. Zezwolenia łowieckie otrzymuje się w Rodezji za symboliczną opłatą. W Rodezji Północnej możecie strzelić całą gamę zwierząt, opłacić transport i miejscowych tropicieli za cenę niewiele wyższą od kosztu samego zezwolenia na odstrzał w Kenii.

W Afryce Wschodniej istnieje jeszcze jedno zagrożenie dla dzikich zwierząt - zagrożenie, które nie zna litości ani zasad sportowego łowiectwa. To Burowie polujący na „suszone mięso”, którzy co roku nawiedzają tereny bogate w zwierzynę, zabijają tysiące antylop, suszą mięso na słońcu, ładują je na ciężarówki i udają się do domu z rocznym zapasem dla rodziny i służby.

Nikt nie wie, ile zwierząt zabijają ci barbarzyńcy, ale tona *biltongu* to mniej więcej sto trzydzieści martwych szpringboków lub czterdzieści pięć martwych bawolców.

Niestety wielu staromodnych Burów zupełnie nie przestrzega zasad przyzwoitości. Utrzymują dyscyplinę wśród swych krajowców, bijąc ich zajadle, i traktują ich gorzej niż swoje zwierzęta. Są rzeźnikami, którzy rzadko wybierają do strzału konkretnego osobnika, tylko walą do całego stada, raniąc lub okaleczając pięć zwierząt na jedno zabite. Jakimś cudem ci starzy Burowie zyskali reputację doskonałych strzelców. Jednakże wielu z nich strzela skandalicznie. Rzadko starają się dobić zranione zwierzę, chyba że rana jest tak dotkliwa, iż pościg nie będzie długi.

Władze Kenii czasami przez setki mil ścigają myśliwych mięsiarzy, aresztują ich i stawiają przed sądem. Ale skazanie ich niekiedy bywa trudne. W każdym razie liczba aresztowań jest tak niewielka, że nie ma praktycznego znaczenia. Za mało jest strażników zwierzyny, żeby ograniczyć ten proceder.

Ze wszystkich rządów krajów posiadających dziką zwierzynę rząd Kenii jest najbardziej nastawiony na ochronę środowiska. Pełne zezwolenie, dopuszczające zabicie 99 zwierząt, kosztuje myśliwego-turystę równowartość 180 dolarów. Zezwolenie na odstrzał jednego słonia kosztuje 140 dolarów, a na odstrzał drugiego słonia w ciągu jednego roku - dodatkowe 280 dolarów. Wiele z tych 99 zwierząt jest dołączonych do listy jedynie po to, by polujący mieli mięso na czas wyprawy. Oto pełny spis dołączany do zezwolenia:

Po jednej sztuce: koczokodan górski, bongo, gepard, oribi kenijski, oribi Haggarda, koziołek skalny, ridbok Chanlera, sitatunga, bawolec Jacksona, antylopa Huntera, oryks *callotis*, kob śniady, kob *defassa*, antylopa końska, antylopa szablroga, kudu wielkie (jedynie samiec i jedynie w rejonie Turkana lub w Północno-Zachodnim Okręgu Granicznym), eland, zebra Grevy'ego, hipopotam (lecz tylko w promieniu pięciu mil od Jeziora Wiktorii), lew, lampart.

Po dwie sztuki: gazela Petera.

Po trzy sztuki: antylopa karłowata, gerenuk, impala, szpringbok, kongoni, topi, beisa, gnu, bawół, stembok.

Po cztery sztuki: gazela Granta, ridbok *bohor*, kudu małe, zebra zwyczajna.

Po sześć sztuk: buszbok, oribi (poza odmianę Haggarda i kenijską), dujker, dikdik.

Po dziewięć sztuk: gazela tomi.

Dla myśliwego, któremu się spieszy, istnieje zezwolenie dwutygodniowe, które kosztuje czterdzieści dwa dolary. Dopuszcza ono odstrzał po jednej sztuce bawołu, antylopy karłowatej, stemboka, gerenuka, zebry zwyczajnej, kudu małego, gazeli Granta, ridboka *bohor*, szpringboka, kongoni, gnu, topi, beisy; dwóch sztuk buszboka, dikdika, oribi, dujkera; trzech tomi.

W Kongu ograniczenia prawne dotyczące zabijania zwierząt, poza gorylami, są stosunkowo niewielkie, gdyż obszar ten jest zbyt duży, by go patrolować. W tym kraju i w Angoli tubylcy działają w spółce z handlarzami i zabijanie jest rozpowszechnione na wielką skalę.

Amerykanom obecnie nieźle się dostaje w Afryce od myśliwych z innych krajów z powodu szalonego zabijania bizonów i gołębi pocztowych w Stanach i ponieważ amerykańscy kupcy futer ponoszą dziś odpowiedzialność za to, iż bliski wyginięcia jest lampart afrykański. Przedstawiciele handlarzy futrami nie tylko propagują nielegalne chwytanie zwierząt w pułapki, ale sami te pułapki produkują.

Amerykańscy myśliwi odwiedzający Afrykę stają się z roku na rok bardziej rzetelni i prawi. Kiedyś były to pyszałkowate, buńczuczne, awanturnicze, strzelające na oślep indywidua, teraz są to na ogół ludzie świadomi potrzeby ochrony środowiska.

Z czasem można się nauczyć wszystkiego o grubej zwierzynie, ale życia nie wystarczy, by naprawdę poznać tę różnorodność afrykańskich antylop. Istnieją dziesiątki gatunków. O niektórych niewiele można znaleźć w książkach, o innych z rzadka mówi się poza Afryką. Do tych ostatnich należy bulbul, lelwel, bontebok, dwadzieścia pięć z trzydziestu czterech podgatunków dujkera, suni, antylopa królewska, antylopa sarnia, dibatag, adaks i antylopa modra, która ostatnio została wytępiona.

Polowanie na antylopy to naprawdę męskie zajęcie. Możecie w tym czasie przewędrować od Kapsztadu po Kair i od Mombasy po Sierra Leone. Zestaw waszych trofeów, jeśli tylko zechcecie, może obejmować najrozmaitsze zwierzęta: od dość malej, mierzącej dziesięć cali w kłębie antylopy królewskiej z Nigerii do sześciostopowej szablorogiej z Afryki Wschodniej.

Pozostaje jeszcze okapi, zwykle zwane antylopą, ale należące do rodziny żyraf. Okapi to najrzadsze ze wszystkich zwierząt afrykańskich. Ma fioletową skórę, nogi w białe pręgi i uszy jak u muła. Jest to łagodne, płochliwe zwierzę, w wieku dojrzałym ważące średnio dwieście pięćdziesiąt funtów. Żywe okapi jest warte sześć tysięcy dolarów. W ogrodach zoologicznych świata żyje ich zaledwie siedem.

Okapi spotyka się wyłącznie w lasach deszczowych Konga i nigdy nie występują one parami. Są objęte monopolem rządowym i jedyną osobą, której wolno je chwycić, jest kapitan Jean de Medina, *chef du groupe de capture et d'élevage d'okapis**.

* *Chef du groupe de capture et d'élevage d'okapis* - (franc.) dowódca grupy do chwytania i hodowli okapi.

Nigdy nie strzeliłem okapi i widziałem tylko dwa dzikie osobniki. Jednakże mój myśliwski towarzysz, Miki Carter z Los Gatos w Kalifornii, jeden z najlepszych fotografików grubej zwierzyny na świecie, był w 1952 świadkiem schwywania dorosłego okapi z dopiero co narodzonym młodym. Miki zrobił zdjęcie małemu, tygodniowemu cielakowi - pierwszemu schwytanemu na żywo - gdy Pigmeje nieśli go na ramionach do obozowiska.

Lepiej nie próbujecie polować na okapi, o ile nie jesteście przygotowani, by spędzić jakiś czas w kongijskim więzieniu. Jeśli chcecie być świadkiem schwywania tego zwierzęcia, skontaktujcie się z kapitanem de Medina. Napiszcie do niego na adres rządowej farmy słoni w Andudu.

Wspomnienia trudów związanych z polowaniem na antylopy zacierają się, ale wspomnienia dni szczęśliwych stają się coraz bardziej wyraziste. Chłodny, kąpiący rosą poranek pod bezchmurnym niebem; przedpołudnie na otoczonej zaroślami polance, która jest jak senny, złoty spłacheć bezdrzewnej sawanny; południe z płynącym leniwie mirażem powstałym z upału; późne popołudnie ożywione szeptami owadów; wreszcie bezdźwięczny pośpiech zachodzącego słońca, pokonującego ostanie mile nieba.

Cienie skradające się spod stóp krzaka, powoli sięgające ku wschodowi i ostrożnie okrywające złociste trawy odcieniami szkarłatu i lawendy. Para antylop końskich, które tropiąc wypłoszyliście na wolną przestrzeń i które trzymają się w mroku wydłużających się cieni buszu; bardziej odważna, czerwonawa łania, wyprzedzająca nieco niebieskawego kozła.

Nagle śmiało i zgrabnie wychodzą na płamę światła i wskutek jakiejś gry promieni wydają się niemal białe. Tymczasem cichy dźwięk gdzieś z tyłu zdradza *lagavaana*, budzącego się ze snu. Leniwie wychodzi z chłodu cienia na ciepło słońca i przez kilka chwil ta brzydka pięciostopowa jaszczurka lśni opalizującymi odcieniami srebra i błękitu. Nieznacznie zmienia pozycję i jej piękno znika.

Antylopy odchodzą na ukos. Oceniam wartość rogów samca i zastanawiam się, czy powinienem się o nie pokusić. Unoszę sztucer, a kozioł idealnie ustawia się do strzału. Wzdycham i opuszczam lufę.

Lagavaany to też dobra żywność. Odwracam się i celuję w jaszczurkę, lecz przypominam sobie jej zwodnicze, mieniające się barwy i zdejmuję palec ze spustu. Rozgoryczony swą słabością lekko stukam gada w grzbiet kolbą strzelby. Otwiera paszczę, jakby się śmiał.

Cóż, postrzelam jutro.

Lamparty

Biorąc pod uwagę wagę ciała, lampart afrykański jest najsilniejszym i najwaleczniejszym zwierzęciem na świecie. Posiada wręcz niesamowitą siłę. Potrafi zawiesić na drzewie, na wysokości dwudziestu stóp, antylopę ważącą *trzy razy* tyle co on. Kiedyś widziałem, jak ważący 100 funtów lampart rozpruł brzuch antylopie sassebi, przeciągnął 240-funtowe ścierwo o trzysta jardów, wtargał je na piętnastostopowe drzewo dzikiej figi i powiesił za szyję na gałęzi.

Gdyby 125-funtowy lampart ważył dwa razy więcej, pokonałby 500-funtowego lwa, 1500-funtowego bawołu; rozniósłby duże antylopy, takie jak końska, szablroga, eland czy gnu; wyciągnąłby krokodyla nilowego z wody za nos i unicestwiłby każdego nieuzbrojonego człowieka, który by mu się ośmielił stawić czoło.

Lamparty, zarówno czarne, jak i cętkowane, są inteligentniejsze i bardziej niebezpieczne niż lwy. Gdy lampart zacznie walczyć, walczy na śmierć i życie. W przeciwieństwie do lwa, który się poddaje, jeżeli ma małe szanse. Kiedy lew pokona swego wroga, przestaje być żądny krwi; złość lamparta trwa dłużej, aż bestia wypruje trzewia z ofiary - człowieka lub zwierzęcia.

Lamparty żyją wszędzie w Afryce: na równinach, w zalesionych wąwozach, na zboczach wzgórz, w zaroślach i w lasach. Gdy piszę tę książkę, doniesiono, że zabito lamparta czterdzieści mil od Johannesburga, miasta liczącego ponad sześćset pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Z powodu wysokiego popytu na skóry, szczególnie w

Ameryce, w niektórych regionach lamparty są bliskie wyginięcia, ale dopóki nie przeczesze się ostatnich połaci afrykańskich lasów i porośniętych zaroślami wąwozów, lamparty przetrwają.

Lamparty są podstępne, zdradzieckie i szybkie. Wielu zawodowych myśliwych nigdy nie widziało lamparta za dnia. Innym mignął tylko, znikając w kryjówce. Z drugiej strony, dobry łowca lampartów widuje je zarówno w dzień jak i w nocy, ponieważ wie, gdzie ich szukać. W 1921 pomiędzy rzekami Gánale Dorya i Webbe w krainie Galla w ciągu trzydziestu pięciu dni strzeliłem jedenaście lampartów. Etiopskie ksiąŜatko, Ras Kassai, zapłaciło mi po pięć funtów za kaŜdą skórę - w sumie pięćdziesiąt pięć funtów.

Ale to był dopiero początek interesów. W przeważającej części Etiopii w charakterze pieniędzy uŜywa się soli i naboŃ. Ludzie, którzy coŝ znaczą, noszą sztucery - bezuŜyteczne, stare kawały strzeleckiego Źelastwa, takiego jak broń uŜywana do handlu wymiennego czy pospawane francuskie lebele. Noszą te sztucery jako swego rodzaju wyróżnienie, jak Angliacy laski. Nikomu nie przysłoby do głowy, aŜeby z nich strzelać.

Jedyną monetą przyjmowaną przez Etiopczyków z prowincji jest dolar Marii Teresy. Jednak za naboŃe moŜna kupiĆ wszystko, łącznie z ziemią i bydłem. Zniosłem swoje pięćdziesiąt pięć funtów do arabskiego kantoru i wymieniłem je na dolary Marii Teresy. Za nie kupiłem bloki soli. Sól sprzedałem za naboŃe, a naboŃe wymieniłem na dolary Marii Teresy. Po powrocie do Harare za te duŜe srebrne dolary dostałem 173 funty angielskie. Później, w Johannesburgu, wymieniłem funty na amerykańskie złoto, po cenie 4,82 dolara za funt. Tak Źe przy odrobinie kupiectwa moje jedenaście skór przyniosło mi zysk w wysokoŝci 834 dolarów, czyli około 76 dolarów za sztukę.

ChociaŜ lampart woli się trzymać jak najdalej od człowieka, zdarza się, Źe atakuje. Wielu czarnych myśliwych oszczepników, którzy przy pierwszym ciosie nie ugodzili lamparta ŝmiertelnie, skończyło z wyprutymi trzewiami. Samica lamparta z młodymi nie zawaha się przed atakiem, jeŝli uzna, Źe jej potomstwo jest zagroŜone. RównieŜ lampart z bolesnymi ranami czasami atakuje zaciekle. Na Carla Akeleya,

słynnego myśliwego pracującego dla muzeów, rzucił się kiedyś osiem-dziesięciofuntowy lampart raniony w łapę. Akeley tak mi zrelacjonował to wydarzenie:

„Był zmierzch. Szedłem za lampartem, aż dotarłem do niewielkiej wyspy na rzece. Gdy zobaczyłem tę samicę jakieś trzydzieści jardów ode mnie, niewiele różniła się od mrocznego cienia. Skoczyła na mnie i po chwili trzymałem w objęciach gryzącego, drapiącego diabła. Wbiła zęby w górną część mojego prawego przedramienia. Lewą ręką chwyciłem ją za gardło. Zacisnęła szczęki. Za każdym razem gdy rozluźniała uchwyt, żeby wgryźć się lepiej, po calu wyciągałem ramię spomiędzy jej zębów. W końcu zagryzła nadgarstek, a wtedy wsadziłem jej pięść do paszczy. Na szczęście jej łapy wisiały na tyle nisko, że nie mogła mi wbić pazurów w brzuch.

Krwawiąc, z trudem chwytając oddech i mocując się, zebrałem wszystkie siły, żeby jej odciąć dopływ powietrza. Nie osłabiło jej to i już straciłem nadzieję. Padliśmy na ziemię - ja byłem na wierzchu. Wepchnąłem jej łokcie pod pachy i tak szeroko rozciągnąłem przednie łapy, że nie mogła mnie dostać pazurami. Podkurczyłem kolana, umieściłem je na jej piersi i pchnąłem. Pękło jej jedno żebro. Poczuliśmy, jak traci siły, i zyskałem nadzieję na zwycięstwo. Wepchnąłem jej głębiej pięść do gardła. Powoli przestała walczyć. Wstałem, ugodziłem ją nożem - i było po bitwie.

Gdy wróciłem do obozu, przyjaciele złali mi mocno pogryzione ramię płynem bakteriobójczym. Wydobrałem, gdyż byłem młody, krzepki i mogłem to znieść”.

Nietrudno jest strzelać lamparty, jeśli znacie ich zwyczaje. Łatwo dają się zwabić w potrzask; jeśli przynęta jest smaczna, na przykład młoda dzika świnia, mała, kozioł, jagnię lub antylopa, zawahają się jedynie przez moment, zanim wejdą do klatki. Przynęta nie musi być żywa, gdyż lamparty jedzą padlinę. Obecnie chwyta się je na ogół w amerykańskie stalowe potrzaski - metoda, od której prawdziwym myśliwym przewracają się wewnętrznosci.

Gdy się poluje na lamparta ze sztucerem, myśliwemu cały czas towarzyszy podniecenie. Kiedy idziecie tropem zwierzęcia, zawsze

istnieje prawdopodobieństwo, że lampart siedzi na drzewie nad wami lub czai się na pobliskim kopcu termitów bądź pagórku, a może nawet skrada się bezszelestnie z tyłu.

Lamparty polują samotnie. Nigdy nie widziałem razem dwóch dzikich lampartów. W zasadzie nie widziałem nigdy dwóch lampartów bliżej niż o milę jeden od drugiego. Wielu myśliwych słyszało odgłosy parzących się lampartów, ale nigdy nie poznałem białego, który by zaobserwował, jak te zwierzęta się parzą. W okresie rui samiec zachowuje się dość podle, o czym świadczy wycie samicy.

Krajowi myśliwi w Etiopii, Ugandzie i w Kamerunach mówili mi, że czasami w pobliżu siedzą dwa lub trzy inne samce i jak tylko parzenie się skończy, rzucają się na „męża” i dają mu wycisk. W tych opowiadaniach musi być trochę prawdy, gdyż pochodzą z różnych części kontynentu.

Cztery razy widziałem, jak pawiany atakowały lamparta. Raz, gdy lampart złapał młodego pawiana, cztery dorosłe samce zabiły kota w ciągu kilku minut. Innym razem na moich oczach dwa pawiany skoczyły ze skały na przechodzącego w dole lamparta, rozdarły mu żyłę szyjną, wyszarpały wnętrzności i z wrzaskiem uciekły pod górę. W południowej Ugandzie byłem świadkiem, jak trzy pawiany zaczęły się na lamparta, który z brzuchem przy ziemi skradał się za zajęcem. Gdy podchodzący lampart je minął, rzuciły się na niego jak burza. Walczył o życie, wydając chrapliwe, zgrzytliwe, agonalne odgłosy. Pawiany rozerwały go na strzępy. W Rodezji Południowej widziałem, jak pięć pawianów szybko zeszło z drzewa, poskakały dziko jak oszalałe, pospieszyły na brzeg suchego jaru i rzuciły się na coś w dole. Ryczały, szczekały i piszczaly. Dwa z tej piątki wdrapały się z powrotem na górę i popędziły obok mnie, w ogóle mnie nie zauważając. Były przerażone. Na dole leżały trzy martwe pawiany; dwa miały przetrącone grzbiety, a jeden był pocięty zębami i pazurami. Wszędzie wokół leżały kłębki sierści lamparta, ale jego samego nigdzie nie było widać.

Zawodowcy stosują dwie metody polowania na lamparty. Jedna polega na ustaleniu trasy lamparta, gdy wychodzi ze swej kryjówki na łowy, po czym do niej wraca, i na zaskoczeniu go na tym szlaku. Zgodnie z drugą czeka się obok kryjówki, aż lampart wróci z polowania, i

strzela się go, kiedy do niej wchodzi. Wydaje się to proste, ale mogą wystąpić komplikacje.

Kryjówką na ogół jest jaskinia umieszczona wysoko w ścianie urwiska lub zboczu wzgórza. Z wejścia do jaskini lub z pobliskiej skały bądź drzewa lampart może obserwować teren rozpościerający się w dole. Może leżeć godzinami, z głową wspartą na łapach lub uniesioną z królewską godnością, wychwytyjąc każdy ruch i wyławiając każdy dźwięk.

Największy lampart, jakiego strzeliłem, ważył sto czterdzieści pięć funtów, mierzył osiem stóp dwa cale od nosa do końca ogona i miał dwie stopy sześć cali wysokości w kłębie. Średnie rozmiary wynoszą sześć stóp długości i dwie stopy dwa cale wysokości w kłębie przy wadze osiemdziesięciu pięciu funtów.

Zdarzyło się to w 1911 podczas jednej z moich pierwszych wypraw z karawaną transportową u boku Nicobara Jonesa. Miałem osiemnaście lat, a Zulus Ubusuku, który właśnie został moim tropicielem, dwadzieścia dwa. Wyprzęgliśmy wozy przed pokonaniem wzniesienia w Portugalskiej Afryce Wschodniej (obecnie Mozambik), około stu mil na południowy zachód od Zambezi. Jones wysłał nas, żebyśmy zdobyli na kolacje antylopę lub ze dwa dropie. Podjęliśmy trop bawolca konzi i poszliśmy za nim do szerokiego ujścia zalesionego wąwozu. Zgubiliśmy ślad i zaczęliśmy przeszukiwać grunt nad małym burzliwym strumieniem, który spływał z wysokich zboczy. Ubusuku mruknął; sądząc, że odnalazł trop, podszedłem do miejsca, w którym kłęczał na wilgotnej ziemi na skraju wody.

Nie był to trop antylopy, ale czyste odbicie czterech poduszek i przypominającej kształtem koniczynę łapy lamparta. Jakiego lamparta! Zamiast przeciętnej wielkości trzech i pół cala od końca największego palca do tylnej strony pięty ten odcisk mierzył pięć i ćwierć cala. Przez chwilę myślałem, że to trop lwa, ale bez wątplenia był to węższy odcisk łapy lamparta.

Cofnęliśmy się po tropie, znaleźliśmy inny, częściowy odcisk i doszliśmy do wniosku, że lampart biegł w stronę strumienia. Brodząc w wodzie po pas, dostaliśmy się na skałę pośrodku nurtu. Kałuże wskazywały, że kocur był tam krótko przed nami. Ubusuku skoczył ze skały

na drugi brzeg i natychmiast dał znak, że lampart prawdopodobnie udał się w górę strumienia.

Wynioskowaliśmy, iż kryjówka zwierzęcia znajduje się gdzieś wysoko w ścianie urwiska, zapewne w pobliżu szczytu. Byliśmy młodzi i pełni zapału. Natychmiast ruszylibyśmy za lampartem, gdybym nie usłyszał odgłosu bawolca pijącego za nami, w dole strumienia. Automatycznie obróciłem się i strzeliłem. Huk wystrzału odbił się echem od wzgórz i wiedzieliśmy, że na ten wieczór to już koniec polowania na lamparta.

Gdy wróciliśmy do zaprzęgu, oddaliśmy kucharzowi Kairowi wątrobę, nerki, serce i cztery szynki bawolca i z Ubusuku przy boku, by potwierdzał moje słowa, opisałem te wielkie ślady Jonesowi.

- To strasznie wielkie tropy - powiedział - ale możliwe.
- Może byśmy ruszyli ich śladem jutro rano?! - zasugerowałem.

Jones zmrugał oczy i nasrożył brodę. - Musimy przejść przez grzbiet, zanim zrobi się ciemno. Wyruszymy wcześniej.

- Ale ten lampart!
- Żaden z was nie jest na tyle bystry, żeby strzelić lamparta; jeszcze nie.
- Może dopisze nam szczęście - powiedziałem z nadzieją.
- Żadne szczęście.

Odwrociłem się, rozczarowany. W milczeniu zjedliśmy kolację. Gdy już mieliśmy się ułożyć do snu obok wołów, Jones powiedział:

- Bądźcie przy jarze, zanim wzejdzie słońce. Zaczajcie się na niego w miejscu, gdzie zeskoczył ze skały. Ułóżcie się na brzuchach pod wiatr. Nie rozmawiajcie. Poczekajcie dwie godziny. Jeśli nie przyjdzie, wdrapcie się na urwisko i poszukajcie jego kryjówki. Poznacie jego jaskinię po sierści i tropach na zewnątrz. Tygrysy [lamparty], poza samicami z młodymi, nie wnoszą pożywienia do legowiska.

- Klawo - powiedziałem. I zanim zasnąłem, dodałem: - Dziękuję, panie Jones.

Ale stary Nicobar Jones już nic nie słyszał. Zdarł ze mnie koc godzinę przed świtem. Przywołał Ubusuku od ogniska Kafrów i powiedział nam:

- Jeśli będziecie wchodzić na urwisko, wypatrujcie zwierzyny zawieszanej na drzewach. Taki olbrzym jak ten musi się od dawna dobrze odżywiać. Może ma jakieś drzewo, które jest jego stałą spizarnią. - Spojrzał na mnie gniewnie i dodał: - Będiesz w stanie oddać do tego kota tylko jeden strzał. Znasz zasady.

Przytaknąłem.

Jones uniósł brwi.

- Zachować spokój i strzelać celnie - powiedziałem.

Jones chrząknął.

Przejechałem sztucer wyciorem, wyjąłem z zamka pełnopłaszczowy nabój i zastąpiłem go półpłaszczowym. Sprawdziłem celownik i magazynek. Zabezpieczyłem broń i ruszyłem przodem przez sięgającą kolan mokrą trawę. Było akurat tyle światła, że widzieliśmy zostawianą za sobą ciemną ścieżkę.

Dopiero gdy zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie dzień wcześniej naknęliśmy się na trop lamparta, zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd mogłem sięgnąć pamięcią, wyszedłem z obozowiska bez porannej kawy.

Faktycznie byłem podekscytowany. Ubusuku również. Przekroczyliśmy strumień, weszliśmy w zarośla i przedarliśmy się w dół strumienia w pobliże skały, którą lampart wykorzystywał jako stopień. Co jakiś czas sprawdzaliśmy wiatr. Nie było żadnego powiewu. Ubusuku, mający na sobie jedynie krótkie spodnie, leżał na brzuchu, z na wpół przymkniętymi oczami. Chodziły po nim mrówki. Długi zielony robak powoli przesunął mu się po plecach. Na udo spadł pająk i pognał po gołej brązowej skórze. Ubusuku ani drgnął.

Położyłem się ze sztucerką przy boku. Tuż pod moim paskiem zaczęła tańczyć jakaś mrówka. Podrapałem się. Następna mrówka dreptała mi szybko po brzuchu. Jakiś robak wlaź mi pod pachę. Wszystko zaczęło mnie swędzić, najbardziej między palcami u stóp. Gdy słońce weszło, miałem już dosyć. Ale byłem z siebie dumny. Nie kichnąłem ani się nie poruszyłem poza tym jednym podrapaniem.

Nie było ani śladu lamparta, ani też żadnego innego zwierzęcia. Pomijając ćwierkanie ptaków i piski owadów, w zaroślach panowała cisza. Szturchnąłem Ubusuku i poszliśmy po cichu wzdłuż brzegu w stronę skały.

W przejrzystej, chłodnej wodzie z nosem przytkniętym do skalistej ściany dryfowała piętnastofuntowa ryba tygrysia. Jej pomarańczowe płetwy i ogon były nieruchome, poza lekkim drżeniem wywołanym przez prąd. Znajdowała się w cieniu, ale gdy na nią patrzyliśmy, słońce odbiło się od białego kamienia spoczywającego na dnie i wielka ryba nagle rozbłysła.

Ubusuku skoczył na skałę i powoli zanurzył ręce w wodzie. Cał po całcu sięgał ku drżemiej rybie. Wstrzymałem oddech. Ubusuku odwrócił dłoń wnętrzem do góry i poskrobał rybę po brzuchu. Otworzyła paszczę, jak w uśmiechu, pokazując długie, brzydkie, szeroko rozstawione zęby. Ubusuku nadal ją łaskotał. Po trochu ciemnobrązowa dłoń zbliżała się do przedniej części ryby. Nagle Ubusuku wetknął jej dwa palce w skrzelą - i wyciągnął z wody. Ryba, walcząc, rozpryskiwała we wszystkie strony srebrne krople. Ubusuku nakłuł pozbawioną ciała czaszkę końcem noża i piękna ryba, której kolory już bladły, zamarła. Zawinęliśmy ją w wilgotny mech i na zewnątrz dodatkowo w liście. Zwiąaliśmy zawiniątko powojnikiem i ukryliśmy je dobrze na drzewie paproci.

Następnie - ze mną na czele - zaczęliśmy się wspinać na urwisko.

Przez jakiś czas szliśmy blisko strumienia, ale zarośla stały się tak gęste i splątane, że musieliśmy się skręcać, wyginać i przepychać przez zasłony gałęzi i czołgać przez dziury w przeplecionych powojnikiem chaszczach. Sztucer mi przeszkadzał, więc w końcu wyjąłem nabój z komory, chwyciłem za lufę i ciągnąłem broń za sobą po ziemi. Nawet zdemontowałem celownik listkowy.

Kamienie i ciernie wbijały mi się w kolana i w dłonie. Spodnie stały się tak ciasne w kroku, że ledwo mogłem się poruszać. Oparłem dłoń na purchawce i drobny żółty pył wpadł mi do oczu i nosa. Niemal się udusiłem, usiłując powstrzymać kichnięcie. Nie sędzę, że bym wtedy zauważył lamparta, nawet gdyby przykucnął tuż przede mną. Kiwnąłem na Ubusuku, by poszedł pierwszy.

Niemal natychmiast dostrzegł włos lamparta na korze drzewa. Ścisnął go mocno w ręce i chuchnął na niego. Spojrzał na włos i szepnął:

- Świeża sierść. Może wczorajsza.

Ja w półmroku nie widziałem tego włosa, nawet gdy już leżał na jego dłoni. Tubylcy mają znacznie ostrzejszy wzrok niż biali, szczególnie w nocy. Sprawdzaliśmy to nieraz przy ognisku. Gdy rozmawialiśmy o wzroku, ktoś brał kilka szpilek i rzucał je na ziemię. Zabawa polegała na tym, ile szpilek znajdzie każdy biały w świetle skaczących płomieni. Niewiele ich znajdowano. Następnie wołano Kafrów, rzucono szpilki i proszono, by je pozbiali. Niemal od razu podnosili większość z nich.

Wąwóz rozszerzał się w miejscu, gdzie lśniący wodospad wpadał do idealnie okrągłego zagłębienia wydrążonego w litej skale. Dzikie figowce z powykręcانymi gałęziami powstrzymywały napór zarośli. Pokrywa mchu na ziemi, intensywnie czerwona w cieniu, w słońcu była blada i rdzawa. Pokrzykiwały na nas małe szare małpy o zuchwałych ciemnych mordkach i długich ogonach. Nad oczkiem śmiały i pohukiwały wielobarwne ptaki.

Zdjąłem buty i pozwoliłem swym gorącym stopom rozkoszować się chłodem wody. Ubusuku stanął pod kaskadą, a jego wazące sto dziewięćdziesiąt pięć funtów i mierzące sześć stóp cztery cale ciało zamieniło się w lśniącą, mokrą czekoladę. Małpy wzmożyły swe piśkliwe przekleństwa. Nagle ucichły zupełnie. Spojrzałem na drzewa. Małe lotry zniknęły.

Przyszło mi do głowy, że mogły się przestraszyć naszego lamparta. Właśnie miałem to powiedzieć Ubusuku wychodzącemu spod wodospadu, gdy lampart skoczył na niego z rosnącego na górze drzewa figowego i pchnął go do wody.

Gdy poszli pod wodę, na powierzchni rozrosła się jasnoczerwona plama. Walcząc, wynurzyli się i czerwona plama zniknęła w białej kipieli. Lampart siedział Ubusuku na plecach, z zębami zatopionymi w mięśniach prawego ramienia Zulusa.

Byli ode mnie niecałe sześć stóp, gdy wepchnąłem lufę sztucera w bok lamparta i pociągnąłem za spust. Zamek trzasnął w pustą komorę. Po twarzy spłynęły mi łzy bezsilności.

Ubusuku sięgnął za siebie, chwycił lamparta za kark i zanurkował. Przez kilka chwil nie widziałem, co się dzieje. Gdy wzrok mi się przejaśnił, zobaczyłem, że Ubusuku nadal trzyma lamparta za szyję, a zęby zwierzęcia wciąż tkwią w ramieniu Zulusa.

Woda była różowa od krwi. Zarówno człowiek jak i zwierzę łączywie chwytały oddech i z ust wydobywały im się pęcherzyki powietrza. Nagle niemal zamarli. Załadowałem sztucer, położyłem go na skraju oczka i rzuciłem się Ubusuku na pomoc. W chwili gdy skakałem, ogromny, na wpół utopiony kot wygramolił się z wody i zniknął.

Ręce i nogi Ubusuku drżały lekko. Z jego półotwartych ust wciąż wydostawały się białe bąbelki. Wyciągnąłem go z wody i zacząłem mu udzielać pierwszej pomocy. Nagle popchnął mnie, usiadł i powiedział chrapliwie:

- Rozmawiałem ze swoim *ehlose* [duchem opiekuńczym], *Baas*. Gdzie lampart? Zabiję go.

Wstał chwiejnie. Jego oczy były czarne jak węgiel.

- Trzeba ci nalać lekarstwa do tych ran po kłach - powiedziałem. - Musimy szybko wracać do zaprzęgu.

Bez słowa zanurkował w zaroślach. Krzyknąłem. Żadnej odpowiedzi. Chwyciłem sztucer i ruszyłem za nim, koszmarnie przerażony. Jego wzrok mówił mi, że ma zamiar zabić tego lamparta gołymi rękoma.

Jeśli chodzi o umiejętność cichego i szybkiego przedzierania się przez gęste chaszczce, Ubusuku był jak słoń. Niewielką miałem szansę, że go dogonię, ale musiałem spróbować.

Jak jego ojciec, Indhlova, Ubusuku był człowiekiem zimnego, nieustępliwego gniewu, kiedy ktoś podrażnił jego zuluską dumę. Lampart z pewnością go upokorzył. Teraz jeden z nich będzie musiał zginąć.

Gdy zbliżałem się do górnej krawędzi urwiska, zauważyłem na gałęzi, na wysokości łopatk, ślady krwi. Krwi Ubusuku.

Poprzez przerzedzające się zarośla zaczęły co jakiś czas prześwitywać zwietrzałe, brązowoczerwone ściany urwiska. Nagle drzewa się skończyły. Pozostały jedynie rozproszone krzaki, owinięte spiralnymi żółtymi pędami. W miejscu gdzie z pulsującego źródła wypływał strumień, zaczynała się stroma, wąska, kamienista półka skalna. Kilka kroków dalej na tej półce leżała wijąca się żmija z częściowo strzaskaną głową i dolną szczęką wykręconą pod kątem prostym w stosunku do górnej. Jakąś stopę dalej, tam gdzie Ubusuku przystanął, żeby zmiażdżyć piętą łeb węża, widniała duża plama krwi.

Ukróciłem cierpienie węża i przepatrzyłem wznoszącą się przede mną ścianę urwiska. Mój wzrok przyciągnął nieznaczny ruch na wierzchu wystającej skały, odległej ode mnie o jakieś pięćdziesiąt jardów. To był wielki lampart, który przykucnął, by skoczyć w dół. Strzeliłem w chwili, gdy poderwał się do skoku, i usłyszałem radosny odgłos pocisku uderzającego w ciało.

Biegając, zarepetowałem broń. Lampart z przestrzelonym sercem i płucami leżał na półce, jakby spał. Blisko niego klęczał Ubusuku z głową i łokciami wspartymi na ziemi. Z ran po zębach na jego ramieniu wciąż sączyła się krew. Był nieprzytomny.

Później opowiedział mi, że osłabł i musiał iść na czworakach. Nie pamięta, jak zemdleł.

A lampart? Jego skóra, czaszka i łapy zostały kupione przez Towarzystwo Natura Artis Magistra z Amsterdamu i przez wiele lat wypchany kot był wystawiony w jednym z budynków w ogrodach Towarzystwa.

Gdy wraz z Jonesem przestaliśmy wlewać w Ubusuku płyn bakteriobójczy, powiedziałem: - I tak mieliśmy szczęście.

Jones spojrzał groźnie. - Żadne szczęście. - A zaraz potem popatrzył na mnie łagodnie spod ciężkich siwych brwi i rzekł: - Dobrze się spisalesz.

W środku nocy zerwałem się i zakląłem pod nosem. Zapomnieliśmy zabrać naszą rybę tygrysią.

Aneks

Dla lepszej orientacji osób przyzwyczajonych do kalibrów europejskich, określanych w milimetrach, podajemy przybliżone przeliczenia angloamerykańskich parametrów calowych:

- .22 Remington - 5,6
- .30/.06- 7,62x63
- .38/.56 - 9 x 65
- .45 Colt - 11,4
- .220-5,56x43
- .256 - 6,55 x 57
- .270 Winchester - 7 x 65
- .303 Lee-Enfield - 7,7 x 56R*
- .348 Winchester - 9 x 57R
- .375 Magnum-9,55x72,4
- .450 Powell - 11,43
- .458 Holland & Holland - 11,56 x 63B
- .475 High Velocity-12,06
- .510Rigby-12,95
- .600 Nitro-Express - 15,24

* Angielski karabin wojskowy, później sportowo-wyczynowy, przeznaczony do strzelania na duże odległości (od 1100 m), dziesięciostrzałowy, o masie 4,250 g, z zamkiem ślizgowo-obrotowym, celowniku krzywiznowym lub przeziernikowym (muszka słupkowa); przyjęty do uzbrojenia w roku 1888, do 1898 najnowocześniejszy karabin na świecie, wyparty przez rozwiązania Mausera.

Stanisław Malec

Spis treści

Mike Resnick - Wprowadzenie	5
Prawda o afrykańskich łowach	11
Lwy	23
Słonie	35
Pawiany	48
Nosorożce	63
Krokodyle	78
Jeszcze o lwach	101
Jeszcze o pawianach	116
Bawoły	127
Węże	142
Hipopotamy	155
Antylopy	171
Jeszcze o antylopach	183
Lamparty	194
Aneks	205